

Sławomir M. Nowinowski
Jerzy Giedroyc w 1946 roku





BIBLIOTEKA MNEMOSYNE

pod redakcją Piotra Kłoczowskiego

Sławomir M.
Nowinowski
*Jerzy Giedroyć
w 1946 roku*

Karolinie

Hagiografowie nie lubią łamać schematów. Bohaterowie ich opowieści zwykle najprostszą drogą zdążają do obranego celu, zręcznie omijając czyhające na nich pułapki lub pokusy. Dokładają starań, aby od razu było wiadomo, kto był dobry, a kto zły, kto zawsze miał rację, a kto nigdy mieć jej nie mógł. Proponują czytelnikowi magiczne okulary, dzięki którym bez trudu dostrzeże trajektorie myśli lub naturalną sekwencję zdarzeń. Czasami jednak muszą zaprasować zagniecione kanty życiorysów, a w ostateczności nawet puścić w niepamięć niewygodne fakty. Z perspektywy hagiografów wszystko jest oczywiste, a przynajmniej takie im się zdaje.

Klio natomiast uwielbia paradoksy. Szczególnym sentymentem darzy na przykład wojska, w których nie tylko pachnie prochem, lecz także skrzypią stalówki, klekoczą maszyny do pisania i łomoczą drukarskie prasy. Ma również niezwykłą słabość do ludzi na rozstajach. Zna bowiem konsekwencje nieopatrzego kroku. Zdaje sobie sprawę, jak wiele zależy od przypadku. Nawet wszystko.

Po zakończeniu II wojny światowej Jerzy Giedroyc (tak jeszcze wtedy zapisywał swe nazwisko) znalazł się w sytuacji granicznej. Świadomość tego była dostatecznie silnym motywem, aby zająć się tym właśnie aspektem jego biografii. Wypada dodać, że istniały także inne, choć nie do wszystkich zaraz trzeba się przyznawać. Wystarczy wskazać jeszcze jeden: obecność w zasobach Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu setek, jeśli nie tysięcy listów pisanych i otrzymywanych przez Jerzego Giedroycia w latach 1944–1947. Pozwalają one rozpoznać okoliczności, w jakich dokonał on wyboru, który zdeteminował jego dalsze losy. Uzmysławiają charakter dylematów, jakie

przyszło mu rozstrzygać. Dają pewne wyobrażenie o skali emocji, jakie wówczas przeżywał. Dostarczają wreszcie istotnych wiadomości o ludziach, z którymi się przyjaźnił, współpracował, toczył spory.

Korespondencja, zwłaszcza prywatna, to niezwykle sugestywny materiał źródłowy. Zawarty w niej przekaz zwykle nie sprowadza się do prostej wymiany informacji. Nie pozostawia on czytelnika obojętnym, nawet jeśli dystans czasowy pomiędzy napisaniem listu a jego lekturą wynosi kilkadziesiąt lat. Dlatego właśnie w tekście eseju znalazło się tak wiele cytatów z pieczołowicie chronionej w Maisons-Laffitte korespondencji. Umieszczone w aneksie wybrane listy, pisane lub adresowane do pierwszo- i drugoplanowych bohaterów narracji, stanowią jej dopełnienie, a nie tylko ilustrację. W obu wypadkach uwspółcześniono jedynie ortografię oraz interpunkcję, zachowując oryginalną składnię oraz specyficzne zwroty. Zaznaczono wszelkie opuszczenia fragmentów niezwiązanych z meritem poruszanych w książce problemów. Redukcja do niezbędnego minimum aparatu naukowego nie była podyktowana względami oszczędnościowymi, lecz troską o spójność narracji i literackie walory tekstu.

* * *

Miłym obowiązkiem autora jest złożenie wyrazów wdzięczności wszystkim, którzy przyczynili się do wydania książki. Przede wszystkim kieruję je do redaktora „Biblioteki Mnemosyne” Piotra Kłoczowskiego. Gorące podziękowania składam władzom Instytutu Literackiego KULTURA, Wojciechowi Sikorze i Annie Bernhardt, za wyrażenie zgody na publikację wybranych listów z kolekcji korespondencji Jerzego Giedroycia oraz Józefa Czapskiego. Wdzięczny jestem ogromnie opiekunowi Archiwum Józefa i Marii Czapskich w Muzeum Narodowym w Krakowie, Januszowi Nowakowi, a także jego małżonce Marii za „zdeszyfrowanie” nieczytelnych dla zwykłego śmiertelnika, odręcznie pisanych listów autora *Prousta w Griażowcu* do Jerzego Giedroycia. Za wszechstronną pomoc dziękuję niezrównanemu *cicerone*

po zasobach i zakamarkach Domu „Kultury”, Leszkowi Czarneckiemu. Zawsze też mogłem liczyć na wsparcie Marii Wrede i Renaty Wójcik z Biblioteki Narodowej oraz Rafała Stobieckiego – przyjaciela z łódzkiej *Alma Mater*. Słowa podziękowania zechce również przyjąć Stanisław Rosiek.

I

Na początku listopada 1945 roku, po kilku miesiącach rozjazdów pomiędzy Londynem, Italią i Bliskim Wschodem, Jerzy Giedroyc zatrzymał się na dłużej w Paryżu. Zamieszkał w okazałym Hôtel Le Charron, przy 15, quai de Bourbon, gdzie kwaterował major Józef Czapski, szef Samodzielnego Wydziału Kultury i Prasy 2 Korpusu Polskiego. Znał go wprawdzie niespełna trzy lata (przed wojną widzieli się ledwo kilka razy), ale już po kilku miesiącach wspólnej służby w szeregach armii generała Władysława Andersa stał mu się równie bliski, jak przedwojenni przyjaciele – Roger Raczyński i Jerzy Niezbrzycki. Za jego sprawą został w czerwcu 1943 kierownikiem Redakcji Czasopism i Wydawnictw Wojskowych Armii Polskiej na Wschodzie, co pozwoliło mu znów spełnić się w roli łowcy literackich talentów i akuszerza programów ideowych. Dzięki niemu przeżywał okres intelektualnego rozbudzenia. Wprost „tarzał się w książkach”, na których lekturę w latach trzydziestych, gdy redagował „Bunt Młodych” i „Politykę”, nie miał ani czasu, ani nawet ochoty. Zapewne podzielał też opinię więźnia sowieckiego obozu jenieckiego, piszącego o towarzyszu niewoli: „Bezinteresowny do absurdu, uczciwy jak mieszkaniec Utopii, w osądach i ludzi i rzeczy niezależny od wiatru i chwili – był Czapski przede wszystkim kompasem”¹. Autora *Wspomnień starobielskich* zawsze urzekła śmiałość politycznych wizji przyjaciela, a także konsekwencja, z jaką nawet w skrajnie niekorzystnych warunkach dążył do ich urzeczywistnienia. Łatwo więc dał mu się przekonać, że powinien niezwłocznie przenieść siedzibę podległej mu placówki do jeszcze bardziej reprezentacyjnego gmachu przy

wschodnim nabrzeżu Wyspy Świętego Ludwika. Jerzy Giedroyć znalazł tam lokum również dla siebie.

W niczym nie przypominało ono przestronnego apartamentu przy ulicy Brzozowej w Warszawie, który zajmował do 4 września 1939 roku. Wyposażenie skromnego pokoju składało się jedynie z łóżka, szafy oraz etażerki. W miniaturowej kuchence nie zainstalowano nawet palnika gazowego, służyła więc za skład walizek. „Niestety – donosił Zofii Hertz – nie ma tu pieca, jest tylko kominek, ale jeśli nawet okaże się, że jest zdolny do funkcjonowania, to wcale nie jest pewne, czy można w nim palić węglem. W każdym razie jestem zadowolony, gdyż nareszcie mam jakiś własny kąt, mogłem rozpakować graty, których zebrało się nieprawdopodobnie dużo, no i książki, których mam taką masę, że nie włożą do dwóch skrzyń metalowych ogromnych. Jak mi nie przysłecie ze dwóch, trzech skrzynek amunicyjnych, to nie wiem, co będę robił w razie zmiany m[iejsca] p[ostoju]”². Wszystkie opisane w liście mankamenty *pied-à-terre* wydają się mało istotne, jeśli zważyć, że znajdowało się ono na poddaszu Hôtel Lambert.

Doprawdy, trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce na inaugurację nowego etapu emigracyjnej epopei Jerzego Giedroycia. Choć niezamieszкана od wielu lat rezydencja księcia Adama Jerzego Czartoryskiego mocno podupadła pod względem materialnym, to jednak w aspekcie symbolicznym wciąż nie mógł się z nią równać żaden z „polskich” adresów nad Sekwaną. Jej nowy lokator darzył „niekoronowanego króla Polski” wielką atencją. Rzecz jasna, nie za anachroniczny (już w chwili sformułowania) program uregulowania stosunków społecznych i politycznych w wyzwolonej spod władzy zaborców ojczyźnie. Widział w księciu Adamie prekursora myślenia o Rzeczypospolitej jako istotnym elemencie porządku europejskiego. Cenił za konsekwencję, z jaką przypominał on nie tylko dworom i rządowi, lecz także opinii publicznej Starego Kontynentu, że jej prawa zostały pogwałcone. Podziwiał wreszcie za koncept prezentowania polskich dążeń niepodległościowych w szerszym kontekście – walki o wolność ludów i narodów ujarzmionych przez rosyjski imperializm.

Po latach twierdził, że jeszcze przed zakończeniem II wojny światowej nosił się z zamiarem stworzenia wspólnie z Rogerem Raczynskim i Piotrem Dunin-Borkowskim „małego Hôtel Lambert”, oddziałującego – przede wszystkim przez kontakty towarzyskie – na obce środowiska polityczne. Przedwczesna śmierć obu dyplomatów pokrzyżowała jednak te plany³. Sztych z podobizną Xięcia zaś Jerzy Giedroyc powiesił na poczesnym miejscu w swym gabinecie w Domu „Kultury” przy 91, avenue de Poissy w Maisons-Laffitte. Przez sentyment czy wciąż dla inspiracji?

Publicyści emigracyjnych gazet i periodyków, wydawanych po klęsce wrześniowej we Francji, Wielkiej Brytanii, Italii oraz na Bliskim Wschodzie, nader często nawiązywali do losów dziewiętnastowiecznego wychodźstwa polskiego. Jedni czynili to ku przestrodze. Drudzy, by wpisać własne doświadczenie w bezlitosną „logikę” dziejów ojczystych. Jeszcze inni – z nadzieją na znalezienie recepty pozwalającej uniknąć kolejnej narodowej katastrofy, lub chociażby antidotum pozwalającego na jej przetrwanie. Pod koniec wojny przekonanie o konieczności przejścia obowiązków, jakie ongiś spoczywały na barkach Wielkiej Emigracji, stało się nagminne. Jednym z nielicznych głosów sprzeciwu wobec skutków terroru tego patriotycznego frazesu był pamflet Olgierda Górki *Psychoza „Wielkiej Emigracji”*.

„Emigrancka inteligencja obecnej chwili – pokpiwał jego autor – niemal już jest gotowa by rozdzielać między siebie «za życia» posady dziejowe nie tylko Mickiewiczów, Słowackich, ale także Lelewelów, Mochmackich itd. Brak nam na razie hrabiego Krasieńskiego, ale sądzę, że i taki z czasem podrośnie”. Historyk (notabene noszący za młodu legionowy mundur) nie potrafił doszukać się analogii pomiędzy wychodźstwami z 1831 i 1939 roku. Wskazywał za to na podobieństwa tego ostatniego z „białą” rosyjską emigracją po roku 1917. Dysponowała ona również okazałymi atutami militarnymi, w postaci floty czarnomorskiej kotwiczącej na redzie Bizerty oraz ewakuowanej z Krymu stutysięcznej armii generała Piotra Wrangla. Nie brakowało w niej także ludzi utalentowanych, a nawet cieszących się

szacunkiem polityków państw Ententy. „Wszystko to rozplynęło się w niebycie politycznym w ciągu lat 20 – konstatował – wsiąkło w dziesiątki innych narodowych społeczeństw, pozostawiając na powierzchni politycznej świata grupki starców bez znaczenia i młodzież zwącą się dawnymi Rosjanami, ale solidaryzującą się duchowo z heroizmem czerwonej armii i rolą dziejową Stalina. Gdzieś, gdzie, od czasu do czasu, przewija się z tego 2-milionowego świata po bruku warszawskim szlachetna postać tak niepospolicie inteligentnego Filosofowa, lub opinia europejska obudziła się na chwilę, na jedną notatkę dziennikarską wobec wiadomości, że tytan rewolucji rosyjskiej Sawinkow, wróciwszy dobrowolnie do Rosji Sowieckiej, rzucił się samobójczo z 4 piętra, gdy strażę przeprowadzały go na śledztwo”⁴.

Śladów lektury *Psychozy „Wielkiej Emigracji”* próżno szukać w listach i notatkach Jerzego Giedroycia z tego okresu. Zachowany w bibliotece Instytutu Literackiego oprawny rocznik periodyku, na którego łamach artykuł opublikowano, nie może więc służyć za świadectwo znajomości zawartych w nim tez. Nie ulega jednak wątpliwości, że redaktor „Buntu Młodych” i „Polityki” na tyle dobrze poznał w latach trzydziestych dramat „białej” rosyjskiej emigracji, że w połowie następnej dekady nie potrzebował pomocy Olgierda Górki, aby dostrzec w nim groźne memento. Nie zamierzał naśladować desperackich gestów lidera eserowców, choć jego imię zawsze otaczał prywatnym kultem. Za bardziej skuteczne uważał jednak metody działania gospodarza „Domku w Kołomnie”.

Decyzję o pozostaniu na emigracji Jerzy Giedroyc podjął jeszcze w drugiej połowie roku 1944, gdy stało się oczywiste, że Europa Środkowo-Wschodnia znajdzie się w sowieckiej strefie wpływów. Nie miał żadnych złudzeń co do intencji Josifa Wissarionowicza Stalina. Teorię komunizmu uważał za nie do pogodzenia z kulturą europejską, a jego praktykę – za zbrodniczą. O to, jaką postawę winni przyjąć Polacy w tak tragicznym momencie dziejowym, toczył w listach spory z Rogerem Raczyńskim, sprawującym wtedy funkcję posła RP

przy emigracyjnym rządzie greckim. Nie trafiały mu do przekonania argumenty przyjaciela, który obawiając się zagłady biologicznej substancji narodu polskiego, opowiadał się za podjęciem próby porozumienia z Kremlem, nawet za cenę przejściowej utraty kresów wschodnich. Nie od razu też skłonny był się z nim zgodzić, gdy przestrzegał przed aktami rozpacz, które poza „przyjemnością pozy na bohaterstwo” mogą jedynie przyspieszyć sowietyzację Polski. „Samobójstwo – tłumaczył dyplomata – popełnić samemu człowiekowi ostatecznie wolno. Człowiek jest ostatecznie panem własnego losu. Czy się ma prawo ryzykować samobójstwo narodu – dla najpiękniejszego gestu to jest pytanie – nad którym warto się zastanowić, i mam wrażenie, że się na nie musi odpowiedzieć – Nie!”⁵.

W pierwszych dniach sierpnia 1944 roku Jerzy Giedroyc gotów był ponieść śmierć, towarzysząc generałowi Kazimierzowi Sosnkowskiemu w skoku spadochronowym do walczącej stolicy Polski. Nie wierzył w sens, ani tym bardziej w sukces powstania. Uważał jednak, że mit, którym będą się karmiły przyszłe pokolenia, wymaga, aby „obok trupów żołnierzy Armii Krajowej znalazły się także «Poland'y» żołnierzy polskich walczących na Zachodzie”⁶. Naczelnny Wódz nie myślał jednak tymi kategoriami. W listach i dokumentach Jerzego Giedroycia z pierwszych lat powojennych nie ma natomiast nawet nikłego przejawu aprobaty dla prowadzonej w Europie Środkowo-Wschodniej walki zbrojnej ze Związkiem Sowieckim lub ustanowionymi przez niego reżimami komunistycznymi. „Nie jestem entuzjastą emigracji i prowadzę swoją polityczkę na boku całkowicie niezależnie – wyjaśniał Janowi Frankowskiemu – ale wydaje mi się, że cała emigracja, z wyjątkiem niepoczytalnych jednostek, jest przeciwna jakimkolwiek tendencjom czy odruchom powstańczym”⁷. W rzeczy samej po hekatombie Warszawy i ogłoszeniu postanowień konferencji jałtańskiej przywódca wychodźstwa bez rozgłosu zrezygnowali z widniejącego na sztandarach dziewiętnastowiecznej emigracji hasła wiecznej irredenty. Ideą przewodnią miał pozostać legalizm, gwarant zachowania ciągłości władzy państwowej⁸.

To, że Polacy przebywający na Zachodzie opowiedzą się za nim, uważano za oczywiste. „Ale czy Kraj – pytał w diariuszu Tadeusz Kattelbach – po tylu zawodach, mając na co dzień do czynienia z narzucanym reżimem, dochowa wierności legalnemu rządowi nad Tamizą, którego pole działania będzie z natury rzeczy ograniczone? Bo nie chodzi przecież o to, by rząd Arciszewskiego był rządem bezpieczeństwa! To sprawa względnie prosta. Ale chodzi o to, żeby ten rząd pozbawiony egzekutywy, spełniający w wolnym świecie rolę ambasadora milczącego z konieczności narodu, był przez niego uznany za jego rząd, pod względem prawnym, ideowym, moralnym, słowem za rząd j e d n y. [...] Tak czy owak, musimy być moralnie silni. Bo jeśli się na to nie zdobędziemy, nasz legalizm stanie się rekwizytem «pobożnych życzeń» bezpieczeństwa, oderwanych od rodzinnego Kraju, umierających na obcej ziemi w błogim przekonaniu, że do końca pozostali wierni sztandarowi niepodległości Polski”.

Niezgoda na niewolę ojczyzny była najważniejszym, ale nie jedynym motywem odmowy Jerzego Giedroycia powrotu do Polski. Jego antysowiecka orientacja polityczna nie była bowiem tajemnicą ani przed 17 września 1939 roku, ani po nim, mógł więc spodziewać się represji. Przewidywał wreszcie, że w kraju nie będzie miał żadnej możliwości prowadzenia działalności politycznej. A przecież to głównie ona nadawała sens jego życiu.

II

Jeszcze kilka miesięcy po wyzwoleniu Paryż jawił się tym, którzy znali go wcześniej, dziwnie smutny i zaniedbany. Po ulicach i nabrzeżach wałęsały się tłumy amerykańskich i brytyjskich żołnierzy. Ich schludne mundury kontrastowały ze skromnymi sukienkami Francuzek i znoszonymi garniturami Francuzów. Panowała drożyzna, brakowało opału, a żywność była dla wielu tak trudno dostępna, że powszechnie domagano się jej ponownego racjonowania. Niedogodności życia codziennego w istotny sposób wpływały na nastroje społeczne. W pierwszych wyborach parlamentarnych triumfowali komuniści, zdobywając przeszło 26 procent głosów. W kręgach intelektualnych ich wpływy były jeszcze większe.

Wielu Polakom nieznacznie tylko dotknięta zniszczeniami wojennymi metropolia mimowolnie przywodziła na myśl ruiny i zgłiszcza Warszawy. Widzieli w Paryżu koronny dowód niesprawiedliwości dziejowej. Gniewnie reagowali na widok przytwierdzonych tu i ówdzie do murów tabliczek z imionami i nazwiskami cywilów lub żołnierzy, upamiętniających miejsca, w których zginęli, walcząc o wolność Francji. Niektórzy utrzymywali nawet, że gdyby każdy poległy lub zamordowany na Woli, Żoliborzu czy Starym Mieście został w ten sposób uhonorowany, to „moglibyśmy z samych płytek nagrobkowych odbudować pół stolicy”¹.

Dokonująca się zmiana postawy społeczeństwa francuskiego wobec *Résistance* interesowała również Józefa Czapskiego, ale bynajmniej nie skłaniała do wypowiadania się z pozycji Katona. Nie odbierała także radości obcowania z Paryżem. Był nim urzeczony, w nie

mniejszym stopniu niż wtedy, gdy stawiał tam pierwsze samodzielne kroki jako malarz. W sążnistym (i jak zwykle ledwo czytelnym) liście donosił Jerzemu Giedroyciowi: „jakże ja się tu czuję w bardziej własnej skórze. Cały ten list piszę *en bras de chemise* w Dômie na Montparnassie na skromnej kanapie, na której siedziałem niezliczone razy 20–15 lat temu”². Nic więc dziwnego, że zżymał się na Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, gdy ten po zaledwie kilku dniach spędzonych nad Sekwaną w listopadzie 1945 roku opublikował w najważniejszym periodyku 2 Korpusu Polskiego zapis nieskażonych empią obserwacji.

Zakochany w Italii redaktor działu literackiego „Orla Białego” od razu dostrzegł w spojrzeniach pasażerów paryskiego metra „gorzką świadomość przegranej, obojętność na całą tę powojenną kakofonię pozorów nowego wspaniałego świata, dumę zadraśniętą poczuciem nierówności”. W lot odgadł, że przesadna służbiistość francuskich policjantów wobec cudzoziemskich żołnierzy wynika z kompleksu niższości. Nieskorzy do zabawy bywalcy nocnych barów, „kobiety o głupkowato kokieteryjnych uśmieszkach, mężczyźni oparci o ściany jak o latarnie” przypominali mu ludzi spotykanych na sowieckich dworcach. Czekali tam na zelzenie mrozu, a nie na przyjazd pociągu. Najbardziej zbulwersował go jednak obraz, jaki zobaczył po przestąpieniu progów ulubionej przez egzystencjalistów Café de Flore: „Jacyś brudasi o błędnym spojrzeniu i o rozwichrzonych włosach, a wokół nich rój rozwydrzonych egerii. Pachnie to wszystko mieszaniną Freuda, Lindsaya i najokropniejszej bohemy. Ta przeintelektualizowana dzicz uprawia na gruzach Europy filozofię, którą mój nowy znajomy, świetny znawca i miłośnik Francji, Andrzej Bobkowski, zestrzelił z wyżyn snobizmu dowcipnym powiedzeniem: «Gdyby nie nadzieja, że człowiek umrze, nie warto byłoby żyć»”³.

Powierzchowne krytyki nie dawały Józefowi Czapskiemu spokoju. Jeszcze dwa lata później zachęcał Polaków do wytrwałości w poszukiwaniach Francuzów wielkiego formatu, „niesparaliżowanych strachem”. Apelowal, aby pomimo dysproporcji cierpień doświadczonych

podczas wojny przez oba narody nie zapominali, że lekceważona teraz „siostrzyca” jest jedną z najważniejszych części składowych Europy, do której przecież należy także Polska. „Musimy – podkreślał – do Francji podejść nie jak barbarzyńcy germańscy w X wieku podeszli do Rzymian, ale jak obrońcy wspólnego nam cywilizacyjnego dorobku, nie urągając wzgardliwie”⁴.

Zapise w agendzie Jerzego Giedroycia nazwiska, adresy i numery telefonów dają jedynie mgliste wyobrażenie o jego politycznej aktywności w Paryżu. Zdawkowe notatki dotyczą głównie kwestii przyziemnych: nafty, prześcieradeł, koców. Jedynie 21 listopada uznał za stosowne zapisać pięć lakonicznych zdań: „Napisałem do Oła przez Kotta, do Eve, Zosi, Dudka, Prądyńskiej, Funarskiego, Telmanego. Przeczytałem «Kuźnicę», VI tom *Les Hommes de bonne volonté*. Nigdzie nie wychodziłem. Przyjechał Jerzy z Bruxelles. Udało się rozpalić na kominku”⁵. Kiedy czyta się listy, jakie wysyłał z Paryża, można odnieść wrażenie, że prawie nie opuszczał Hôtel Lambert. Nie ma w nich żadnych odniesień do problemów, którymi żyła ulica, prasa, Konstytuanta. Jedyne refleksy świadczące, że czasami decydował się na opuszczanie „rodaków koła”, to opowieść o spotkaniu w Café de la Rotonde z murzyńską prostytutką. Nie reflektował na jej propozycje, ale ponieważ wydała mu się zabawna, postawił jej aperitif i rozpoczął konwersację. „Opowiadała mi – relacjonował Zofii Hertz – o Amerykanach, że są *bons garçons*, i że Polaków jest taka masa w Paryżu. Pytam się o Moskali. Ach, mówi, ich też tu masa włóczy się po Montparnasse. Czy też są *bons garçons*? *Vous savez ils sont trop sauvages pour moi*. Myślałem, że pod stół wpadnę z radości”. Gwoli ścisłości trzeba dodać, iż wcześniej oznajmił adresatce listu: „Przyjechał tu Wraga na parę dni i szalejemy (niestety w sensie gadania i konferencji, a nie w sensie «paryskim»)). Tyle mam projektów, że czuję, że mi się mózg gotuje. Jeśli zimna mnie nie ochłodzi, to na pewno zwariuję”⁶. Tylko w chwilach zwątpienia zastanawiał się, czy Wacław Alfred Zbyszewski nie ma racji, przepowiadając mu z Londynu rychłą zagładę ludzkości wskutek amerykańskich eksperymentów z bronią

atomową. Wybuch nowej wojny światowej uważał za nieunikniony, i to w bardzo krótkiej perspektywie.

Pseudonimem „Ryszard Wraga” w okresie międzywojennym sygnował swe teksty o Związku Sowieckim Jerzy Niezbrzycki, gdyż z racji służby w Oddziale II Sztabu Głównego nie mógł podpisywać ich własnym nazwiskiem. Wiele z nich ukazało się na łamach „Buntu Młodych” i „Polityki”. Wybitnie inteligentny, dobrze władający piórem, a przy tym świetnie zorientowany w realiach Europy Wschodniej oficer szybko stał się jednym z czołowych autorów tych periodyków, a z czasem również przyjacielem Jerzego Giedroycia. Wiele lat później wyznał w liście: „właściwie uważałem go za brata. (Bez deklamacji!)”⁷. Wrzesień 1939 roku położył kres zarówno karierze wojskowej, jak i ambicjom politycznym kapitana Jerzego Niezbrzyckiego. Z tym większą determinacją parał się publicystyką. W 1945 roku nakładem Oddziału Kultury i Prasy 2 Korpusu Polskiego wydał kilka broszur. Dwie pierwsze jako „Bernard Andreus”, na okładkach pozostałych polecił umieścić dawne *nom de guerre*.

Nie był zachwycony miejscem, które Jerzy Giedroyć i Józef Czapski wybrali na swą kwaterę. Wypominał im potem, że musieli stracić zdrowie oraz mnóstwo pieniędzy, aby wyrwać ich z tej „stęchłej i pełnej pompacyjnej wspomnień bez treści nory”, w której zagrzebali się „ze Słowackim, Dostojewskim i resztą podejrzanych indywiduów”. Wzywał ich do niekontentowania się rolą *l o k a t o r ó w* w Hôtel Lambert, kultywujących dorobek postaci historycznych, a przy tym nie dość pewnych wartości własnych dokonań. Ostrzegł przed pułapką elitaryzmu: „nie róbcie ze siebie papierowych ko-chanków polityki. Nie szukajcie geniuszy, nie lekceważcie szarych, prostych ludzi. Nie słuchajcie z rozdziawionymi twarzami piękno- duchów, proroków, marzycieli, idealistów. Zadawajcie się z drania- mi, łobuzami, prostytutkami, alfonsami, ale wiedźcie coś więcej o życiu, niż można to dojrzeć przez okno pokoju Jerzego czy nawet Twoje, z widokiem na most, przez który nigdy historia nikogo nie potaszczy”. Obiecali poprawę, lecz próba wyjścia z intelektualnego

koła kredytowego pomimo wskazówki (nie mówić nic o Marksie, Pi-cassie ani dziejach papieżstwa, za to wiele o czarnym rynku) zakończyła się... jak zawsze. Jerzy – ironizował „Ryszard Wraga” – schował się, wychodząc z założenia, „że skoro wypowiedzi faceta nie dadzą się zastenografować i wydać natychmiast na welinie”, to szkoda dla niego czasu, który można spożytkować na wymyślenie kolejnego projektu nr 378.353.189⁸.

W istocie, inwencja Jerzego Giedroycia zawsze stanowiła nie lada jakie wyzwanie dla jego przyjaciół i współpracowników. W Paryżu zaś „genialne plany” znów sypały się z niego niczym z rogu obfitości. Szanse na ich realizację były jednak niewielkie. Ministerstwo Informacji i Dokumentacji (którego urzędnikiem wciąż pozostawał, podlegając zarazem dowódcy 2 Korpusu Polskiego) po wycofaniu przez mocarstwa uznania rządowi RP na uchodźstwie musiało drastycznie ograniczyć swą aktywność. Nawiasem mówiąc, w ocenie radcy w Departamencie Kontynentalnym ludzie, w których rękach znajdował się wówczas „depozyt niepodległości”, zasługiwali wprawdzie na szacunek, ale z pewnością nie ze względu na szczególnie rozwinięty zmysł polityczny. On sam natomiast (choćby z racji wieku oraz braku afiliacji partyjnej) nie był przez nich postrzegany jako potencjalny partner. Znalezienie przez Jerzego Giedroycia zatrudnienia w jednej z istniejących lub pospieszenie powoływanych placówek kulturalno-oświatowych także nie rozwiązywało problemu. Wyjściem z sytuacji było jedynie objęcie przezeń kierownictwa stworzonej od podstaw niezależnej instytucji – instytutu wydawniczego.

Pilną potrzebę powołania takiej placówki nad Tybrem Jerzy Giedroyc sygnalizował na początku 1945 roku generałowi Władysławowi Andersowi. Nie spotkał się ze zrozumieniem. W drugiej połowie roku usiłował więc zainteresować projektem przedsięwzięcia swego cywilnego zwierzchnika – ministra Adama Pragiera. Zasugerował utworzenie już nie jednej, lecz dwóch oficyn wydawniczych – w Rzymie i w Paryżu. Pierwsza miała nie tylko przyjmować wszelkie zamówienia politycznych i wojskowych władz RP na uchodźstwie, lecz także

starać się zaspokoić kulturalne i oświatowe potrzeby Polaków przebywających na terenie Italii, Afryki i Bliskiego Wschodu. Zadaniem drugiej miało być wykonywanie identycznych zadań wobec emigracji polskiej w Europie Zachodniej oraz wydawanie tygodnika pod tytułem (a jakże!) „Tribune des Peuples”. Zdając sobie sprawę, że realizacja zamysłu będzie wymagała okazałych środków finansowych, proponował, aby zdobyć je, wykorzystując różnicę kursu złota w Europie Zachodniej i na Bliskim Wschodzie. Przeprowadzony za pośrednictwem intendenty 2 Korpusu Polskiego dwukrotny obrót 25–30 tysięcy funtów między Egiptem a Italią powinien przynieść 100–150 tysięcy funtów, co wystarczyłoby na kapitał zakładowy i inwestycyjny obu placówek. Deficytowy, zarówno we Francji, jak i w Wielkiej Brytanii, papier postulował rekwirować w Italii lub kupować na tamtejszym czarnym rynku.

Nie doczekawszy się z Londynu żadnej odpowiedzi, Jerzy Giedroyć musiał po raz wtóry złożyć ofertę (w pierwotnej postaci) dowódtwu 2 Korpusu Polskiego, które jako jedyne mogło wyasygnować fundusze na jej urzeczywistnienie. W drugiej połowie grudnia wyruszył do Italii, zaopatrzony w list polecający Józefa Czapskiego do podpułkownika Wincentego Bąkiewicza. Cieszący się szczególnym zaufaniem generała Władysława Andersa szef Oddziału II Sztabu 2 Korpusu Polskiego przed Wrześniem 1939 roku zawiadywał referatem „Rosja”, analizującym doniesienia wywiadowcze zdobyte po wschodniej stronie granicy ryskiej. Uchodził wtedy za rywala kapitana Jerzego Niezbrzyckiego. Po traumatycznych przeżyciach w sowieckiej niewoli nie ukrywał żywionej do niego niechęci⁹. Nie darzył sympatią również Jerzego Giedroycia. Tajemnicą poliszynela było, że jesienią 1944 roku przyczynił się do pozbawienia go funkcji szefa Wydziału Czasopism i Wydawnictw Wojskowych 2 Korpusu Polskiego. Na prośbę przyjaciela zgodził się jednak na nieoficjalne spotkanie, aby „solidnie pogadać”¹⁰.

III

Nowy Rok 1946 Jerzy Giedroyc przywitał w Wiecznym Mieście. W kalendarzu zaznaczył, że powinien kupić książkę Alceo Valciniego *Il calvario di Varsovia 1939–1945*. Poniżej niebieskim ołówkiem zapisał w dwóch kolumnach kilka wyrazów, najważniejsze z nich to: „Drukarnia”, „Instytut”, „pismo”, „Hertzowa”, „Grudziński”. Na kolejnych kartach notował oprócz terminów spotkań także tytuły książek, które w pierwszej kolejności powinny zostać opublikowane. Zestawiał listy osób odpowiedzialnych za ich druk, redakcję, tłumaczenia. Rozważał, komu zlecić opracowanie projektu sygnetu oficyny wydawniczej i drukarni¹. Każdy z zapisów wskazywał na spełnianie się noworocznych powinszowań, jakie Józef Czapski zawarł w liście do przyjaciela: „Mój drogi Jerzy, [...] Tobie jednego tylko życzę, mój drogi i miły, żebyś mógł się rozpędzić i zrobić choć to część tego, co zrobić chcesz. Mam poza tym życzenie dla Ciebie osobiste, intymne, żebyś mógł być szczęśliwy, i zdaje mi się, że to jest przed Tobą, że to, coś mi mówił wtedy w nocy, kiedyśmy łazili na wyspie, dało mi jakąś wiarę, że będziesz szczęśliwy”².

Ku zaskoczeniu Jerzego Giedroycia podpułkownik Wincenty Bąkiewicz nie tylko przychylnie odniósł się do projektu instytutu wydawniczego, lecz postanowił go rekomendować dowódcy 2 Korpusu Polskiego. Sam bowiem nie dysponował środkami finansowymi niezbędnymi do uruchomienia placówki. Najwięcej miał kosztować znaleziony przez Jerzego Giedroycia nieopodal Lateranu „genialny obiekt”, wyposażony w kilkanaście maszyn drukarskich i kilka linotypów, dysponujący własną introligatornią, obszernymi

magazynami i pomieszczeniami biurowymi. Niewątpliwym atutem Officine Grafiche Italiane były posiadane przez nią prawa wydawnicze. Przepis zabraniający cudzoziemcom nabywania przedsiębiorstw można było łatwo obejść, czyniąc fikcyjnym właścicielem drukarni obywatela włoskiego. Bardzo wysoka cena, jaką należało zapłacić, stała jednak przedsięwzięcie pod znakiem zapytania.

O stopniu determinacji Jerzego Giedroycia świadczy gotowość zmierzenia się i z tym wyzwaniem. „W każdym razie gdyby nawet to nie doszło do skutku – uprzedzał Józefa Czapskiego – to będę montował Instytut, ma się rozumieć już bez drukarni, we własnym zakresie”³. Wierzył, że oszczędności kilku zaprzyjaźnionych oficerów z Korpusu Polskiego pozwolą mu na rozpoczęcie edycji kilku serii książek (pomników piśmiennictwa polskiego, powieści współczesnej, przekładów literatur obcych oraz prac naukowych dotyczących życia społeczno-gospodarczego). Chciał również wydawać (pod auspicjami UNRRA) pismo „Szukajmy się”, całkowicie bezbarwne politycznie, za to obejmujące swym zasięgiem także kraj. Spodziewał się zamówień z wojska, agend rządowych, YMCA, PCK...

Pod koniec stycznia był niemal pewny, że generał Władysław Anders znacznie ułatwi mu realizację tych planów. Nie czekając na podpisanie przez dowódcę 2 Korpusu Polskiego oficjalnego dokumentu, udał się do Londynu, aby uzyskać od Adama Pragiera błogosławieństwo oraz fundusze. Nalegał na to również po powrocie ze Szwajcarii (gdzie dzięki pośrednictwu Jerzego Stempowskiego nawiązał kontakt z emigrantami ukraińskimi) Józef Czapski. Ostrzegał wręcz, iż za kilka tygodni może być za późno. „Nie bardzo mogę pisać, dlaczego ten pośpiech – tłumaczył enigmatycznie w liście – ale to nie jest sprawa rozgrywek w ghetcie, ale pewnych decyzji poza nami, po ujawnieniu których w ogóle sprawa będzie nieaktualna”. Prawdopodobnie miał na myśli brytyjskie przygotowania do rozformowania Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie⁴.

Brak pozwolenia na wjazd do Anglii zatrzymał Jerzego Giedroycia w Paryżu. Nie wiadomo, czy w końcu posłuchał rady Jerzego

Niezbryckiego i wybrał się z Józefem Czapskim na koncert Edith Piaf. Może akurat obaj postanowili zastosować się do innej wskazówki przyjaciela: „Nie zapomnijcie czasem się urządzić”⁵. Czynność ta znacznie lepiej niż modny szlagier *Les gars qui marchaient* odpowiadała nastrojowi, w jakim pogrążał się Jerzy Giedroyc. Pisał o tym Zofii Hertz bez ogródek: „Mam katzenjammer i bardzo źle się czuję i smutnie. Przekonałem się zdaje się definitywnie w Bolonii, że nie jestem zdolny do swojego szczęścia osobistego, że jestem stary i że jestem śmieszny”⁶.

Zachowane fotografie nie potwierdzają trafności końcowej części autodiagnozy. W oczach współczesnych niespełna czterdziestoletni podporucznik czasu wojny również jawił się nieodmiennie jako „wybitnie, interesująco przystojny, bardzo elegancki, opanowany i uprzejmy”⁷. Tym, którzy poznali go bliżej, imponował także (choć zwykle nie od razu) przymiotami umysłu. Cywilni przełożeni cenili go za zaangażowanie i sumienność w wykonywaniu powierzonych zadań, bez porównania mniej entuzjazmu wykazywali dla śmiałych, by nie powiedzieć: karkołomnych inicjatyw. Zwierzchnikom noszącym oficerskie, a zwłaszcza generalskie epolety trudno się było pogodzić z niezależnością jego poglądów i z odwagą w ich wyrażaniu. Fanatyków regulaminu wprawiał w osłupienie zielony fular, jaki zdarzało mu się wiązać do munduru.

Nie ma powodu wątpić w deklarację Jerzego Giedroycia, że jego małżeństwo z Tatianą Szewcow rozpadło się jeszcze przed Wrześniem 1939 roku. Wspólne przeżycia wojenne zacieśniły jednak łączące ich przyjacielskie więzi. Po przeniesieniu 2 Korpusu Polskiego do Italii stałym motywem zapisków i listów Jerzego Giedroycia był niepokój z powodu braku wiadomości od przebywającej wciąż w Palestynie żony. Przeprowadzony w czerwcu 1945 roku formalny rozwód, a następnie ślub Tatiany z angielskim urzędnikiem również okazał się niełatwym przeżyciem. Kilka miesięcy wcześniej niezwykle dyskretny w wyjawianiu swych uczuć Jerzy Giedroyc zaczął napomykać w listach do Mai Prądyńskiej, Zofii Hertz i Józefa Czapskiego o niespełnionym

uczuciu, którego wtedy doświadczał: „Dokucza mi samotność, bezsilność i – o wstydzie! – odczuwam zupełnie drobnoburzuazyjne tęsknoty za zakochaniem się. Widać, że wiosna idzie, a co najważniejsze, że ze mną jest naprawdę widać niedobrze. Jeszcze trochę, a w ogóle dostanę się do czubków”⁸. Można jedynie zgadywać, czy z tego powodu wydał w swej agendzie na 1945 roku kartę 13–14 II. Okruchy informacji, wspomnień i odniesień, zawarte w korespondencji i notatkach, pozwalają odtworzyć bardziej czytelny obraz sytuacji emocjonalnej. Bez trudu jednak można oprzeć się tej pokusie.

Czytelnicy „Buntu Młodych” i „Polityki” zapewne pamiętali jeszcze skłonność ich redaktora do łamania politycznych tabu i konsekwencję w pozyskiwaniu świetnych piór. Potrafił przy tym wziąć w karby skupiony wokół periodyków „rozbiegany zespół pegazów i wykolejenców i pokierować nimi”⁹. Żelazną ręką zarządzał także Wydziałem Czasopism i Wydawnictw Wojskowych 2 Korpusu Polskiego. Samokrytycznie wyznał kiedyś Józefowi Czapskiemu: „Jestem faszysta – jak mówi Jerzy – i lubię ja decydować. A poza Tobą nie umiem z nikim ani się żyć, ani iść na kompromisy. Mój antytalent życia z ludźmi jest niesłychany. A przy tym w rocznych okresach o tych samych ludzi strzelam się jak idiota”¹⁰.

Słowa te już w niewielkim stopniu odnosiły się do członków środowiska, z którym Jerzy Giedroyć był związany przed Wrześniem 1939 roku. Wojna dotkliwie przetrzebiła jego szeregi, zanim w realiach podzielonej Europy uległo kompletnej dezintegracji. Najbardziej bolesną stratą była śmierć Adolfa Bocheńskiego. Błyskotliwy publicysta, erudyta w zakresie historii i stosunków międzynarodowych, słusznie uchodził za ideologa „Buntu Młodych” i „Polityki”. Jako zwolennik skrajnego realizmu politycznego opowiadał się za taktyczną kooperacją z Niemcami, stanowiącą alternatywę dla złowieszczej „linii Rapallo”. Po agresji III Rzeszy uznał, że nie ma dla niego bardziej odpowiedniego miejsca niż szeregi polskiej armii. Podczas kampanii norweskiej, francuskiej, libijskiej i włoskiej wielokrotnie wykazał się poświęceniem i odwagą. Nie mógł jednak pogodzić

się z perspektywą przejęcia kontroli nad Polską przez bolszewików. „Był zbyt religijny, by popełnić samobójstwo – twierdził Jerzy Giedroyc – ale szukał śmierci”¹¹. Znalazł ją w lipcu 1944 roku pod Ankoną, gdy ranny (z ręką na temblaku) rozbrajał miny. Jego towarzysz broni nie mylił się, sądząc, że był to „zabłąkany w nowoczesność ryccerz krzyżowy, noszący jednak w sercu nie dwanaście, ale dwadzieścia wieków chrześcijaństwa”¹².

Długoletnią znajomość z autorem *W czerwonej Hiszpanii* Jerzy Giedroyc spisał na straty przed jego wrześniową podróżą do Polski. Po raz ostatni spotkał się z nim w Londynie wieczorem 18 kwietnia 1945 roku¹³. Nigdzie nie zapisał, o czym rozmawiali. Relacje między nimi zaczęły się psuć jeszcze pod koniec lat trzydziestych, głównie na tle światopoglądowym. Po akcesie Ksawerego Pruszyńskiego do obozu politycznego generała Władysława Sikorskiego na pewien czas zerwali nawet wszelkie kontakty. Ich odbudowy nie ułatwiały symptomy kolejnej wolty ideowej znakomitego reportera, ujawnione podczas pełnienia przez niego misji attaché prasowego ambasady RP w Związku Sowieckim. Artykuł *Wobec Rosji*, który opublikował jesienią 1942 roku w „Wiadomościach Polskich”, nie tylko wprowadził dawnych przyjaciół w konsternację, lecz także wywołał w „polskim” Londynie prawdziwą lawinę oskarżeń. „Dmowski – pisał w nim – był największym wrogiem jakiegokolwiek akcji antyrosyjskiej w Polsce, i nic go to nie obchodziło, jaki ustrój ma w danej chwili Rosja. [...] Dzisiaj Dmowski byłby najlepszym naszym ambasadorem w Rosji. [...] Niestety, Dmowski nie żyje, i doprawdy «nie zostawił po sobie żadnego dziedzica, ani dla swej myśli, ani dla imienia». A szkoda”¹⁴. W wydanym jeszcze nad Tamizą esaju *Margrabia Wielopolski* rozwinął tezę o nieodzowności doprowadzenia, wbrew narodowym resentymentom, do konsensusu polsko-sowieckiego. Rok później demonstracyjnie zaciągnął się do służby dyplomatycznej Polski Ludowej. Nie zrezygnował przy tym z aktywności publicystycznej. Na łamach „Odrodzenia” drukował między innymi cykl tekstów *Dzieje emigracji londyńskiej*. Otwarcie deklarował, że pragnął nimi zburzyć niezwykle szkodliwy, w jego

mniemaniu, mit powrześnieowego uchodźstwa. „W przeszłości – dowodził – to ów właśnie mit nie pozwolił szukać wcześniej i w lepszych okolicznościach dróg do porozumienia z Rosją, utwierdzał w społeczeństwie mylne, fałszywe, a w następstwach zgubne przekonanie, że wyzwolenie Polski nadejdzie zza mórza i oceanów, odrywał Polskę od jej geopolitycznej rzeczywistości. W obecnym czasie mit londyński to mit czekania na nową wojnę, to mit wypatrywania interwencji, to mit odrywający od odbudowy poważne siły narodu”¹⁵.

W ślad za starszym bratem jesienią 1945 roku wrócił do kraju Mieczysław Pruszyński, autor między innymi zamieszczanych w „Buncie Młodych” i „Polityce” wywiadów ze współtwórcami II Rzeczypospolitej. On również znalazł etat w resorcie spraw zagranicznych. Jako pierwszy trafił tam Józef Winiewicz, pisujący w redagowanych przez Jerzego Giedroycia periodykach głównie o sprawach gospodarczych. Nie musiał nawet żegnać się z Londynem, gdzie spędził cztery lata wojny, ponieważ mianowano go sekretarzem tamtejszej ambasady Polski Ludowej.

Spośród czołowych autorów „Buntu Młodych” i „Polityki”, którzy przeżyli II wojnę światową na emigracji, u progu 1946 roku przebywał na niej nadal już tylko Jerzy Niezbrzycki. Los politycznego uchodźcy wybrała także Maja Prądyńska, formalnie sekretarka obu czasopism, *de facto* w pracy redakcyjnej prawa ręka Jerzego Giedroycia, a prywatnie jego wierna przyjaciółka.

We wrześniu 1945 roku Jerzy Giedroyć otrzymał za pośrednictwem Wacława Alfreda Zbyszewskiego odpisy kilku listów z Polski, adresowanych do Mieczysława Pruszyńskiego. Wśród nich była kartka z kilkoma zdaniem, które miesiąc wcześniej napisał w Krakowie Aleksander Bocheński, starszy brat Adolfa: „A teraz uwaga, bo piszę *de publicis*: Uważam, że powinniście wszyscy natychmiast wracać. Nie gwarantuję wam bezpieczeństwa (w przyszłości, na razie spokój), gwarantuję, że jesteście potrzebni, i to zaraz, i koniecznie jak najszybciej. Natychmiast po przyjeździe komunikujcie się wszyscy ze mną. Nie potrzebuję dodawać, że przyjęcie hegemonii sowieckiej

jest koniecznością, ale oprócz komunistów polskich reszta robi to bardzo niechętnie i bardzo nieudolnie. Jeżeli nie ma nas spotkać katastrofa, musimy dodać gazu, no i energii. Przyjeżdżajcie więc jak najprędzej”¹⁶.

Wezwanie długo pozostało bez odpowiedzi. Dopiero 16 listopada Jerzy Giedroyc stanowczo odmówił podzielenia argumentów autora apelu, a w konsekwencji także powrotu do Polski. Nie widział natomiast żadnych powodów, aby palić mosty łączące go ze starym przyjacielem i zarazem współtwórcą linii politycznej „Buntu Młodych” i „Polityki”. Rzecz jasna, nie był świadomy roli, jaką w pierwszych miesiącach 1945 roku Aleksander Bocheński odegrał w wykrystalizowaniu się środowiska politycznego (zdominowanego niebawem przez młodych działaczy radykalnej prawicy), gotowego współuczestniczyć w budowaniu zrębów władzy ludowej. Nie mógł znać treści memoriału, w którym Bocheński wyjaśniał, na jak wiele trzeba się ważyć, aby przetrwać okres konfrontacji wielkich bloków „z jak najmniejszymi stratami dla teraźniejszości i przyszłości, z zachowaniem jak największych sił materialnych i duchowych”. Zapewne nawet nie pomyślał, że hołdujący ongiś realizmowi politycznemu współautor *Polskiej idei imperialnej* może oczekiwać podjęcia przez władze Związku Sowieckiego działań obliczonych na „pozyskanie sobie w Polsce sprzymierzeńców w ewentualnej przyszłej walce z blokiem anglo-niemieckim”¹⁷.

O tym, że Aleksander Bocheński szukał kontaktu z redaktorem „Buntu Młodych” i „Polityki”, świadczy zagryzłomony świstek, który Jan Kott przywiózł do Paryża. Autor upominał się w nim jedynie o nekrologi i książki brata. Znacznie więcej Jerzy Giedroyc dowiedział się od doręczyciela grypsu podczas drugiej rozmowy. W liście do przyjaciela pytał o losy przedwojennych współpracowników i znajomych. Ciekawy był, czy w kraju można zdobyć książki i roczniki czasopism, które wydawał. Przede wszystkim jednak prosił Aleksandra Bocheńskiego o wszczęcie poszukiwań rodziców: „Od roku nie mam od nich żadnej wiadomości i jestem pełen czarnych przeczuć”¹⁸.

Ostatnim sygnałem, że Franciszka i Ignacy Giedroyciowie żyją, była kartka pocztowa wysłana przez matkę na umówiony adres w Sztokholmie 21 marca 1944 roku. Do rąk Jerzego Giedroycia dotarła jedenaście miesięcy później, w dniu, w którym usłyszał od żołnierza powstania warszawskiego: „czołgi niemieckie chodziły po Starym Mieście p o d o m a c h, tak były zniszczone”¹⁹. Nadzieja, że rodzice znaleźli się wśród tysięcy wypędzonych ze stolicy, topniała z każdym dniem. Otrzymana na początku lutego 1946 roku wiadomość o uznaniu ich za zaginionych wstrząsnęła nim do głębi. „Jestem – skarżył się Zofii Hertz – i ze zdrowiem źle, i psychicznie. Mam bardzo tragiczne wiadomości z kraju, które nagle napływają falą do mnie. W każdym razie od dwóch dni nie mogę spać i spędzam noce w fotelu. Boję się, że mam powtórkę swoich poprzednich bezsenności. Bardzo to mnie męczy i czuję, że jak tak dalej pójdzie, to zwariuję”²⁰. Niestety, złe przeczucia się potwierdziły. List z informacją o śmierci obojga rodziców, rzekomo z rąk ukraińskich żołnierzy, podczas pacyfikacji Starego Miasta, przywieźli do Rzymu na początku lutego 1947 roku Mieczysław i Ksawery Pruszyńscy.

Młodszy brat Jerzego, Zygmunt, przeżył niemiecką okupację i pozostał w Polsce. Nigdy już się nie spotkali. Zrazu utrzymywali tylko sporadyczne kontakty, w obawie przed represjami. Z najmłodszym, Henrykiem, który towarzyszył mu w Rumunii, na Bliskim Wschodzie i w Italii, żył się bardzo mocno. Dwudziestoczteroletni wtedy żołnierz 2 Korpusu Polskiego od czasu do czasu przysparzał mu swą niefrasobliwością немало kłopotów.

Z doniesień Aleksandra Bocheńskiego wynikało, że przebywający w kraju wspólni znajomi w zróżnicowany sposób adaptują się do nowej rzeczywistości. Konstanty Turowski został członkiem Krajowej Rady Narodowej, a Izidor Reisler (nazywający się teraz Jerzy Sawicki) – prokuratorem Sądu Najwyższego i Najwyższego Trybunału Narodowego. Piotr Dunin-Borkowski znalazł pracę w Instytucie Badawczo-Leśnym, a Konstanty Łubieński – w Ministerstwie Skarbu. Z kolei Stanisław Łoś wykładał w Katolickim Uniwersytecie

Lubelskim. Redaktor tygodnika „Dziś i Jutro” przemilczał jednak, że dwaj ostatni wcześniej byli aresztowani przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Nie zająknął się również ani słowem o Kazimierzu Studentowiczu, jednym z filarów „Buntu Młodych” i „Polityki”, silnie zaangażowanym w działalność Stronnictwa Pracy. Nie wspominał wreszcie o mieszkającym kilka ulic dalej Stefanie Kisielewskim, który związał się z „Tygodnikiem Powszechnym”. Zatrudniony w resorcie rolnictwa od 1944 roku Jan Frankowski sam wysłał list na adres Hôtel Lambert. Nic nie wskazuje na to, aby zawierał on jakieś polityczne przesłanie.

IV

Przedłużające się oczekiwanie na wydanie przez generała Władysława Andersa rozkazu powołującego do życia instytut wydawniczy i niczym nieuzasadniona zwłoka w wydaniu *movement order* do Londynu pogłębiały frustrację Jerzego Giedroycia. Doświadczający jej przejawów Józef Czapski być może przypomniał sobie wówczas diagnozę postawioną przez Jerzego Niezbrzyckiego: „tragedią osobistą Jerzego G. jest to, że szuka on oparcia poza sobą. [...] W wyniku tej tragedii nie ma w nim zupełnie cierpliwości. Wydaje mu się, że Bóg dał człowiekowi życie po to, żeby ten codziennie coś robił wielkiego, niepokojącego jego samego i innych. A z tej niecierpliwości wynika, że idzie on zbyt łatwo na kompromis z każdym, kto mu może ewentualnie oparcie do tej działalności dostarczyć. Stąd wynikają zresztą i ciągłe jego zawody, bo oczywiście 90% tak na łapu-capu wyszukanych oparców zawodzi. Pogłębia się niewiara we własne siły, pogłębia się niechęć”¹. Tak czy owak, chwycił za pióro, aby przypomnieć podpułkownikowi Wincentemu Bąkiewiczowi o oczekującym wciąż na akceptację projekcie Jerzego Giedroycia. Mimochodem napomknął, że materiał, jaki Giedroyc wybrał do druku, prezentuje się imponująco.

Prawdę mówiąc, Jerzy Giedroyc dopiero kreślił plany wydawnicze. Przesądzona była tylko polska edycja rozrachunkowej pracy Léona Bluma *À l'échelle humaine*. „Uzyskanie zgody autora napotkało na duże trudności – [tak] dalece Polacy są dziś kompromitujący – niemniej pozwolenie wreszcie uzyskałem” – z satysfakcją donosił Adamowi Ciołkoszowi. Proponował, aby lider Polskiej Partii Socjalistycznej napisał do niej zasadniczy wstęp. Przy okazji chciał się dowiedzieć,

czy w jego zasięgu nie znajdują się powieści, które pragnął wznowić, na przykład *Mogiła nieznanego żołnierza* Andrzeja Struga lub *Synowie klęski* Stanisława Szpotańskiego. Zamierzał też drukować *Słowo o Jakubie Szeli* Brunona Jasieńskiego z przedmową Gustawa Herlinga-Grudzińskiego². Obmyślił nawet sposób sprowadzenia z kraju dwustu matryc powieści wydanych przed wojną nakładem wydawnictwa „Rój”, które Melchior Wańkowicz (współwłaściciel firmy) postanowił oddać mu bezinteresownie. Trzeba było jeszcze „tylko” przekonać Quai d’Orsay, aby użyczyło w tym celu walizy dyplomatycznej.

Nie ma przekonujących dowodów na istnienie planu B, który Jerzy Giedroyć mógłby realizować po fiasku swoich pierwotnych zamierzeń. Czy rozważał wówczas ewentualność rezygnacji z aktywności politycznej? Jeśli nawet, to i tak był na nią skazany. Nie tylko z racji zainteresowań, temperamentu czy – *last but not least* – względów ideowych. Jakie inne zajęcie mógł znaleźć na obczyźnie nigdy niepraktykujący wyuczonego zawodu magister prawa, nieznający czynnie zachodnioeuropejskich języków? Jaki kraj pragnął wykorzystać jego doświadczenie urzędnicze? Jaki koncern prasowy potrzebował niepiszącego redaktora? Nie należy w tych pytaniach doszukiwać się szyderstwa, ani nawet ironii. Zostały postawione wyłącznie dla uzmysłowienia dramatyzmu sytuacji, w jakiej znalazł się Jerzy Giedroyć. Nie ma również niczego zdrożnego w jego niezgodzie na deklację czy też w zabiegach o zapewnienie sobie i swym współpracownikom warunków egzystencji pozwalających skoncentrować się na pracy niepodległościowej.

W sporządzonej 14 lutego 1946 roku notatce dla ministra informacji i dokumentacji Jerzy Giedroyć przedstawił kolejne argumenty przemawiające za utworzeniem nad Tybrem instytutu wydawniczego. Zdając sobie sprawę, że dni oficyn wojskowych są już policzone, ostrzegał przed skutkami pozbawienia uchodźstwa dostępu do publikacji będących literacką lub naukową alternatywą dla propagandowych druków sowieckich w języku polskim oraz pełnych fałszerstw dzieł „agencji warszawskiej”, które szerokim strumieniem

napływały do skupisk polskich na całym świecie. Podkreślał, że w obliczu systematycznego niszczenia w kraju książek nieakceptowanych przez reżim komunistyczny tylko emigracja polityczna zdolna jest przechować to, „co jest nieodzowne do zachowania ducha i myśli polskiej”. W konkluzji informował o uruchomieniu placówki, przy aprobachie i wsparciu dowódcy 2 Korpusu Polskiego, ponieważ sytuacja polityczna rozwija się z taką szybkością, że dalsze czekanie na werdykt cywilnych władz RP na uchodźstwie groziłoby zniweczeniem całej koncepcji. Nie omieszczał zaznaczyć: „jeśli Rząd nie przyjdzie mi z pomocą [w] realizowaniu Instytutu, to niemniej jego sugestie, potrzeby i wymagania będą zawsze przez Instytut załatwiane w miarę możliwości”³.

Nie wydaje się, by autor notatki blefował. Najwyraźniej wiedział już o tym, że 11 lutego generał Władysław Anders podpisał rozkaz (którego kopię otrzymał 22 lutego), wyznaczający na organizatorów instytutu wydawniczego w Rzymie: „ppor. G i e d r o y ć Jerzego, ppor. W ą c h a ł a Władysława, ppor. S i u t a Tadeusza”, oraz przeznaczającego kwotę 8 milionów lirów na zakup drukarni⁴. W dokumencie nie było wprawdzie mowy, komu przypadnie zawiadywanie erygowaną właśnie placówką, ale trudno było mieć co do tego jakiegokolwiek wątpliwości. Gwoli prawdy wypada jednak odnotować, że oficjalną nominację Jerzego Giedroycia na kierownika Instytutu Literackiego w Rzymie (Casa Editrice „Lettere”) podpisał dopiero 28 września 1946 roku Szef Sztabu 2 Korpusu Polskiego generał Kazimierz Wiśniowski.

Wiele wskazuje na to, że uruchamiając proces powstania Instytutu Literackiego w Rzymie, generał Władysław Anders nie potrafił przewidzieć wszystkich konsekwencji podjętej przez siebie decyzji, ale niech mu to będzie poczytane za wieczną zasługę dla kultury, nie tylko narodowej.

W pierwszych dniach marca 1946 roku Jerzy Giedroyc na dobre zainstalował się w Italii. Zapelnione cyframi, nazwiskami, tytułami, wskazaniemi karty jego agendy i notatników pozwalają się

zorientować w zakresie powinności, jakie wziął na siebie. Listy, które każdego dnia rozsyłał tuzinami do interesariuszy Instytutu Literackiego, świadczą niezbicie, że znów był w swoim żywiole. Wytrwale, choć z umiarkowanym powodzeniem zmagając się z problemami wynikającymi ze skomplikowanej sytuacji prawnej placówki, a także z jej bardzo kruchymi podstawami finansowymi. Walczył o przydział etatów, samochodów i sprzętu, rozsądzał spory kompetencyjne między podwładnymi, zabiegał o pożyczki, zbierał zamówienia dla drukarni, sondował możliwość kolportowania książek w innych krajach, w tym również w Polsce. Codziennie, od świtu do późnej nocy.

W chwili zniechęcenia spowodowanego piętrzącymi się kłopotami Jerzy Giedroyć zwierzył się ongiś w liście: „Przy pewnych talentach jestem zanadto bezradny życiowo i bardzo bym chciał mieć jakiegoś Giedroycia nr 2, który by biegał trochę koło mych spraw”⁵. Nie zauważył, że pragnienie ziściło się już w 1943 roku w osobach nowych przyjaciół: Józefa Czapskiego oraz Zofii Hertz? Uczucia, jakimi go darzyli, łagodziły poczucie osamotnienia. Fascynacja, jakiej oboje ulegli, sprawiała, że miał z kim dzielić spoczywające na jego barkach nie tylko prozaiczne obowiązki. Godziny spędzone z nimi na rozmowach, dziesiątki listów od nich otrzymanych utwierdzały go w poczuciu słuszności obranej drogi.

Więść o tym, że „sklepik” Jerzego Giedroycia z genialnymi pomysłami znów otworzył swe podwoje, błyskawicznie rozniosła się wśród uchodźców polskich po Europie, Stanach Zjednoczonych oraz na Bliskim Wschodzie. Wielu z nich, znających często tylko ze słyszenia jego właściciela, zostało wręcz zasypanych jego pytaniami lub dezyderatami. „Uruchomienie Instytutu – tłumaczył Wiktorowi Tomirowi Drymmerowi – wydaje mi się naprawdę rzeczą mającą duże znaczenie w naszym życiu emigracyjnym i chciałbym, by wszyscy nasi przyjaciele i znajomi chcieli ze mną współpracować i traktować tę imprezę jak swoją”⁶.

Najwięcej poleceń i sugestii napływało, rzecz jasna, do Hôtel Lambert. Jego lokator znosił jednak cierpliwie. Zaręczał nawet:

„choć jesteśmy wszyscy jednomyślnie przekonani, że jesteś najnieznośniejszym histerykiem na świecie, kochamy Ciebie wbrew wszystkiego w imię wskazań chrześcijańskich (moja zdradliwa maszynistka, kobieta, która zdeptała moją do siebie miłość, robi grymas i macha palcami, że nawet chrześcijańskiej miłości do Ciebie nie ma)”⁷. W końcu jednak i on uznał za konieczne upomnieć przyjaciela: „Twoje listy pasterskie muszą być w jakiejś proporcji do realnych możliwości, albo robią się czymś, czego Ci nie mogę przez Mysię napisać”⁸. Każdy, kto choć raz zetknął się z Adelą z Bohomolców Dziadulską, musiał to potwierdzić.

Polityczna autonomia Casa Editrice „Lettere” była solą w oku ówczesnego kierownika Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego profesora Władysława Folkierskiego. Dlatego też starał się on wymóc powierzenie funkcji kierownika literackiego placówki filologowi Michałowi Gwalbertowi Pawlikowskiemu, który w powszechnej opinii uosabiał typ fanatycznego zwolennika Romana Dmowskiego, wężącego wszędzie Żydów i masonów. Pragnąc uniknąć konfliktu z członkiem rządu RP na uchodźstwie, szef Instytutu Literackiego zgodził się jedynie na udział protegowanego w Komitecie redakcyjnym. Kiedy jednak ten zażądał wydania swojego historiozoficznego dzieła *Dwa światy* oraz poematu *Król-Duch* Juliusza Słowackiego (ze wszystkimi jego wariantami i komentarzami ojca – Jana Gwalberta Pawlikowskiego), Giedroyć postawił veto. W odwecie profesor Władysław Folkierski przesłał ministrowi Adamowi Pragierowi kopie czasopisma pod wdzięcznym tytułem „Coquette. La Cicala”, drukowanego przez... Officine Grafiche Italiane. Jerzy Giedroyć musiał się tłumaczyć, że wraz z zakupem drukarni przejął jej wcześniejsze zobowiązania. Zastrzegł jednak, iż nie widzi nic zdrożnego w zarabianiu na druku prasy (podlegającej przecież włoskiej cenzurze prewencyjnej), i dlatego wykonuje zamówienia składane zarówno przez partię socjaldemokratyczną, jak i populistyczno-monarchistyczny Fronte dell’Uomo Qualunge. O Janie Bielatowiczu, drugim protegowanym kierownika resortu oświaty,

napisał po latach: „Był to mój kolega z Brygady Karpackiej, ciekawy poeta, należący do kategorii przyzwoitych endeków”⁹. Propozycja zrównoważenia wpływów politycznych w Instytucie Literackim poprzez zatrudnienie doktor Karoliny Lanckorońskiej albo Włodzimierza Sznarbachowskiego na szczęście nie została wprowadzona w życie.

Z kształtowania wyraźnego profilu ideowego Instytutu Literackiego Jerzy Giedroyć nie zamierzał rezygnować. Szybko jednak przekonał się, że edycja zaplanowanych serii książek nie będzie łatwa do zrealizowania. Negocjacje z autorami (zwłaszcza cudzoziemskimi) szły jak po grudzie, szuflady wielu pisarzy okazały się puste, a politycy i żołnierze wcale się nie kwapili do pisania memuarów. W Rzymie brakowało nawet wartościowych książek polskich, które można by reprodukować metodą fotooffsetu. Dlatego też nie powinna dziwić obecność w listach Jerzego Giedroycia do przyjaciół i znajomych litanii pilnie poszukiwanych tytułów. Zwykle prosił ich jeszcze o zastanowienie się, co poza tym należy opublikować.

Literatury romantycznej wśród pożądaných przez niego książek było jak na lekarstwo. Uważał jednak, że w dorobku Instytutu Literackiego nie może zabraknąć reprintu pierwszego nakładu *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* z 1832 roku, który – jak pamiętał – ukazał się „w formie książki do nabożeństwa, gdyż Mickiewicz wydał je z myślą o wojsku”¹⁰. Już w listopadzie 1945 apelował do Zofii Hertz, by zamieściła w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” ogłoszenie o poszukiwaniu dzieł Juliusza Słowackiego i Cypriana Kamila Norwida: „Gdyby się tacy wariaci znaleźli, tom kupuj z miejsca, a pieniądze Ci zwrócę”¹¹. Myślał przede wszystkim o druku dramatu *Książę niezłomny*, ze względu na jego aktualny wydźwięk. „Ma się rozumieć – pisał do Józefa Czapskiego – musi on być poprzedzony wstępem napisanym bardzo emocjonalnie i «szlachetnie». Sądzę, że z grona znajomych Ty mógłbyś tę rzecz oprowadzić”¹². Nalegał również, aby przyjaciel lub jego siostra Maria (która po ucieczce z Polski zamieszkała w Hôtel Lambert) przygotowali wybór pism niedocenionego przez Wielką Emigrację wieszczka,

uwzględniający zwłaszcza jego listy. Ich uwagi zapewne nie umknęłyby ten, w którym Cyprian Kamil Norwid oznajmiał: „jestem z narodu, w którym od lat blisko stu każda książka wychodzi za późno, a każdy czyn za wcześnie. To jeno poprawiwszy można zbawić naród – *il n'y a rien de plus facile*”¹³.

Długa lista książek, które kierownik Casa Editrice „Lettere” chciał opublikować, dobrze świadczy o jego edytorskich ambicjach, nieco gorzej o rozpoznaniu rynku czytelniczego. Figurują na niej bowiem dzieła tej rangi co *Kultura odrodzenia we Włoszech* Jacoba Burckhardta, *Dzieje kultury polskiej* Aleksandra Brücknera, *Aecjusz* Teodora Parnickiego, *Lettres de Russie* Astolphe’a de Custine, *La lute avec l’ange* André Malraux, *For Who the Bell Tholls* Ernesta Hemingwaya oraz *Darkness at Noon* Arthura Koestlera. Na ich druk niepodobna było się porwać bez rządowych dotacji. Z całą pewnością nie pozwoliłyby na to zyski ze sprzedaży *Klaudiusza* Roberta Gravesa, *Jeziora Bodeńskiego* Stanisława Dygata, *Króla trędowatego* Zofii Kossak-Szczuckiej, *Czerwonych tarcz* Jarosława Iwaszkiewicza czy *Sobola i panny* Józefa Weyssenhoffa.

Nie tylko literackim smakiem, lecz także wyczuciem chwili wykazał się Jerzy Giedroyc, wydając w błyskawicznym tempie *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec*. Jego autor – Jerzy Stempowski (kryjący się pod pseudonimem Paweł Hostowiec) – właściwie do końca nie był do tego przekonany. Instynkt nie zawiódł również kierownika Instytutu Literackiego, gdy decydował o druku zestawionej przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego antologii noweli wojennej *W oczach pisarzy*.

Wiele energii włożył Jerzy Giedroyc w poszukiwanie autorów poradników, które miały ułatwić polskim emigrantom adaptację w krajach osiedlenia. Wyobrażał sobie, że Rafał Malczewski podejmie się napisania i zilustrowania informatora o Kanadzie, przypominającego w formie słynną książkę Arkadego Fiedlera. Podkreślał, że muszą w nim zostać „opisani Polacy, Litwini, Ukraińcy i inni

znajdujący się tam międzymorzanie”¹⁴. Mając na względzie potrzeby żołnierzy Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, rozglądał się nawet za „londyńską Ćwierczakiewiczową”.

Wciąż miał nadzieję na uruchomienie edycji „Tribune des Peuples”. Nie wzbraniał się także przed propozycją drukowania przez Officine Grafiche Italiane reaktywowanych przez Mieczysława Grydzewskiego „Wiadomości”. Rychło jednak przestała być ona aktualna.

Za optymalne wówczas rozwiązanie Jerzy Giedroyć uznał „robienie przekładańca” z lektur poczytnych i ambitnych. Niełatwo przy tym dawał się przekonać, że czasem się myli w doborze jednych i drugich. Owszem, przyznał rację Józefowi Czapskiemu, że lepiej pokusić się o druk przekładu powieści Simone de Beauvoir *Sang des autres*, niż wznawiać *Dziecko salonu* Janusza Korczaka. Puścił jednak mimo uszu uwagę przyjaciela dotyczącą celowości wydania książki Léona Bluma: „Kupi Ciołkosz i 2 pod-Ciołkoszów”¹⁵. Nie zaniechał również zamiaru opublikowania *Legionów*, pomimo ostrzeżenia, iż książki nie byli w stanie przeczytać nawet najwięksi admiratorzy Henryka Sienkiewicza. Upierał się, że literatura nie najwyższych lotów też może kształtować właściwe postawy. Kiedy Józef Czapski zarzucił mu słabość do grafomanów w rodzaju Stanisława Szpotańskiego, autora wznawianych właśnie przez Instytut Literacki *Prometeuszy*, sięgnął po argumenty zgoła odmiennej natury: „Jest to człowiek piszący przy ciężkawo, bez pojęcia o budowie powieści, ale materiał jest bardzo źródłowy i ciekawy i analogie i przestrogi są wręcz przerażające. Dałem to, bo uważam, że książka, która głosi hasło walki wbrew wszystkim i wszystkiemu o prawo wolności, jest dziś potrzebna”¹⁶.

Jerzy Niezbrzycki krytykował plan Casa Editrice „Lettere” z pozycji ideologicznych. Potępił zwłaszcza umieszczenie w nim prac, w jego mniemaniu defetystycznych, pióra... Léona Bluma, Pawła Hostowca i Arthura Koestlera. *Darkness at Noon* wydała mu się wręcz dziełem prosowieckim. Być może był to pierwszy symptom choroby zawodowej oficerów wywiadu, która w pełni objawiła się w roku 1951¹⁷.

Za wystarczający motyw reedycji trylogii Władysława Reymonta Rok 1794 Jerzy Giedroyc uznał jej aktualność, zarówno w aspekcie politycznym, jak i społecznym. Decyzję o wydaniu *Miasta mojej matki* Juliusza Kadena-Bandrowskiego podjął, gdy dowiedział się, że rodzina śmiertelnie ранego podczas powstania warszawskiego autora żyje w niedostatku. Nie wiadomo natomiast, czy poza merkantylnymi jeszcze jakieś względy przemawiały za drukiem trzech tomów złodziejskiej sagi Sergiusza Piaseckiego. Chyba nie tylko je miał na myśli, wtrącając do jednego z listów skargę: „na starość zajmuję się drukowaniem złych książek”¹⁸.

V

Pierwszym tomem wydanym przez Instytut Literacki w Rzymie były *Legiony* Henryka Sienkiewicza. Na skrzydełku obwoluty edytor ogłaszał, że „pragnie nawiązać w swej działalności do słów, stanowiących przed 150 laty akt erekcyjny Legionowego Instytutu Nauk we Włoszech: «W one umiejętności zasobni, niosąc prawdziwe i czyste republikańskie serca, gdy do Ojczyzny powrócimy, staniemy się dla Niej bardziej użyteczni, niżeli dawni bracia nasi, pielgrzymujący po świecie»”. Nie zachował się ani jeden przekaz, jak odczytywano te słowa. Miały zbyt duży ciężar gatunkowy, aby dało się je łatwo przekuć w slogan reklamowy. Śmiało natomiast mogły uchodzić za namiastkę, a nawet kwintesencję deklaracji ideowej. Nie tylko edytorów, lecz także czytelników książki.

Dla tych spośród nich, którzy wciąż nosili mundury z Korpusu Polskiego, lektura niedokończonej powieści Henryka Sienkiewicza musiała być szczególnie gorzka. Zrozumiałe więc, że autor obszernej przedmowy starał się wzbudzić w nich nadzieję, iż wkrótce dopiszą swej wojennej epopei rozdział ostatni. Zupełnie inny od tego, który zamknął historię Legionów Polskich generała Jana Henryka Dąbrowskiego. Jakże oderwane od geopolitycznych realiów może się wydawać współcześnie nadanie przez Jana Bielatowicza rangi „pacierza narodowego” wyznaniu jednego z Sienkiewiczowskich bohaterów: „Po świecie mówią: nie ma już Polski! A Polska tu jest. I może Bóg da, że nie dziś, to jutro, bagnety nasz przewierci przez Austrię drogę do ojczyzny”¹. Jakże łatwo dworować sobie, że *passus* ten należałoby raczej umieścić na afiszu biura werbunkowego lub w programie

szkoly podchorążych niż w manifestie oficyny wydawniczej. Pod warunkiem, że abstrahuje się od nastrojów panujących wtedy wśród podkomendnych generała Władysława Andersa. Gdy arbitralnie uzna się Jana Bielatowicza za *porte-parole* Jerzego Giedroycia.

Tymczasem nie był nim ani redaktor „Biblioteki Orła Białego”, ani też Gustaw Herling-Grudziński, który napisał wstęp do opublikowanych kilka tygodni później *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza. Pierwotnie uczynić to miała Maria Czapka. Nadesłana przez nią z Paryża *Nota o powstaniu „Ksiąg”*, gęsto przetykana cytata z listów poety, została (wskutek nieporozumienia) wydrukowana w tomiku anonimowo. Może i dobrze, gdyż z poprzedzającym ją tekstem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego nie mogła się równać. Autor *Żywych i umarłych* nie pierwszy raz chwycił za pióro, by zmierzyć się z dziedzictwem Wielkiej Emigracji. Na łamach „korpuśnych” periodyków od dawna zamieszczał nieortodoksyjne interpretacje dzieł wieszczów. Sprawdzał, które z nich wytrzymały próbę czasu. Nie tylko diagnozował, lecz także próbował neutralizować romantyczne jady. Krytycznie oceniał strategię księcia Adama Czartoryskiego. Nad antyszambrowanie w siedzibach monarchów i rządów przedkładał bowiem współpracę z ciemieżonymi narodami. „Nie po to zostaliśmy w E u r o p i e – przypominał rodakom – żeby przyglądać się nadchodzącym nieuchronnie wypadkom z wygodnej łoży. Wszystko, czym żyjemy w tej chwili, a więc narodowa, kulturalna i gospodarcza zdolność przetrwania, musi stać się czymś wtórnym i podrzędnym w stosunku do zadania, które nas czeka”².

Zagadką wciąż pozostaje, z czyjej inicjatywy Gustaw Herling-Grudziński przygotował przedmowę do *Ksiąg*. Z własnej czy Jerzego Giedroycia? Nie jest też wcale pewne, że kierownik Casa Editrice „Lettere” zapoznał się z nią przed oddaniem tomu do druku. Na początku maja wyjechał bowiem do Londynu, gdzie konferował między innymi z prezydentem RP na uchodźstwie Władysławem Raczkiewiczem. Nie było go zatem w Wiecznym Mieście, kiedy Gustaw Herling-Grudziński zakończył pracę nad tekstem. Zofia Hertz uznała, że

jest znakomity – „tylko trochę rewolucyjny. Wymyśla nam słowami Mickiewicza, aż trzeszczy, i «szarga narodowe świętości». [...] Gdybym wiedziała, gdzie jesteś, przysłałabym Ci odpis, ale to duża kobała”³. W drodze powrotnej z Anglii Jerzy Giedroyc zatrzymał się na kilka dni najpierw w Hôtel Lambert, a następnie w kwaterze głównej 2 Korpusu Polskiego w Ankonie. Do Rzymu dotarł najwcześniej w połowie czerwca, gdy książka była już gotowa. Nic nie wiadomo, aby w mowie lub piśmie komentował treść przedmowy. Wartość jej potwierdził trzydzieści pięć lat później, wydając reprint *Ksiąg* dla nowej fali polskich emigrantów.

Gustaw Herling-Grudziński ani myślał wznosić Adamowi Mickiewiczowi nowej kapliczki. Konstatując pewne podobieństwo losów emigracji popowstaniowej oraz wojennej, ostrzegał tę ostatnią przed pokusą zdążania ku wolnej Polsce utartą przed stuleciem koleiną. W imię ocalenia rzeczywistej wartości *Ksiąg* domagał się od niej niezwłocznego zrzucenia jarzma narodowego mesjanizmu. Wyzbycia się megalomanii narodowej, wywodzącej się „ze złudnego założenia, że wartość poświęcenia i ofiary oceniana jest w świecie kryteriów politycznych i społecznych tą samą miarą, co w świecie norm moralnych”. Wyrzeczenia się cierpiętnictwa „kompensującego swym natężeniem i siłą prawdziwy czyn rewolucyjny i jego konsekwencje”. Odżegnania się od naiwnej wiary w świetność własnej tradycji. „Współczesny więc Polak – argumentował – nie może być nędzarzem, okrywającym swą nagość strzępami płaszców królewskich, ale tylko spadkobiercą i wykonawcą idei dziejowej państwa polskiego”. „Przez zwyciężony i odnowiony” wieszcz jawił się Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu jako zwolennik sprzęgnięcia walki o niepodległość z rewolucją społeczną oraz wyznawca dogmatu „solidarności ludów”. Dlatego powtarzając za nim słowa modlitwy: „O wojnę powszechną za wolność ludów”, powoływał się nie tylko na krew i cierpienie ofiar Katynia, Oświęcimia i Majdanka, lecz także na „trud, ofiarność i godność wszystkich ludzi żywych, którzy poczułi się dzięki tej wojnie prawdziwymi Europejczykami”⁴.

Józef Czapski przerzucał strony rzymskiej edycji *Ksiąg* ze wzruszeniem. „Wstęp Grudzińskiego – pisał do Jerzego Giedroycia – w ustawieniu w kierunku b a r d z o mi się zdaje dobry”. Żałował jednak, że autor nie wspomniał o starszych braciach w wierze. Zżył się również na brak w tekście kategorycznego stwierdzenia, iż „mesjanizm jest z punktu widzenia każdej mistyki, wcale nie tylko katolickiej, bardzo fałszywą herezją, że wszystkie *Herrenfolki* od tej mistyki idą”⁵. Jego stanowczość była zrozumiała, zważywszy na rozpowszechnienie tej intelektualnej aberracji wśród polskich emigrantów. Był świadkiem, jak podczas mszy za duszę Marszałka, odprawionej w paryskim kościele, kaznodzieja „stwierdził prawie, że Piłsudski był prorokiem, który n i g d y się nie mylił, że w s z y s c y, którzy próbowali myśleć inaczej, z a w s z e się mylili i teraz musi każdy to przyznać, nie tylko to, ale że ośmielamy się zwalczać wiernych synów Piłsudskiego i nawet sądzić piłsudczyków – a przecież każdego Sławoj, każdego Galinat – to byli apostołowie naszego Chrystusa Piłsudskiego – więc kanonizowani i nieomylni”⁶.

O rychłe porzucenie bezrefleksyjnego kultu przodków apelował wtedy również Jerzy Niezbrzydcki. Sam w każdym razie nie zamierzał pozostawać zakładnikiem stworzonych przez nich idei. „Wizje Sułkowskiego, Mickiewicza, Słowackiego czy Piłsudskiego, którymi żyjemy – przekonywał (zupełnie niepotrzebnie) Józefa Czapskiego – są wizjami wstecznymi. Są literaturą – nie są życiem. Polityczną wizję Piłsudskiego trzeba uzbroić w miąższ społeczny, oczyścić ją od momentów nacjonalizmu, dać treść bardziej międzynarodową – to będzie nowy, żywy «Piłsudski». My żyjemy i grzebiemy się w starym, dawnym. Dawny leży sercem na Rosji – cóż pójdziesz naprzód zdobywać: Rosję czy wolność narodu?”. Rozstrzygnięcie tego dylematu mogło niebawem wykraczać poza możliwości emigracji, gdyż zdaniem „Ryszarda Wraży” stawała się coraz bardziej reakcyjna. Wróżyło to jak najgorzej jej kontaktom z krajem, w którym postępował proces uspołecznienia narodu. Diagnoza: „Polska – mój Drogi – już nie idzie, lecz wywraca się na lewo”⁷, nie wprawiała jednak w przerażenie ani Józefa Czapskiego, ani Jerzego Giedroycia.

Ich niepokój budziła natomiast postawa dawnych przyjaciół, którzy nie dostrzegając alternatywy dla prosowieckiego reżimu nad Wisłą, uznali za konieczne ofiarowanie mu swych talentów. Efekty ich pisarskiego trudu, jeśli w ogóle docierały do Francji, Italii lub Wielkiej Brytanii, to z dużym opóźnieniem. Skuteczna reakcja na nie była więc niemożliwa. Kto wtedy w kraju mógł przeczytać protesty lub sprostowania drukowane na łamach emigracyjnych gazet i czasopism? Nie da się również zaprzeczyć, że „Jest bardzo głupio wobec swojego «portretu» mówić: jestem niepodobny”⁸.

Palma pierwszeństwa w kategorii „paskwile” przypadła Adolfowi Rudnickiemu za nakreślenie psychologicznego konterfektu Józefa Czapskiego, z którym ongiś był bardzo blisko związany. Jego rysami obdarzył tytułowego bohatera noweli *Major Hubert z Armii Andersa*. Grzechem głównym tego politycznego i życiowego bankruta była niemożność przyjęcia do wiadomości, że mordu katyńskiego dokonali Niemcy: „Uwierzywszy w zbrodnię, użył wszystkich sił do walki z tymi, którzy ją według niego popełnili. [...] Głosił nienawiść do Rosji i do Rządu Jedności Narodowej. Zerwał ze wszystkimi, którzy nie zgadzali się z nim. Zaczął ich nazywać zdrajcami i targowiczankami; nazwy te są często w użyciu wśród naszej emigracji zachodniej. Był człowiekiem dużej wiedzy, znał Zachód, znał języki, rychło mu więc podsunięto odpowiedzialne stanowisko w prasie i propagandzie, gdzie swojej rzekomej prawdzie mógł nadawać kształt ogólnopolityczny. I korzystał niestety z tego stanowiska”⁹.

Autor *Margrabiego Wielopolskiego* nie posunął się aż tak daleko. „Nieodnalezienie się” w 1941 roku więźniów obozów w Ostaszkowie, Starobielsku i Kozielsku nazwał „ciemną chmurą na i tak zachmurzonym horyzoncie rosyjsko-polskim”. Nie oskarżał jednak sprawców mordu katyńskiego, lecz tych spośród polskich emigrantów, którzy po jego odkryciu wywołali burzę, zmuszając tym samym władze sowieckie do zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem generała Władysława Sikorskiego. Tragicznie zmarły w katastrofie gibraltarskiej premier w jego opinii był nie tylko wcieleniem

niepodległościowej legendy. Ubolewał jednak, że „w fałdy tej legendy zaplątało się, niestety, zbyt wiele nienawiści do Rosji”¹⁰.

Mieczysław Pruszyński starał się dotrzymać kroku starszemu bratu. Jako kierownik służby prasowej ambasady Polski Ludowej w Rzymie nadzorował wydawanie „Wiadomości Polskich”, których jedynym zadaniem było nakłanianie żołnierzy 2 Korpusu Polskiego do powrotu do ojczyzny. Z czasem zaczął zamieszczać w periodyku własne teksty. Dał się w nich poznać jako entuzjasta epokowych dokonań Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej oraz rzecznik budowania przyszłości Polski na fundamencie sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Z pasją piętnował błędy przywódców niepodległościowej emigracji, zwłaszcza generała Władysława Andersa. Nie kontentował się roztaczaniem przed jego podkomendnymi wizji nowego San Domingo. Głosił, że znaczna ich część chce pozostać na Zachodzie z pobudek ekonomicznych, a nie patriotycznych. Winą za wzniecanie lęku przed represjami w kraju obarczał Wydział Propagandy 2 Korpusu Polskiego, od czterech lat pracujący „nad zohydzeniem Rosji i Polaków z nią współpracujących”¹¹. Za dowód miał posłużyć końcowy fragment *Majora Huberta z Armii Andersa*, przedrukowany na sąsiednich stronach tygodnika. Nie było w nim jednak wzmianki o Katyniu.

Aleksander Bocheński w liście do Jerzego Giedroycia, dołączonym do przesłanych w kwietniu „okazją” do Rzymu fotografii poległego brata, napisał: „Tu robi się gorąco, niestety brak ludzi przytomnych, którzy by powstrzymali młodzież od partyzantki i ekscesów. To się może b. smutno skończyć”. Zamiast podpisu wystukał na maszynie: „Al.”. Autor rozprawy *Mobilizacja sił niemieckich w Polsce*, wydanej nakładem „Polityki” niedługo przed wybuchem II wojny światowej, miał tyle odwagi, by własnoręcznie nakreślić na odwrocie kartki: „Z serdecznym uściskiem dłoni Twój J[ózef] Winiewicz”¹². Kilka miesięcy później objął urząd ambasadora Polski Ludowej w Waszyngtonie.

W drugiej dekadzie września dotarł do Casa Editrice „Lettere” z posłaniem Aleksandra Bocheńskiego oraz wiadomościami od Jana

Frankowskiego i Stefana Kisielewskiego redaktor tygodnika „Dziś i Jutro” Dominik Horodyński. Jerzy Giedroyc rozmawiał z nim trzykrotnie, a podczas ostatniego spotkania wręczył listy do uprzednio wymienionych. Odpowiednio do stopnia zażyłości dawkował im informacje o swych spostrzeżeniach i zamiarach. „Tak jak Panowie próbuję i ja wznawiać tradycje «Polityki» i «Buntu Młodych»” – z dumą, choć niezbyt roztropnie, donosił felietoniście „Tygodnika Powszechnego”. Bez ogródek poprosił go o wyszukanie w kraju manuskryptów zasługujących na wydanie w Rzymie¹³.

Tylko Aleksandrowi Bocheńskiemu wyjawiał, że spodziewa się w ciągu kilku lat wybuchu konfliktu amerykańsko-sowieckiego, który do reszty zdruzgoce Stary Kontynent. Mimo to uważał, że Polacy powinni wziąć udział w jego kulminacyjnej fazie. Nie wolno im natomiast „głupio się wykrwawiać od początku”. Dał się również poznać jako zwolennik rewolucji, antykapitalistycznej i antykomunistycznej zarazem. Nie ukrywał, że chce mieć swój udział w wykuwaniu idei, „która dla Europy odegra rolę nowej rewolucji francuskiej”. Zarysowany w liście scenariusz rozwoju sytuacji dopełniała oferta współdziałania. Jej podstawą było przekonanie o zgodności celów politycznych i zrozumienie, że dążenie do ich osiągnięcia wymaga w kraju sięgnięcia po metody odmienne od stosowanych na emigracji. Bez ceremonii pisał: „Myślę, że najlepiej postawmy sobie sprawę w ten sposób, że mamy do siebie zaufanie, że prowadzimy dobrą robotę i nie jesteśmy zdrajcami, bądźmy w możliwie ciągłym kontakcie i pomagajmy sobie wzajemnie. Po prostu stańmy się masonerią *sui generis*. Nie jest to zdrowe na stałe opieranie wszystko na personalnym kontakcie czy zaufaniu, jak świadczą liczne przykłady, ale i tak to wszystko potrwa tylko parę lat”¹⁴.

Adresatem propozycji była większość zaangażowanych w życie społeczno-polityczne Polski Ludowej dawnych publicystów „Buntu Młodych” i „Polityki”. Nie dotyczyła jedynie ludzi bez zasad, do których Jerzy Giedroyc zaliczał w pierwszym rządzie braci Pruszyńskich. Aleksander Bocheński uznał ją za niepoważną i niebezpieczną.

Informując o tym przyjaciela, nie omieszczał dodać, że zanim oferta do niego dotarła, zapoznali się z nią funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Zapewne nie tylko ci, którzy na Okęciu skonfiskowali wszystkie listy przywiezione do Polski przez Dominika Horodyńskiego. Donosił o tym grubo poniewczasie, gdy zasiadał w ławach poselskich Sejmu Ustawodawczego. W sfałszowanych przez komunistów wyborach mandat uzyskał także Jan Frankowski. Dla kierownika Casa Editrice „Lettere” nie był to wystarczający powód, aby zerwać z nimi wszelkie kontakty. Przez kilka lat wierzył, że łączy ich coś więcej niż wspólna przeszłość.

W „polskim” Londynie czyn Jerzego Giedroycia uznano by, w najlepszym razie, za przejaw politycznej naiwności lub braku znajomości krajowych realiów. Zważywszy jednak, iż jego autor był wciąż oficerem w służbie czynnej, zapewne wysunięto by przeciw niemu znacznie poważniejsze zarzuty. Jerzy Niezbrzycki był treścią listu do Aleksandra Bocheńskiego wprost przerażony. Swoją stosunek do poszukujących porozumienia z zainstalowanym w kraju reżimem wyraził jasno i dobitnie w broszurze opublikowanej jeszcze w 1945 roku:

„Linia podziału musi być wyraźna i dokładna. Nie można pozwolić na to, by ktokolwiek wyobrażał sobie, że można w równie przyjacielskiej atmosferze zjeść śniadanie z «nieprzejednanym», a kolację z «kapitulantom», że do *bridge’a* można usiąść w mieszanym zespole, pod hasłem «kochajmy się!». Tu o zbyt ważne rzeczy chodzi, by można było pozwolić na tryumf oportunistów i hamletyzmu.

Z biernego poddawania się kapitulacji rozgrzeszeni są jedynie rodacy przebywający w kraju i tak długo, dopóki są w kraju. Z chwilą gdy Kraj chwilowo czy tym bardziej na stałe opuszczają i wśród emigracji działają na rzecz kapitulacji, tracą swój bierny charakter ofiar okupacji i stają się automatycznie agentami wrogiej propagandy, bez względu na to, jakimi pobudkami się kierują, bez względu na to, jakie przyczyny ich do tego zmuszają”¹⁵.

Jeżeli nawet Jerzy Giedroyc nie przestudiował dokładnie *savoir vivre* u politycznego emigranta (zakładka z cynfolii po czekoladzie w egzemplarzu z jego podpisem wskazuje, że szybko zaniechał lektury), to zapewne poznał jego reguły bezpośrednio z ust „Ryszarda Wragi”. Dlaczego więc tym razem postanowił ich nie respektować? Notatki i listy, jakie po sobie pozostawił, nie pozwalają udzielić na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Wydaje się jednak, że propozycja Jerzego Giedroycia była nie tylko pochodną uczucia przyjaźni, jakim darzył Aleksandra Bocheńskiego, lecz także wyrazem przeświadczenia o dochowaniu przez niego, nawet w warunkach sowieckiej dominacji nad Europą Środkowo-Wschodnią, wierności ideom, dla których realizacji ukonstytuowało się środowisko „Buntu Młodych” i „Polityki”.

Nie ulega wątpliwości, że kierownik Instytutu Literackiego inaczej niż „niezłomni” z Londynu, Paryża czy Nowego Jorku definiował zadania emigracji i charakter jej relacji z krajem. Znamienna była jego reakcja na rozpowszechniane wkrótce po konferencji jałtańskiej wśród żołnierzy 2 Korpusu Polskiego hasło poszukiwania miejsca dla „nowej Polski” w Libii czy Tanganice: „Śmiesznym jest się ludzi, że Stalin pozwoliłby na to Anglikom. Zresztą gdyby to się nawet udało, to jakież to wspaniały argument dla Sowietów i aliantów, że ojczyzna jest na kółkach. Należy również pamiętać (a idzie tu się w stronę polityczną, a nie emocjonalną), że zostaniemy wtedy w kraju znienawidzeni”¹⁶. Nie zamierzał również przykładać ręki do urzeczywistnienia koncepcji II Rzeczypospolitej nad Tamizą. Jej realizacja groziła bowiem osłabieniem i tak już wątłych związków z żyjącymi między Odrą a Bugiem rodakami. Jak słusznie zauważył Andrzej Stanisław Kowalczyk, nie byli oni zainteresowani mitem państwa na wygnaniu, zwłaszcza „państwa odwołującego się do autorytarnej konstytucji, kojarzonego z bezprawiem w stosunkach wewnętrznych i nieudolnością w relacjach zewnętrznych. Nie adoracji reliktyw Polakom było trzeba, ale ruchu społecznego ożywionego duchem demokracji, rewizji dogmatów i mitów polskich hamujących inwencję i wyobraźnię polityczną”¹⁷.

W przeciwieństwie do większości liderów polskiej emigracji niepodległościowej, Jerzy Giedroyć pod koniec 1946 roku nie spodziewał się już szybkiego wybuchu III wojny światowej. Ale wciąż nie uznał trafności prognozy Rogera Raczynskiego, dopuszczającej możliwość dominacji Związku Sowieckiego nad Europą Środkowo-Wschodnią nawet przez kilka dekad.

Przeświadczenie, że emigracja nie może uzurpować sobie roli centrum decyzyjnego, powinna natomiast spełniać funkcję laboratorium idei, w przyszłości nie pozwoli Jerzemu Giedroycowi angażować się w liczne i niestety zwykle fasadowe przedsięwzięcia ugrupowań tworzących zaplecze polityczne rządu RP na uchodźstwie. Jako kierownik Casa Editrice „Lettere” nie odwoływał się jeszcze do wzorca, jakim z czasem stał się dla niego „Koło koła” Aleksandra Hercena. Intuicyjnie wyczuwał jednak, że w walce o niepodległość najbardziej skutecznym z dostępnych Polakom oręży będzie słowo drukowane.

Po blisko dziewięciu miesiącach spędzonych nad Tybrem Jerzy Giedroyć, donosząc Wacławowi Alfredowi Zbyszewskiemu, że zamieszkał na Awentynie w dwóch małych celkach w Collegium Polonorum przy Piazza Remuria 2a, napomknął: „Czuję się doskonale, tak dobrze, że zamawiam sobie szlafrok kroju habitu”¹⁸. Urzędował w mieszczącej się pod tym samym adresem siedzibie Instytutu Literackiego od godziny 9.00 do 13.00 oraz od 16.00 do 18.00. Pod koniec lipca generał Kazimierz Wiśniowski przyznał mu (oraz prawie wszystkim jego podwładnym) prawo stałego noszenia cywilnych ubrań. Nie wiedzieć czemu Gustaw Herling-Grudziński wciąż musiał paradować w battledressie.

W setkach listów, jakie Jerzy Giedroyć wysłał z nad Tybru, nie ma nawet jednego zdania dotyczącego któregoś z rozlicznych już wtedy walorów Wiecznego Miasta. Jego klimat poznał prawdopodobnie dopiero podczas lektury maszynopisu *Passegiata*, zbioru literackich szkiców Jana Bielatowicza, które Casa Editrice „Lettere” wydała w 1947 roku. Okazał się również odporny na *historicum* – odkryty przez autora wymienionego tomu pierwiastek rzymskiego powietrza. Nic nie wiadomo, aby wędrował od kościoła do kościoła, jak poszukujący utraconej w Dachau wiary Gustaw Morcinek. Zwiedzanie starożytnych pamiątek również go nie pociągało.

Nie nauczył się włoskiego. Zofia Hertz pokpiwała, że po trzech latach pobytu w Italii oprócz sakramentalnego *caffè nero* używał tylko (i to pod jej adresem!) przyswojonego podczas seansu filmowego wyrażenia: *serpente velenoso*. Skarżył się stale na cenę i jakość papierosów. Książki kupował w Paryżu, za pośrednictwem Józefa Czapskiego.

Zadრეzał go także prośbami o rysunki wnątrz Hôtel Lambert, a nawet jego skromnego lokum. Przyjaciel długo nie chciał spełnić ostatniej prośby, ponieważ – jak twierdził – pokój na poddaszu „zmienił się zupełnie i nabrał cech ludowo-narodowych, stoi kosynier wyrzeźbiony, orzeł biały z ciemnego drzewa, wszystko to nie przypomina pokoju nieznośnego wariata, zawałonego książkami i gazetami”¹⁹.

Pod koniec 1946 roku Jerzy Giedroyć zaczął snuć plany wydawania opiniotwórczego czasopisma. Wiedział już wówczas, że Italia nie jest najlepszym miejscem na prowadzenie działalności wydawniczej, ani tym bardziej politycznej. Odnosił wrażenie, iż znalazł się nie tylko za Churchillowską, lecz także „poza polską «żelazną kurtyną»”²⁰. Ze smutkiem konstatował wciąż narastającą na Półwyspie Apenińskim „nienawiść do cudzoziemców, a specjalnie do Słowian, i mój Boże, dość uzasadnioną”²¹. Zaczął więc zawczasu przygotowywać szczegółowy plan przeniesienia placówki do Paryża. Zanim go zrealizował, wraz z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim wydał w Rzymie pierwszy numer „Kultury” – najważniejszego polskiego periodyku w XX wieku.

LISTY

LIST JÓZEFA CZAPSKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

I I 1944

Mój kochany Jerzy,

Kiedy robię rachunek tego roku, co przeszedł, to spotkanie z Tobą uważam za jeden z najważniejszych dla mnie wypadków.

Po pierwsze dlatego, że Ty wniosłeś do naszej roboty rozmach i poziom, którego nie było, że wprowadziłeś parę ludzi pierwszorzędnych;

po drugie, że pierwszy raz od czasu kapistów poczułem się w atmosferze jakby rodzącego się nowego zespołu, a to jest bardzo ważne;

po trzecie, i to jest przecie dla mnie najważniejsze, że spotkałem takiego człowieka jak Ty. Zdaje się, że nie potrzebuję Ci mówić, że wiesz bez mówienia, jak mi się zrobiłeś drogi i jak już mi się zdaje, nie potrafię Ciebie wykreślić z mojego życia. Jestem bardzo zmęczony i czasami czuję się bardzo stary, i mam chwilami wrażenie, że jeżeli coś robię, to tylko „galwanizowany” przez Was, bo Was kocham i chciałbym Wam, a nie żadnej idei pomóc.

Życzę Ci, Jerzy, na ten przyszły rok, żebyś się przybliżył do pracy, która byłaby na Twoją miarę, żebyś umiał wytrwać i przetrwać te ciasne warunki, ciasne w porównaniu do Twoich możliwości warunki pracy, i żebyś także i w życiu osobistym miał więcej radości i odprężenia.

Całuję Cię, mój drogi Jerzy, i dziękuję Ci za wszystko z głębi serca

J[ózio]

Powiedz Zosi, że najserdeczniejsze jej składam życzenia noworoczne.

AIL, Po/Cz, sygn. 19/01

LIST ROGERA RACZYŃSKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

Kair, 21 lipca 1944

Mój Stary!

Dowiedziałem się przed chwilą, iż Łubieński, który tu na urlop przyjechał, miał przywieźć wiadomość o śmierci Adolfa Bocheńskiego. Sam nie widziałem się z Łubieńskim i dlatego mam jeszcze nadzieję, słabą bardzo, przyznaję, że to może pomyłka. Jeśli tak jednak jest istotnie, to muszę powiedzieć – że żał mi go niezmiernie, a trochę – może mu zazdrościć. Zbliża się już wielkimi krokami koniec tej ohydnej wojny. Przewala się po Polsce [wyraz nieczytelny], by równać z ziemią wszystko to, co jeszcze cudem jakimś ocalało – i co świadczyć mogło o naszej przeszłości, kulturze i dziejowej misji. I równocześnie stoimy w obliczu znaku zapytania, jeśli chodzi o samą naszą egzystencję jako niezależne państwo. Może lepiej nie przeżyć tej wojny – tak jak Bocheński – jeśli mamy dożyć katastrofy kompletnej. – Wiem, że nie powinienem tak pisać i siać defetyzmu. Nie mogę jednak się powstrzymać, nie mam tu bowiem nikogo na terenie Kairu – przed którym mógłbym się wywnętrzyć, a niepokój wewnętrzny żre mnie niewypowiedzianie. Zazdrościć też z tego powodu tym wszystkim, którzy są na froncie i nie mają wskutek tego czasu myśleć – i nawet Wam niebędącym w linii, bo macie przynajmniej mnóstwo roboty.

W tej chwili przyniesiono mi Twoją depeszę o śmierci Bocheńskiego. – Zatem wiadomość przywieziona przez Łubieńskiego

okazała się prawdziwa! – Jeden z najzdolniejszych i w dodatku jako charakter najbardziej szlachetnych wśród naszego pokolenia.

Umarł przynajmniej tak, jak żył – wariat, romantyk, przekorny – polski szlachcic. Tacy jak on zrobili Polskę taką, jaka ona była – stworzyli legendę o Polsce. Widać, że Opatrzność – o ile takowa w ogóle jest – uważa, że nie ma na te przeżytki miejsca na tej ziemi, że wystarczą gangsterzy i drobni karierowicze.

Nie znałem go tak dobrze, jak Ty – rozumiem, że to dla Ciebie, mój Stary, musi być chwila szczególnie ciężka – a mimo to na łzy mi się zbiera, jak gdyby z nim razem ziemia włoska zabrała kogoś bardzo bliskiego – kogoś, który symbolizował wycinek życia, dążeń, troski o coś, w co się wierzyło i o co walczyć było warto – co się obecnie ostatecznie załamuje.

Jeśli bowiem nawet Polska z tej wojny wyjdzie – to trzeba będzie paru dobrych pokoleń – szeregu wstrząsów wewnętrznych, by się na nowo odnalazła – i uwierzyła z powrotem w swoją legendę i swoją misję dziejową. A zgodzisz się ze mną, że naród bez legendy i bez wiary w swe posłannictwo – nie różni się niczym od szczepu Zulusów czy Kafrów – i właściwie ma wątpliwe prawo do życia.

Może się zresztą mylę i zbyt się czarno na przyszłość patrzę. Może tam u nas w Kraju wykuwa się pokolenie przyszłości, może – trudno mi jednak wykrzesać z siebie optymizm – i bardzo się o tę przyszłość boję.

Ściskam Cię, mój Stary, z całego serca

Twój R[oger] R[aczyński]

AIL, PoJG, sygn. 08.01, Raczyński Roger

LIST JÓZEFA CZAPSKIEGO DO WINCENTEGO BĄKIEWICZA

28 XIII 1944

W związku z ostatnią naszą rozmową w Imperialu w dzień Wilii mam potrzebę napisania Ci i sprecyzowania rzeczy, które Ci powiedziałem ustnie, ale [do]powiedzieć nie zdążyłem.

Przez długi czas w pracy mojej wielokrotnie mi pomagałeś i byłeś jednym z ludzi, do których miałem i uczucie przyjaźni, i zupełnego zaufania. Teraz Tobie również zawdzięczam rozbicie i zlikwidowanie tej właśnie pracy, którą prowadziłem. Trzeba by już być bardzo „zgniłym inteligentem”, żeby to mogło nie odbić się wcale i na mnie, i na naszym wzajemnym stosunku. Mam nadzieję, że dajesz mi prawo napisać Ci jeszcze raz z całą szczerością, co o tym myślę.

1. Przede wszystkim moment zasadniczy.

W naszej rozmowie rzucałeś się z pasją na „..... mocarstwo-wość”, którą się nawiązuje słabym Polakom przez niepoczytalnych polityków (naturalnie sanatorów), a jednocześnie, kiedy chciałem zrozumieć, jaki Twój jest plan na przyszłość, pokazałeś mętnym gestem na mapę Polski i powiedziałeś, że naprawdę nie wiesz, „co z tym skrawkiem zrobić”. Przy tym aż skoczyłeś z satysfakcji, kiedy Ci powiedziałem, że uważam także, że sytuacja nasza jest bardzo słaba, że jest funkcją innych sił i że dzięki temu mogliśmy dotychczas mało wpłynąć na bieg wypadków. Nie zdążyłem Ci dodać, że jednak właściwie wnioski z tej naszej słabości wyprowadzam zupełnie inne.

Czy z tego wypływa, że musimy wszelką własną polityczną inicjatywę uważać za głupstwo? Czy nie właśnie na odwrót, działalność tę w różnych formach i na różnych płaszczyznach rozwijać. Mówisz z entuzjazmem o naszym żołnierzu na froncie, nie wiem, co byś powiedział, gdyby Twój żołnierz tak reagował *c z y s t o d e f e n s y w n i e*, jak Ty to proponujesz w polityce. Sytuacja dla nas tragiczna, która zresztą nie jest tylko dla nas tragiczna, może się odmienić, ale pod warunkiem, że nie będziemy na to czekać w pozie „spadającego liścia”.

Polska mocarstwowość, jeżeli ją rozumieć nacjonalistycznie z wyrzynaniem Ukraińców i kpinkami z federacji międzymorskiej, jest naprawdę koncepcją i nierealną, i zgubną dla Polski, jak zresztą również każdy projekt minimalistyczny, etnograficzny, który musi sprowadzić starcie Polski z oblicza ziemi; ale kiedy mocarstwowość przestaje być czysto nacjonalistyczna, kiedy jest punktem wyjścia do walki w kierunku zrozumienia przede wszystkim przez nas samych idei szerszej, ogarniającej szereg państw, to Polska mogłaby stanąć na czele ruchu, który by skanalizował, nie w sensie komunistycznym, te rewolucyjne prądy, które już zaczynają ogarniać Europę i ogarną ją na pewno po wojnie.

Na razie dzięki szablonowości myśli politycznej, brakowi odwagi, wcale nie tylko naszej, i kompleksowi niższości wszystkich poza Moskalami jedyni tylko komuniści sytuację wykorzystują dla siebie, oni mają ogromną praktykę na każdym terenie i rozumieją elementarną zasadę, że trzeba grać na wszystkich płaszczyznach i na wszystkich „fortepianach”.

Zdaje mi się, że dziś najbardziej szkodliwym jest sceptyk, bez wiary w cokolwiek, który maskuje brak wyboru jakiegokolwiek ideologicznej koncepcji bardzo odważną postawą osobistą, sabotując przy tym każdy śmielszy polityczny pomysł.

„Ideal kolorowego hułana”, jak pisał Słowacki (skarżąc się, że na żaden inny nie jesteśmy zdolni), jest ideałem bardzo pięknym, szlachetnym, ale jednostronnym i w nadchodzących r e w o l u c y j n y c h czasach niewystarczającym. Może być u pewnych ludzi także formą ucieczki przed myśleniem i przed odpowiedzialnością. Przy najlepszych chęciach nie widzę w tym, co mówisz, innej wskazówki politycznej, jak trzymanie się uparcie takiej czy innej pańskiej kłamki.

2. W całej rozgrywce Twojej z propagandą odegrały rolę decydującą sprawy całkowicie poboczne, fałszujące informacje podejrzliwości, sympatie czy antypatie, przy tym Twoje specjalne urazy starannie podsycane przez ludzi usługujących.

Jednym z takich urazów jest Twój uraz antysanacyjny, który jest na tyle ostry i nieraz ślepy, że trudno mi zrozumieć, co może być tego

powodem. To, co powiedziałeś o Sosnkowskim sanatorze, przypomina mi zdanie z listu Kota o Piłsudskim, po moim pierwszym o Piłsudskim artykule jeszcze w Rosji, w którym mi dowodził, że on był człowiekiem zupełnie nie tragicznym, a właściwie wesołym kawalerem. Ten sam brak co u Kota wycucia człowieka, chociażby wroga, wycucia hierarchii. I to mi się wydaje groźniejsze niż wszelka różnica ideologiczna. To samo wyczuwam u Ciebie na niższych szczeblach: Zawidzki czy Zielicki, Giedroyć czy Stroński, czy Święcicki (ten ostatni przecież rok pracował pod Twoimi rozkazami!). Jeden wart drugiego, każdy jest do zastąpienia byle kim innym (ulubiona Twoja teza, że każdy jest do zastąpienia).

Zarzucasz sanacji, jeszcze w dawnej Polsce, a i teraz, sytuariś, dobieranie tylko swoich ludzi. Jakże słusznie, ale czy naprawdę, patrząc na to z cieniem obiektywizmu, nie przyznasz, że to jest cecha nie sanacyjna, a w ogóle polska, że Kot, że Mikołajczyk na pewno nie ustępują pod tym względem sanacji. Że jeszcze w [19]20 roku każdą robotę szerszą rozbiłyby wzajemne intrygi i nienawiści galicyaków do królewaków, legionistów do oficerów służby rosyjskiej, a wszystkich razem przeciw halerczykom. Walczyłem z tym wtedy jako młody chłopak i walczyłem z tym cały czas teraz, i tak jak się tej sprawie przyglądałem, nie widzę bynajmniej, by sanacja pod tym względem d z i s i a j miała większe winy niż inne zespoły.

Ofiarą Twego urazu antysanacyjnego i jeszcze [tego], co Lipski dowcipnie kiedyś nazwał, mówiąc znów o rozgrywkach dwójkowych, które znał jeszcze z Berlina, *familien-vendetta*, padł Giedroyć. Za długo by było, bym tutaj przebierał nazwisko po nazwisku zespołu, którego likwidację przeprowadziłeś, omówię dwóch, których oceniłeś najfałszywiej, robiąc im przez to krzywdę.

Giedroyć. Po pierwsze, jego „sanacyjność”, którą Ci usłużnie wmawiali różni ludzie, między innymi tak daleki od sanacji redaktor „Gazety Polskiej” Stahl. Wątpię, czy wiesz, że pisma Giedroycia „Bunt Młodych” i „Polityka” były pismami, które były najwięcej konfiskowane ze wszystkich pism w Polsce, że za artykuł *Kirow* czy

*Pieracki*² w bujnie sanacyjnym okresie Polski Giedroyć został przez Kościalkowskiego przeznaczony do Berezy i tylko w ostatniej chwili udało się go uratować, pismo to prowadziło walkę z sanacją, podejrzewam, że śmielszą niż Twój współczesni współpracownicy z Tobą na czele, prowadziło wtedy, kiedy sanacja była s i ł a, a nie m a r a.

Naturalnie Giedroyć popełnił jedną „zbrodnię” nie do darowania, bronił uparcie Wragi³, który był jego przyjacielem, bronił w okresie, kiedy ten ostatni był w niełasce i kiedy widocznie trzeba było przynajmniej ostrożnie o nim milczeć.

I jeszcze jeden błąd, który widocznie popełniliśmy, to jest właśnie nasza nie tylko lojalność, ale zupełna szczerość wobec Ciebie. O ile „zręczniej” byłoby z naszej strony, zaprosiwszy Ciebie do Hertalii, pić wódkę i mówić o niebieskich migdałach, a nie poruszać sprawę Wragi, która Ci była nieprzyjazna, ale zdawało mi się wtedy, że właśnie takie postawienie kwestii było wyrazem naszej lojalności i chęci najbliższej współpracy z Tobą jako Szefem dwójki.

Zarzut, który słyszałem z dwóch stron, który był formułowany z powoływaniem się Ciebie, to że Giedroyć miał zorganizować bezpośredni kontakt z różnymi tajemniczymi przyjaciółmi, którzy jakoby mieli być ośrodkiem dyspozycyjnym dla propagandy poza Korpusem i poza Generałem⁴.

Otóż to jest fałsz, zresztą fałsz ukuty zręcznie. *Dokażi, czto ty nie wierblud*, a to fałsz, który najbardziej może wzbudzić podejrzenie Generała do naszego zespołu co do nielojalności. Rzeczywiście Giedroyć zorganizował dostawę artykułów i informacji z Londynu, z Ameryki i jeszcze z szeregu innych miejsc, zorganizował to nie tylko za Twoją zgodą, ale z Twoją pomocą i przez Twój aparat. Najbardziej jawnie, jak można sobie wyobrazić. I co jest dziwne, że ta cała groźna Prądyńska, która materiały systematycznie, między innymi, przez Ciebie przysyłała, była groźna i podejrzana, dopóki był Giedroyć, a teraz dowiaduje się, że nowy zespół rozbija się, żeby ona nadal pozostała tym samym punktem centralnym informacji i materiałów. Twierdzę, że zarzut naszej nielojalności w stosunku do Generała jest

falszem (mówię świadomie naszej, a nie tylko mojej). Twierdzą, że propaganda nasza zrobiła r e a l n ą robotę w kierunku propagandy i Korpusu, i jego Dowódcy na świecie. Wystarczy choćby otworzyć chociażby pierwszy lepszy „Tygodnik Polski” z New Yorku, żeby stwierdzić, że w ogóle niewiele było poza tym materiałem, który mu przysłałismy z Korpusu, że wcale, nie tylko lojalna, ale entuzjastyczna propaganda Dowódcy Korpusu była na pierwszym miejscu. Ostatecznie przez tego samego Giedroycia został wydobyty wielki wywiad z Arciszewskim, i to przed tym, niż on wszedł do Rządu, to było znowu pewnym atutem politycznym dla Dowódcy Korpusu, cennym. Takich faktów mógłbym Ci cytować dziesiątki. Co do zarzutów, że jakoby Giedroyć miał dawać instrukcje „Paradzie” w Kairze, żeby dawała fotografie Sosnkowskiego z pominięciem Generała Andersa, to nie będę z nim polemizował, bo trudno mi uwierzyć, byś ten zarzut brał na serio, musiał on prawdopodobnie powstać gdzieś na niższych szczeblach Twojego aparatu.

Jeszcze jeden zarzut, który zresztą z Twoich ust słyszałem, o chęci narzucenia swojej woli Generałowi, podporządkowania jego propagandzie, ten zarzut znów nie wytrzymuje krytyki. Propaganda miała obowiązek rozpracowania i przedstawienia Generałowi takich czy innych koncepcji, które uważała za najlepsze. Sprawą Generała było tę koncepcję przyjąć lub odrzucić i nie wiem, dlaczego akcent, któryśmy kładli na sprawy międzymorskie, które Generał nie tylko popierał, ale uważał za swoje, miał być nielojalnością wobec Generała, a Twoje starania, by Generałowi przedstawić to jako pomysł niepoważny, ma[ja] być właśnie dowodem lojalności. Twierdzą, że nie tylko postępowaliśmy wobec Generała zawsze lojalnie, ale że Generał to aż do ostatnich czasów doceniał. Ostatnio widziałem Generała rzadziej, a od chwili mojego odejścia kontakt nasz z Generałem był prawie zerwany i wtedy naturalnie była łatwa droga do wszystkich takich czy innych meldunków, które zrobiły swoje i podkopały zaufanie Generała do nas, o co właściwie chodziło. Z punktu widzenia metod dwójkowych jest to styl roboty zupełnie normalny,

„kompromitowanie” przeciwnika wszelkimi metodami, ale zgódź się, że wtedy gra między nami była nierówna, bo myśmy w stosunku do Ciebie do ostatniej chwili starali się zachować metody otwarte i lojalne.

[...]

W ostatniej rozmowie postawiłeś mi jeszcze jeden zarzut efektowny, ogólnikowy i nieścisły. Że „nikt w propagandzie nie jest oficerem rezerwy, że nikt nie posmakował linii i że to jest właśnie dla propagandy charakterystyczne”.

Otóż znowu, poza mną i Gierat, i Poniatowski, i Ostrowski, i Turkiewicz, i Bornholtz, i wielu, wielu innych właśnie są oficerami rezerwy. Gierat i Gorgol zaraz po wyjściu z Propagandy odeszli do linii. Co się tyczy Giedroycia i Ulatowskiego, przeszli całą kampanię libijską jako szeregowi, nie wiem, czy to ich dyskwalifikuje, a jeśli chodzi o Giedroycia, to możesz sprawdzić według jego książeczki wojskowej, którą ma jeszcze z Polski, że do wojska nie został przyjęty z powodu zdrowia, bez śladu wykręcania się czy protekcji. Dziś żałuję, że może zrobiłem źle, że przeprowadziłem dla niego podporucznika czasu wojny wbrew jego woli. Jego sytuacja jako szeregowego byłaby dzisiaj o wiele prostsza, jak podporucznika bez kwalifikacji. Jeżeli chodzi o Zielickiego, może się ze mną zgodzisz, że człowiek skazany na śmierć po blisko roku śledztwa i po roku prowadzenia pracy konspiracyjnej na terenie Lwowa musiał wykazać odwagę nie mniejszą niż oficer w linii i że przy tym nierealne jest dzisiaj żądanie, by się pchał do linii jako zupełnie wojskowo niewykwalifikowany porucznik czasu wojny, kiedy po ciężkiej chorobie zakażenia serca w Jangi-Julu stan tego serca jest rzeczywiście bardzo lichy. I tym argumentem operujesz Ty, kiedy Twoi dzisiejsi przyjaciele, zaczynając od kapitana Jaworskiego, poprzez Telmanego, Stróżyńskiego, nie są wcale oficerami liniowymi. (Zaznaczam, że mówię to bez cienia zarzutu wobec nich, bo rozumiem, że potrzebni są ludzie także poza linią, chodzi tylko o to, by robili dobrą robotę).

Wybacz mi niezmierną długość tego listu o sprawach dla Ciebie prawdopodobnie już nieaktualnych. Sam zresztą mam również

wątpliwości, czy napisanie tego listu miało sens. Nikt nie lubi otrzymywać takich listów, ale może właśnie tu jestem „zgniłym inteligen-tem”, zbyt długo obcowaliśmy ze sobą po przyjacielsku i nawet wspólnie pracowaliśmy, nie umiałbym dzisiaj nie powiedzieć Ci tego, co myślę, i uważam, że dałeś mi do tego prawo.

J[ózef] Cz[apski]

[...]

AIL, PoJCz, sygn. 18, Bąkiewicz Wincenty

LIST JERZEGO GIEDROYCIA DO ZOFII HERTZ

19 II [1945]

Miła i Droga Pani Zosiu

Śliczny dziś dzień i bardzo ciepły. Poszedłem wobec tego na kolosalny spacer i po powrocie zrobiło mi się bardzo smutno, więc piszę tych parę słów po prostu, by mieć wrażenie wypłakiwania się. Jeżeli do tego dochodzi, to widzi Pani, jak się rozhisteryzowałem. I to właściwie bez powodu. Pogoda się tu robi coraz przyjemniejsza, mam książki, przynajmniej dotychczas, więc nie ma właściwie na co narzekać. Pomijając chyba, że fabrykę z pomysłami trzeba było zamknąć z powodu upadłości na czas nieograniczony. W sumie myślę, że są to zjawiska wiosenne i że ludzie tak drewniani jak ja czują też w pewnym stopniu brak kogoś bliskiego. Może nie byłoby to tak silne, gdyby nie ten Rzym, który rozbudził pewne uczucia, ale nie bardzo je mogł zaspokoić. Cóż zrobić.

Wypłakawszy się, kończę ten list i łączę wiele serdeczności. Ten list jest pisany tylko dla mnie właściwie i jako taki proszę go traktować. Nic nie ma między wierszami.

Jurek

AIL, PoZiH, sygn. 02

FRAGMENT LISTU JERZEGO STEMPOWSKIEGO
DO JÓZEFA CZAPSKIEGO (ODPIS)

[5 IX 1945]

Dziękuję Ci przede wszystkim najserdeczniej za Twój list, który niezmiernie mnie ucieszył wiadomością, że jesteś w Paryżu, że mnie pamiętasz i wreszcie temu, że w liście Twoim znalazłem pierwszy znak krystalizowania się naszej świadomości emigracyjnej. Tu istotnych elementów brak, widuję raczej tylko uchodźców, z tej strony jestem niemal zupełnie samotny.

Od 5 lat mieszkam w tej samej gminie wiejskiej pod Bernem, od roku jestem privat-docentem uniwersytetu w Neuchâtelu, ale to raczej *pro forma*, bo zajęcie to zabiera mi sporo czasu, ale dostarcza mało zadowolenia.

W 1942 byłem trochę we Francji i stamtąd przywiozłem różne pomysły powstałe z zetknięcia się z *le maquis savoyard*. Od tego czasu zajmowałem się wiele stworzeniem tu ośrodka studiów kontynentalnych z przedstawicielami wszystkich krajów, nie omijając oczywiście Europy Wschodniej. Jest tu sporo ludzi ze wszystkich stron świata, trudniej było wybrać z nich kilkunastu sprawiedliwych i przy tym niezwykle głupich. I to jednak jakoś z trudem się do połowy mniej więcej udało, po paru [próbach] poronionych, dzięki pomocy kilku przyjaciół szwajcarskich, interesujących [się] również losami Europy Wschodniej. Być może powstanie tu czasopismo poświęcone sprawom kontynentalnym, związane z tym ugrupowaniem.

Kto z tymi rzeczami nie miał praktycznych doświadczeń, temu trudno nawet opowiedzieć, jak dalece Europejczycy wschodni byli sobie nawzajem obcy i ile dzieliło ich przesądów. Jedyna więź łącząca ich była to znajomość francuskiego lub tylko niemieckiego. Jeżeli jako tako pływam po tym świecie, to tylko dlatego, że po znacznym oddaleniu się od Zachodu w 1935–36 odkryłem naprzód dla siebie Europę Wschodnią i jej cywilizację, stałem się do pewnego stopnia

jej neofitą, i moja wędrówka przez Rumunię, Węgry i Jugosławię w 1939–40 mimo niepomysłnych warunków była dla mnie ogromną rewelacją. Podróżując jako uchodźca, często z workiem na plecach, prowadzony przez przemytników, szedłem od gminy do gminy, rozmawiając wszędzie ze wszystkimi, od chłopów do dygnitarzy, notując wszędzie resztki wielkiej cywilizacji, jakie złożyły się na to, czym są teraz te wszystkie kraje, odkryte zaledwie przez niewielką grupę amatorów. Odkrycie tych krajów było dla mnie czymś w rodzaju nowej miłości i przyczyniło się najwięcej do utrzymania mnie przy życiu w tym trudnym okresie, bo na emigrację wyszedłem z kraju bardzo niechętnie, nie spodziewając się niczego dobrego, próbując kilka razy wrócić przez granicę, a decydując się na odejście od niej dopiero wskutek poszukiwania mnie przez gestapo. Jest to oczywiście zupełnie inna rozmowa, kiedy pod powierzchnią wyrazów słyszy się podziemny bełkot snów Mołdawii, Szumadii i Debreczyna. Niestety często wydaje mi się, że słyszę to tylko sam jeden pośród ludów głuchych. Gdyby nas było trochę więcej, wiele rzeczy wzięłoby już dziś zupełnie inny obrót.

Oczywiście jestem w kontakcie ze wszystkimi Ukraińcami. Ostatnio komunikuję się nawet z Wasylem Mudrym, ale o tym jeszcze wcześniej pisać. Widuję kilku ukraińskich partyzantów, którzy właściwie rozstrzygnęli o przebiegu kampanii wschodniej, zamykając Niemcom armię w jej *Igelstellungen*, gdzie pozbawieni zdolności manewrowania, przykuci do swych składów żywności i broni, Niemcy czekali biernie od 1942, aż bolszewicy przyciągną artylerię pod ich pozycje. Kontakt z ludźmi, którzy mierzyli się kolejno z największymi potęgami, przed którymi padał kolejno plackiem cały Zachód, prowadzi prędzej niż wszystkie inne drogi do poznania proporcji między rzeczami, do odróżnienia tego, co jest stałe, od tego, co jest tymczasowe. Bardzo wiele zawdzięczam tym rozmowom.

Stosunki polsko-ukraińskie były może najtragiczniejszą stroną naszej historii ostatnich lat. Kiedy tylko armia niemiecka zaczęła kruszeć i ludność zaczęła się organizować do oporu zbrojnego,

pierwszym skutkiem tego stanu rzeczy był – jak [w] 1919 – wybuch wojny polsko-ukraińskiej w 1943 na Wołyniu. Wojna ta przeniosła się na teren Galicji i wytworzyła stan rzeczy, w którym większa część ludności polskiej musiała wynieść się na zachód od linii Curzona–Ribbentropa. Ten faktyczny stan rzeczy przesądził potem w znacznej mierze o utracie przez Polskę Wilna i Lwowa. W Londynie wydano wszystkie zgromadzone w kraju materiały polskie w tej sprawie. Mam je tu, zdaje się, w komplecie i uzupełniam je dla siebie relacjami ukraińskimi. Według tych ostatnich wojna wołyńska zaczęła się z inicjatywy polskiej i znając dobrze polskich aktorów tego dramatu, myślę, że to bardzo prawdopodobne i odpowiada nawet dobrze wstydliwym przemilczeniom dokumentów polskich. Zresztą to wszystko było dobrze widome już naprzód. Nie inaczej wyobrażam sobie przyszłość po mojej podróży tajnej po Wołyniu w 1937, kiedy chłopci ukraińscy ukrywali mnie za dnia w stodołach przed KOP-em i nocami przychodzili na rozmowy. Panowanie polskie było tam ograniczone do samej tylko okupacji wojskowej, która musiała się skończyć mechanicznie wraz z rozbrojeniem armii. W 1938 byłem ostatni raz na Wołyniu i żegnałem się z nim już z świadomością, że widzę go ostatni raz. Wtedy zrobiłem w Uściługu fotografię domu Strawińskiego, w którym powstały wszystkie jego przedwojenne kompozycje. Wołyń dla rozmaitych względów był rodzajem Mekki muzycznej nie mniej niż Mediolan lub Bayreuth, stamtąd wyszła cała muzyka rosyjska czerpiąca z muzyki renesansowej, która zachowała się tylko na Wołyniu w swej szacie ludowej, w jakiej znał ją Shakespeare. O tym można by napisać duży tom zupełnie rewolucyjny, ale tego w Polsce nikt nie znał, tak jak nie znał Wołynia w ogóle. Teraz my już tam nigdy nie powrócimy i wszyscy się z tym pogodzą bez smutku, bo nikt z Polaków nie miał nawet świadomości posiadania Wołynia jako części swego kraju. Bardziej tragiczny jest los Galicji Wschodniej, gdzie istniał amalgamat polsko-ukraińsko-żydowski, żywy i bolesny, jak każda rzecz żywa krajana nożem trzech jełopów.

W tej chwili, kochany Józiu, przeszliśmy do krytycznego punktu naszej emigracyjnej wędrówki, do jej bilansu krytycznego. Dla mnie od roku już mniej więcej jest jasne, że emigracja nasza nie może już nic zrobić dla kraju i że z tego punktu widzenia zachowanie się jej – jako obojętne – nie może być ani złe, ani dobre. Nie ma więc powodu do rozdzierania szat w jedną czy drugą stronę, do oskarżania się i rozłamywania. Ten stan rzeczy powstał głównie stąd, że mocarstwa, do których nasza emigracja była przyczepiona jak piąte koło u wozu, są już od dawna wyczerpane ze wszystkich sił i pomysłów i na bieg spraw kontynentalnych nie będą miały żadnego wpływu. Wystarczy przeczytać pakt z San Francisco czy uchwały poczdamskie i wyobrazić sobie je wywieszone na rynku w Lidzie albo na Machnowieckiej ulicy w Berdyczowie. Jakie znaczenie te puste i aroganckie słowa mogą mieć dla tamtejszych czytelników i ich spraw. Takie słowa ześlizgują się po powierzchni życia i po roku nikt ich nie pamięta. Taki np. pakt z San Francisco, do podpisania którego gangsterskimi sztuczkami zmuszono przedstawicieli małych państw, jest, wraz z obowiązkiem podpisania go, tylko częścią składową okupacji wojskowej i nie trwa ani jednej godziny dłużej niż ta okupacja. Szkoda nawet czasu na jego czytanie. *De minimis non curat preator*. Jeżeli mocarstwa zachodnie nie wydały żadnej myśli mogącej służyć do przywrócenia pokoju, pokój ten będzie się robił sam, bez ich udziału i wpływu. Bieg sprawy polskiej jest pierwszą demonstracją *ad oculos* tego stanu rzeczy.

Przypuszczam, że olbrzymia większość dzisiejszych emigrantów wróci do kraju, zwłaszcza jeżeli obecny NEP potrwa tam jeszcze jeden rok. Kiedy otworzy się granica i ludzie zaczną jeździć tędy i nazad, każdy będzie mógł przymierzyć się do nowych warunków, znaleźć dla siebie jakieś praktyczne zastosowanie i wówczas wszyscy kupią bilety i pojadą do kraju. Zaczyna się tam nowe życie i urok jego jest nieprzeciętny. Dookoła siebie nie widzę już nikogo, kto by dla siebie nie szukał jakiejś drogi powrotnej. Oczywiście drogą przymusu do powrotu, mobilizacji narodowej i pogróżek nie można

sprowadzić emigrantów do kraju, przypuszczam jednak, że rozsądek zwycięży i że powrót ten odbędzie się w trybie NEP-u. Czy z powrotu emigrantów zdemoralizowanych w Londynie kraj będzie miał większy pożytek – to inna sprawa. Trudno nawet w tych warunkach odmawiać kogoś od powrotu. Dla siebie jednak wiem, że cały ten pęd uchodźców do kraju jest trochę jazdą autobusem do Koryntu. Nie wszyscy będą mogli wrócić, nie wszyscy potrafią się przystosować do alei Stalina. Może i dzisiejszy NEP – jak jego poprzednik – nie potrwa dość długo. Wszystko to być może i w rezultacie może nas zostać niewielka grupa nie uchodźców już, lecz emigrantów, nieliczących więcej na mocarstwa, niereprezentujących domniemanych stronnictw krajowych, ale tylko samych siebie. Czy i jak potrafimy usprawiedliwić taką postawę i taką egzystencję? O tym może jeszcze za wcześnie mówić, bo z tych, kto dziś nie chce wracać, 9/10 zmieni zdanie za miesiąc i nie warto im się takimi pytaniami zajmować. Pytanie takie jednak jest i kto nie ma nań odpowiedzieć, musi iść po bilet do kraju. Bardzo chciałbym z Tobą o takich rzeczach pomówić, bo poza Tobą nie widzę nikogo do takiej rozmowy. Dla siebie mam już tę rzecz z gruba przemyślaną, ale przemyślaną samotnie, jak gdybym miał być sam przeciwko wszystkim.

AIL, PoJCz, sygn. 18.072, Stempowski Jerzy

LIST JERZEGO GIEDROYCIA DO ALEKSANDRA BOCHEŃSKIEGO

6 XI [1945]

Mój Drogi.

Przed dwoma miesiącami Miś⁵ przysłał mi wyciąg Twego listu. Jest to od [19]40 roku pierwszy znak życia od Ciebie. Przykro mi bardzo tylko, że nasze rozumowania są tak przeciwstawne. Ja na Pruszyńsk-jadę nie idę i mam zamiar prowadzenia działalności na emigracji. Tym więcej, że w moim przekonaniu konflikt jest nieunikniony i nie

wykluczam go już w przyszłym roku. Inna rzecz, czy Europa wyjdzie z niego zwycięsko. Tego wcale nie jestem pewien. W każdym razie na terenie ogólnym walczę o koncepcję federacji europejsk[iej] w ogóle, a Międzymorza w szczególności. Jeśli idzie o sprawy polskie, to załączam Ci broszurkę wydaną obecnie. Niestety następna, mająca charakter bardziej zasadniczy, będzie ukończona w ciągu paru tygodni. Postaram się ją dosłać. W najbliższym czasie zamierzam wydawać „Tribune des Peuples” wzorem pradziadów. Mam nadzieję z lepszym skutkiem. Mój adres na czas najbliższy Paris IV. 2 rue Saint-Louis-en-l'Île dla mnie lub dla Władysława Pietrzaka. Bardzo Cię proszę, jeśli będą możliwości i okazje, o przysyłanie materiałów, m.in. książek i gazet (przede wszystkim literaturę). Możesz m.in. wysłać to do Prądyńskiej przez Górkę. Napisz mi, co słyhać z naszymi przyjaciółmi, i podaj im mój adres. Chciałbym znać adres dr. Kazimierza⁶. Jeśli będziesz chciał i mógł przysyłać mi materiały, postaram się przesłać Ci pieniądze na ten cel. Teraz prośba prywatna: od marca zeszłego roku nie mam żadnej wiadomości ani o swoich rodzicach, ani o bracie. Jak wiesz, mieszkali w moim dawnym mieszkaniu. Gdybyś miał jakąś możliwość dowiedzenia się, co się z nimi stało, to bardzo mnie zobowiążesz. O znajomych trudno mi pisać. Z niektórymi, jak z Ksawciem⁷, skończyłem, inni, jak Wacek z bratem⁸, są mili, ale nieistotni. Ze starych znajomych jestem tylko w kontakcie z Wragą i Mają⁹. O sobie nie piszę, bo zapewne Ci Pruszyńscy wszystko opowiedziały. Wracając do łączności, to jak już pisałem, albo do mnie do Paryża, albo do Mai do Londynu. W Niemczech można dać w wojsku Wasucie¹⁰ dla mnie, a we Włoszech w Drugim Korpusie każdemu dla mnie. Dość mnie tam znają. Podaj jakiś warszawski adres dla przesyłek dla Ciebie.

Ściskam Cię i chciałbym jeśli już nie współpracować, to być w kontakcie.

AIL, PoJG, sygn. 08.01, Bocheński Aleksander

LIST JÓZEFA CZAPSKIEGO DO WINCENTEGO BĄKIEWICZA

Paryż, dnia 14 stycznia 1946 r.

Drogi Wicku,

Jednocześnie z tym listem do Ciebie wysyłam pismo do Szefa Sztabu, w którym mu melduję o moich rozmowach z Ukraińcami. Znam dobrze Twój do tych spraw stosunek jeszcze sprzed roku. Mam jednak wiadomości, nie wiem, czy ścisłe, że jeżeli chodzi o sprawy międzymorskie, to w związku z dzisiejszą sytuacją polityczną i Ty uważasz, że ta akcja powinna być prowadzona. Może i w sprawach ukraińskich od tego czasu zmieniłeś zdanie. Byłbym Ci tak czy inaczej niezmiennie wdzięczny, gdybyś zechciał przeczytać te materiały, które przesałam do Szefa Sztabu. Wierz mi, że nie przemawia przede mną żadna naiwność czy sentymentalizm, uważam jednak, że nie możemy w sytuacji, w której dzisiaj jesteśmy, lekceważyć jakichkolwiek możliwości porozumienia, które by mogło umniejszać bezpłodny i ciągły przelew krwi i nieustanne gwałty dokonywane wzajemnie między sobą przez Ukraińców i Polaków, które są wodą na młyn komunistów. Często mówiłeś mi o możliwościach porozumienia w przyszłości z Rosjanami typu Sawinkowa. Zdaje mi się jednak, że rozumując *r e a l n i e*, tzn. biorąc pod uwagę elementy dzisiejsze, a nie elementy sprzed 20 lat, to właśnie Ukraińcy mogliby dzisiaj do pewnego stopnia odgrywać rolę sawinkowców na ogromnych obszarach ukraińskich. Bo mówić dzisiaj o sawinkowcach rosyjskich wydaje mi się fikcją. Staralem się zorientować się również w prądach nurtujących rosyjskie środowiska. Otóż jeżeli chodzi o emigrację, to zaczynając od Bierdiajewa, Makłakowa, byłego ambasadora Kiereńskiego i biskupa Eulogiusza, wszystko to przeszło z entuzjazmem na stronę sowiecką. O antysowieckich prądach słyszę tylko wśród tych ludzi, którzy się tutaj skrywają, Rosjan b. jeńców w ostatniej wojnie. Zresztą z tych ludzi jest bardzo wielu, którzy się biją w tejże UPIE". Sam z nimi nie rozmawiałem, ale przypuszczam, że *jedinaja niedielimaja*

nie gra u nich tej roli, co w przeszłym pokoleniu. Byłbym Ci niezmiernie wdzięczny za informacje, jak się odnosisz do tej sprawy dzisiaj, bo nie łudzę się, że jeżeli jesteś jej przeciwny, to ta próba nie będzie mogła być dalej prowadzona. Gdyby się jednak udało sprowadzić tych dwóch ludzi, o których piszę, gdyby mi się udało zebrać ich także z Tobą, wierzę, że zechciałbyś się nad tym zastanowić na nowo i może przezwyciężysz Twój uraz, na który złożyło się niestety wiele trudnych do zapomnienia faktów. Wszystkie te materiały starałem się przesłać przez p. Wandę Pełczyńską. Wiem, że nie jesteś skory do pisania, ale może zechcesz ustnie pani Wandzie Twoje o tym zdanie powiedzieć. Liczę, że ona by mi te rzeczy napisała, a ja bym wtedy wiedział, czy mogę liczyć w tej sprawie na Twoją pomoc.

O jedno Cię proszę, bym mógł w tej sprawie znać Twoje zdanie, bym nie narażał ludzi, którzy do mnie przyszli z zaufaniem jako do człowieka od Generała Andersa, którzy niezmiernie dbają o jakąś z Generałem łączność, bym ich nie narażał na bezpodstawne wędrówki do Włoch, gdzie by mogli być „wykołowani” z Twojego rozkazu przez Tobie podwładne czynniki. Jesteś od zawsze stronnikiem wiązania się z czynnikami lewicowymi w Europie, jesteś zdania, że nie wolno nam uchodzić za „reakcjonistów”, ale w rozgrywce, która do niedawna jeszcze na terenach polsko-ukraińskich miała miejsce między NSZ, wbrew AK, przeciw Ukraińcom, zgodzisz się chyba, że przyjęcie ludzi NSZ jest p o g r z e b a n i e m się pod firmą zbrojnych reakcjonistów.

Serdeczny uścisk dłoni

Józef Czapski

Instytut Polski i Muzeum gen. W. Sikorskiego – Londyn, KOL. 138, sygn. 8A

LIST ALEKSANDRA BOCHEŃSKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

[początek 1946]

Jurku drogi,

Nie miałem dotąd okazji napisać do Ciebie, teraz korzystam z możliwości, aby naszą dawną, tak obszerną korespondencję choć jednym listem wznowić. Nie masz pojęcia, jak często myślę o starych dobrych czasach przedwojennych, jak mile i z wdzięcznością Ciebie wspominam. Śmierć Adzia¹² była dla mnie wielkim ciosem, kochałem go nie tylko jako brata, ale i najlepszego przyjaciela. Niektóre rysy jego charakteru ja wyrobiłem – inne, te najszlachetniejsze, były dla mnie już przed wojną ideałem, do którego dojść nie mogłem. Był takim, jakim chciałem być. Straciłem wraz z wiadomością o jego śmierci bardzo dużo z radości życia i myślę, że już nic mnie głęboko nigdy nie ucieszy. Wiadomość o tej śmierci dostałem już 1 sierpnia 1944. Chciałbym bardzo zebrać materiały do jego biografii, napiszę o tym poniżej.

O losach Twojej rodziny masz już listy od Twego brata¹³ i Janka¹⁴. Wiesz zapewne o zaginięciu Twoich rodziców. Całym sercem współczuję Ci, ale co dzień zdarzają się wypadki odezwania się osób zaginionych nie tylko od powstania, ale nawet od początku wojny. W Bogu więc nadzieja, że i Twoi rodzice się odnajdą.

Nie wiem, czy wiesz o tym, że Twoja biblioteka ocalała i znajduje się w Muzeum Pedagogicznym. Zrobię starania, aby ją wydobyć, przydałoby mi się, żebyś mi posłał upoważnienie do zajęcia się tą sprawą.

Co do naszych znajomych, to Paweł Musiał zginął rozstrzelany przez Niemców, Eryk Skowron jest na Śląsku i pracuje w przemyśle. Michalski jest redaktorem prasy rządowej w Radomiu. Turowski jest posłem do KRN i wiceprezesem Str[onnictwa] Pracy w Krakowie, Izidor Reisler pod innym nazwiskiem ma nadzwyczaj wysokie stanowisko w prokuraturze Sądu specjalnego. Trzeciak pracuje w Izbie Rolniczej

w Poznaniu, Kostek¹⁵ w Min[isterstwie] Skarbu, zawiadam o tym Henia¹⁶. Edmund Moszyński i p. Duninowa w „Kurierze Codziennym”, który redaguje Wasowski, Borkowski ma posadę w min[isterstwie] lasów, jest mu bardzo ciężko finansowo. Jaś Moszyński zginął rozstrzelany przez Niemców. Pietrzak zginął, walcząc w powstaniu. Henryczek Borkowski zginął w obozie niemieckim, Jałowiecki w Majdanku na tyfus. Skwarczyński pod Winniczkami w roku 1939 miał zginąć, gdyż nie chciał Ukraińcom oddać szabli. Łoś wykłada na uniwersytecie w Lublinie. Alfred Wiel[opolski] pracuje w Instytucie Bałtyckim. O Kaziu¹⁷ wiesz pewnie, więc nie piszę.

Co do ogólnej sytuacji politycznej, to sytuacja Polski jest dość ciężka. Trudno przewidzieć w najbliższych dziesiątkach lat takiej koniunktury, żebyśmy byli zupełnie niezależni od Rosji albo od Niemców. Oto diagnoza. Jaka zaś recepta? Przez okres wojny ponieśliśmy tu w kraju straty ogromne, zupełnie niewspółmierne z wartościami, jakie nam te straty przyniosły. Jeżeli nie mamy doprowadzić do wytępienia wszystkiego już, co dzielne i szlachetne, jeżeli nie mamy zostać – jak Czesi po Białej Górze – narodem ciurów i oportunistów, to musimy koniecznie na dłuższy czas powstrzymać się od ryzykownych ruchawek i zachować wielki umiar – więcej, ostrożność. Czekajmy – jak się ułoży położenie międzynarodowe – nasze własne posunięcia mogą w tej chwili mało pomóc, a za to dużo zaszkodzić.

Przechodzę teraz do kwestii materiałów do biografii Adzia. Dziękuję Ci bardzo za broszurę z jego artykułami. Innocenty mi pisze, że ma wydane razem wspomnienia kilku jego przyjaciół, zdaje się, że są tam i Twoje, bo pisze m.in. „bł”. Nie wiem, co to znaczy, nazywaliśmy Ciebie czasem „błogosławiony”, więc może to miał na myśli. W każdym razie proszę Cię bardzo, wystaraj mi się koniecznie o egzemplarz tych wspomnień i poślij mi je, najlepiej przez Putramenta, który jest posłem w Szwajcarii, a którego tu poznałem i który zapewne mi je przyśle. Kartki idą tu nieźle pocztą lotniczą, około 3 tygodni, można by i tą drogą korespondować.

Inna rzecz to listy Adzia. Mam ich tu kilkanaście z przedwojny, z czasów wojny tylko 4. Proszę Cię, napisz do Pani Róży Tarnowskiej i do Maryjki Rostworowskiej, Borkowskiej z domu, czyby nie zechciały zrobić wyciągów z listów Adzia i posłać mi je. Również Pani Sokolnicka może ich mieć dużo. Czy Ty masz jakieś listy i czy możesz mi je przepisać? Podobno wyjeżdżając z Marsylii, Adzio zostawił jakiś rękopis, o wspomnieniach rodzinnych swoich, miał je dać Józiovi Dwernickiemu, Dwernicki zginął, ale jego żona podobno jest jeszcze w Marsylii. Czy mógłbyś odszukać jej adres i poprosić, aby Ci dała ten rękopis, i potem mi go przesłać, przez jakąś okazję, najlepiej dyplomatyczną, możesz adresować Kraków Łobzowska 8 m. 7, gdzie mieszkam, albo Warszawska 1 m. 13 u Pani Pruszyńskiej, gdzie często bywam, albo Warszawa, Adam Gubrynowicz, Dyr[ektor] Protokołu Dyplomatycznego dla mnie. Oczekuję wieści i ściskam Cię najserdeczniej,

Twój Al[eksander] B[ocheniński]

AIL, PoJG, sygn. 08.01, Bocheński Aleksander

LIST JERZEGO GIEDROYCIA
DO GUSTAWA HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO

17 luty [1946]

Drogi Panie Gustawie

Mimo obietnic poprawy w dalszym ciągu nie widzę listów ani wiadomości. Jest to dla mnie bardzo przykre, bo nie wiem, co odpowiadać ludziom. Prośba moja: może Pan odpisze, co poszło, co zostało zakwalifikowane, a co odrzucone, i odrzucone artykuły z listami do autorów mnie odeśle. Nie mówiąc o zleceniach na wypłatę honorarium.

Załączam trochę rzeczy Micińskiej (żona Micińskiego). Odpowiedź, zwrot rękopisów i w ogóle proszę kierować na ręce Marii

Czapskiej, jak zwykle na Lambert. Nie umiem Panu powiedzieć, co to jest, bo po prostu nie zdążyłem przeczytać.

Może Pan trochę popchnie Telmanego, by mnie odpowiedział również na moje ostatnie listy.

Ja zapewne przyjadę do Rzymu około 1 marca. Wąchała z Siutą zarazili się również milczeniem i jestem jak tabaka w rogu, czy sprawy instytutowe się posuwają, czy nie.

Co Pan sądzi o wydaniu *Pustelni parmeńskiej* Stendhala? Bardzo proszę sprawdzić, czy jest u Michałowskiego.

Tak samo będę bardzo wdzięczny, jeśli Pan sprawdzi u Kowalewskiego, co słyhać [z] książką M[arii] Czapskiej.

Słyszę o jakimś trzęsieniu ziemi w propagandzie. Czy są jakie zmiany w redakcji czasopism? W ogóle mógłby Pan parę słów informacji skreślić od czasu do czasu. „[L']Uomo qualunque” nie przyszło, proszę również powiedzieć Telmanemu, że żadne pismo włoskie nie przyszło do nas ani razu. Przysięgał, że rzekomo wysyła.

Oczekując odpowiedzi, łączę uścisk dłoni

Jerzy Giedroyc

AIL, PoJG, sygn. 08.01, Grudziński-Herling Gustaw

LIST JERZEGO GIEDROYCIA DO JERZEGO NIEZBRZYCKIEGO

18 IV [19]46

Drogi Jerzy

Od czasu Twego nieprzyjemnego listu z Paryża nie miałem od Ciebie żadnej wiadomości. O moich kłopotach wiesz już zapewne od Mai. Drukarnia jest kupiona, z tym że w ciągu lipca muszę jeszcze dopłacić 3 miliony lirów, no i nie mam ani grosza kapitału obrotowego. Bombarduję dlatego Londyn na wszelkie sposoby, bo coś jeszcze od nich wyrwę. Bardzo tu liczę na Twoją pomoc i energiczne interwencje. Jeżeli Ty nie sterroryzujesz dygnitarzy i Szaraka, to

już nikt tego nie potrafi. Byłem w ostatnich miesiącach, a specjalnie w ostatnich tygodniach bardzo zmordowany i w bardzo złej formie. Nie chciałbym więc, byś sobie cały szereg rzeczy źle tłumaczył lub brał mi za złe. Ale zgódź się, że finalizowanie *idée fixe*, około której biegam od przeszło roku, kosztuje trochę nerwów, tym bardziej że idzie mi o utrzymanie placówek już dotychczas egzystujących. Ma się rozumieć, że ludzie nie są z drzewa i musimy pracować tym materiałem, jakim dysponujemy, ale trudno się oprzeć irytacji, jeżeli coś nawala. Jest tych ludzi poza tym bardzo mało i stąd te ciągle u mnie gorączkowe przykrawanie coraz to innych ludzi do innych spraw. Ale wydaje mi się, że inaczej nie można. Gdybyśmy kalkulowali wszystko bardzo rozsądnie, to prawdopodobnie żaden z naszych projektów nie doszedłby do skutku, a tak jednak funkcjonują lepiej czy gorzej.

[...]

Bardzo żałuję, że moja zła forma nie pozwoliła nam porozmawiać w Paryżu ani w Anconie. Poskrobaliśmy tylko niektóre tematy. Ta rozmowa ma dla mnie bardzo duże znaczenie i chciałbym bardzo, byśmy ją dokończyli. Napisz mi więc, jakie są Twoje projekty. Ja w tej chwili jestem zawalony montowaniem Instytutu i siedzę we Włoszech do pierwszych dni maja, potem pojadę do Paryża, możliwie na najkrótszy okres czasu. Do Londynu raczej się nie wybieram, chyba że naprawdę moja obecność będzie tam potrzebna.

Ściskam Cię bardzo serdecznie i chciałbym wreszcie dostać od Ciebie list bez wymyślań, nie zawsze zresztą sprawiedliwych.

Jurek

AIL, KOR RED *Niezbrzycki Jerzy*

LIST JERZEGO STEMPOWSKIEGO DO JÓZEFA CZAPSKIEGO

Paryż, 13 VI [19]46

Kochany Józiu,

[...]

Dużo myślę o projekcie Giedroycia (czasopismo) i o jego trudnościach. Nie widzę jeszcze jego międzynarodowego komitetu redakcyjnego, bo od tego należałoby zacząć. To wymagałoby różnych podróży, wielkiej znajomości rzeczy i ludzi w różnych krajach i ułożenia jasnego programu, z którym można by się zwrócić do osób zaproponowanych do współpracy i – do pewnego stopnia – współodpowiedzialności politycznej. Mickiewicz znalazł we Francji gotowy ruch, [wyraz nieczytelny] jego myślom i słowom. My takiego nic dotąd nie mamy. Brak nam tego oparcia w Zachodzie, bo i tego Zachodu nie ma, i ta część kontynentu nic dziś konsystentnego nie przedstawia. To też może mieć swoje strony korzystne, ale ma i strony b. złe. Musielibyśmy o tym z Tobą dłużej pomówić.

[...]

Korzystając z *lucidité*, będę do Ciebie stąd częściej pisywał. Najserdeczniej Cię, kochany Józiu, pozdrawiam.

Twój

Jerzy

[...]

AIL, PoJCz, sygn. 18.072, Stempowski Jerzy

LIST ALEKSANDRA BOCHEŃSKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

13 sierpnia 1946

Kochany Jurku,

Oddawca tego listu Dominik Horodyński pochodzi ze Zbydniowa i jest synem św.p. Zbyszka Horodyńskiego, który był słynnym

jeźdźcem na konkursach hipicznych. Dominik. Dominik należy do moich najbliższych i najbardziej zaufanych przyjaciół. Podczas okupacji Niemcy napadli na dom jego rodziców w Zbydniowie, gdzie właśnie odbywał się ślub jego kuzynki Wańkowiczówny z p. Mierzejewskim, i wymordowali w bestialski sposób rodzinę i wszystkich gości. Ocalili tylko państwo młodzi, którzy byli wyjechali zaraz po ślubie, oraz dwu młodszych braci Dominika (on sam był wtedy partyzantem). Ci dwaj bracia jednak zginęli potem na Powązkach, w bitwie z Niemcami, na kilka dni przed powstaniem warszawskim, tak że Dominik jest w tej chwili ostatnim z rodu. Niestety poznałem się z nim dopiero w końcowej fazie wojny i dlatego może tak mało udało mi się uratować ludzi. W każdym razie Dominik pomagał mi w akcji, która miała zapobiec powstaniu warszawskiemu, a potem jego krakowskiej recydywy. Po wycofaniu się Niemców również udało się nam wspólnymi siłami złagodzić pewne tarcia i uratować nader cennych ludzi. Proszę Cię więc bardzo, wysłuchaj cierpliwie tego wszystkiego, co Ci powie: mogę bowiem o nim i o sobie powiedzieć to, co ówczesny minister brytyjski Hoare powiedział o swoim zastępcy Edenie: Myśli on zupełnie to samo co ja, tylko wypowiada to przyjemniej! Myślę, że rozmowa z człowiekiem, który ostatnio był tak blisko mnie, może być dla Ciebie ciekawa i że ze swej strony wyjaśnisz mu, dla niego, dla mnie i dla tutejszych przyjaciół, motywy Twego postępowania.

Napisz mi, proszę Cię, przez Dominika, czy dostałeś odpisy listów Adzia, które Ci posłałem przez jednego dominikanina francuskiego, który tu był z wycieczką. Tu nic nowego. Z Jankiem widuję się dość często. Innych naszych przyjaciół tu mało, ale mam nowych, niezadługo wydają moją książkę pt. *Dzieje głupoty w Polsce*. Artykuły muszę pisywać w „Problemach” (czy pamiętasz tę nazwę?), które wydają pp. Unkiewicz, Golka, Ryńca i inni magicy z firmy „Zespół”. Przypuszczam, że pamiętasz to bractwo sprzed wojny. Są to poniatowszczycy spod znaku Krzyczkowskiego. Widzisz, do czego doprowadziłeś przez to, żeś tu nie wrócił – teraz muszę pisywać w pismach konkurencyjnych.

Kto by się spodziewał, że jeden Winiewicz z nas wszystkich odegra rolę historyczną...

Proszę Cię, pisz do mnie często, przynajmniej pocztówki, pocztą zwykłą albo samolotową.

Ściskam Cię najserdeczniej

Twój

Al[eksander] B[ocheński]

PS

Proszę Cię, poślij mi przez Dominika albo przez Winiewicza odpisy maszynowe listów Adzia do Ciebie i do innych znajomych na emigracji pisanych oraz odpis jego dziennika wojkowego.

AIL, PoJG, sygn. 08.01, Bocheński Aleksander

LIST JÓZEFA CZAPSKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

Niedziela, 18 VIII [1946]

Mój drogi Jerzy –

Dyktowanie na maszynie zupełnie oduczyło tu mnie pisanie – i listy najważniejsze, bo zupełnie intymne, wskutek tego są nienapisane. A właśnie dziś i wczoraj nazbierało mi się rzeczy, które tylko Tobie mam ochotę napisać. Mam uczucie, które mnie nie opuszcza – zagubienia i takiego politycznego pesymizmu, że trudno mi z tym żyć. Cała nasza robota to jakaś *mysznaja biegotnia* bez ładu i składu z astronomicznymi pomysłami nierealnych naiwniaków (do których i siebie zaliczam). Ale patrząc na Polskę pod kątem światowym – właśnie skończyłem *Prise de sang* Berla, którą Ci posyłam, i *Je reviens de Berlin* Tabouis – to Polski już nie ma.

Tak się jakoś przypomina od czasu do czasu, „odbija” się jak jakieś przedpotopowe nieporozumienie. Już Czechy istnieją więcej. Wychodzimy z tej wojny strzaskani, bez inteligencji, z młodzieżą

najlepszą wybitą, i do tego bez jakiegokolwiek ideologii – politycznej. Zauważ skwapliwie malowaną przez Tabouis nienawiść do nas Niemców! Nie wiem jednak, czy ta niemiecka karta uczuciowo tak mi nienawistna – bo nie widzę żadnego śladu (nie dojrzałem) Niemiec innych niż te, które mi były zawsze wstrętne. Ale nie wiem, czy ta karta nie jest jeszcze naszą ostatnią kartą.

Albo rozwalenie się Rosji, w które nie umiem bez wojny uwierzyć. Widziałem 2 dni temu Gafencu – twierdził według świeżych wiadomości, że w Moskwie jest nastrój bardzo wysoki i mocny! Że partia znowu jakby sytuację opanowała, że jest się tam *en plein armement*, że śladu nie ma nastrojów pokojowych. Wiadomości gwałtownego zbrojenia się Rosji przychodzą i z innych stron. (Jeszcze Gafencu twierdzi, że w całej Rumunii jest też pewność, że sytuacja jest tymczasowa).

Z Polski najciekawsze ze spotkań to kolejarz, którego spotkałem na Place de Bastille – mówił to samo, co wszyscy, tylko prościej: „Nikt nie wierzy, żeby to trwało” – i wskutek tego nikt się naprawdę nie boi, i od wywieszania „na latarnię” rządu są wszyscy, i głośno to mówią – znowu kończy się na jakimś czekaniu.

Deus ex machina przeciw wszystkim. Ten parszywy Mauriac znowu napisał artykuł, że „bez zgody z Rosją *point de salut*” – jest rozkwit jakiegoś neo-Monachium od Berla po Mauriaca. O ileż bym wolał chociażby napisać o tym wściekły artykuł, zamiast bez tchu ganiać i gadać z Kopciami. Ile we Francji nie-monachijczyków – paru, a naszych przyjaciół prawdziwych – niecna to jest sprawa, która mi nie istnieje, istnieje w imaginacji, w uporze naszym. Tak samoistnie jest sprawa ormiańska w Turcji. Jedyne z nas umysł i pióro polityczne – Adzio – właściwie popełnił samobójstwo. [...]

Naprawdę, że na tym tle ten wariatowaty, nierealny Jerzy Stem[powski] wydaje mi się jeszcze jedyną inteligencją wyższego rzędu, koncepcyjną, ale znowu jego wiara w UPA, wiara w Ukraińców demaskuje w nim (boję się) zbytnią uległość myślenia miłośnikom i pragnieniom.

Wybacz list dość histeryczny, ale wszystko to się wiąże z narastającą świadomością, że robię robotę nie moją, że chcę wszystko rzucić – ażeby móc pisać, myśleć – i nawet malować, ale nie płatać się jak w lesie, w tłumie ludzkim bez zmysłu organizacji, bez koncepcji, na ostatnich nerwach. Nie wiem, czy te moje plany *sa réalisable*, ale jeżeli rzeczywiście Jerzy Ł[ubieński] przevorsuje, by nasza komórka była przede wszystkim „przedsiębiorczo opłacalna” – ja się chcę z tego wynieść i popробować szczęścia w robocie swojej. To są moje ostatnie pewno lata jeszcze zdolności pracy – ja wiem, że jeszcze mógłbym do czegoś na wyższym szczeblu moich możliwości zrobić.

Na odprawie w sztabie słuchając coraz nudnych referentów, aż mnie skręcało, patrząc na duży portret sprzed 100 laty – lichy. Gdybym wrócił do malarstwa jeszcze dziś, tobym może malował tak, że i moderniści, i reakcyoniści byliby zgorszeni.

Berl jest cały przesiąknięty bałkanizacją Europy, końcem Europy – przeciwieństwo Stempowskiego. Jeżeli chodzi o podejście do tej sprawy, chciałbym najwięcej wierzyć koncepcjom Jerzego, ale wtedy trzeba by te koncepcje rozpracować i niezwłocznie policzyć tę garsteczkę ludzi, która by mogła sobie pomóc. Na razie nie widzę nikogo poza Tobą – Jerzym Stem[powskim], mną – i to zrozum, że bez śladu zarozumiałości – tylko w poczuciu, że my się nawzajem słyszymy, a że my obaj jedyni kontynentaliści. Bo jeżeli nie, to naprawdę wyjazd do Argentyny! Francji? To jest naprawdę fasada. Francja już nie powstanie, tego jestem coraz bardziej pewny, naturalnie może powstać jako „Carrefour du Monde”, ale przeczytaj dziennik Gide’a – cóż za ubóstwo – ale pojedź pod Paryż, na te puste ogrody, puste pola i puste wsie – wszędzie to samo spustoszenie.

Berl bardzo zręcznie (czytając go, podważając nawet, mam antysemityczną reakcję przeciw jakiemuś wielomównemu jego szwargotaniu) twierdzi, że są kraje, które odgrywają w świecie rolę hamulców, i że to też jest historycznie ważne – że właśnie Francja jest tym hamulcem – że imperatorzy rzymscy, jak Tytus, Marek Aureliusz, Sewer, się nie uśmiechali, byli gorczy i smutni, a spełnili wspaniałą rolę hamulców.

„*Le coup de train que l'histoire donne sur l'histoire resolvent beaucoup de problèmes culturels, politiques et moraux qui sans eux ne seraient pas résolus ou qui le seraient beaucoup moins bien*”.

Ale to wszystko może być słuszne dla Francji, ale ci głupi, ci wariacy i szlachetni Polacy z Sienkiewiczem czy nawet Słowackim w kieszeni to przecież nie jest na hamulce francuskie i ciągle czuję (Boże, co za banał!), że na Zachodzie jesteśmy nieciekawi barbarzyńcy, nieciekawi, bo słabi – a na Wschodzie, gdzie moglibyśmy mieć kolosalną akustykę, nas wyrzynają i tyle. Często myślę o Adziu. Może naszym jedynym ratunkiem było od 1935 roku iść po drodze, którą on radził! Mam najgłębsze wątpliwości co do dalekości, co do sensu mojej pracy tu.

[...]

Najczulej Cię całuję i brakujesz mi niezmiennie. Tak ostro czuję Ci *le situation est inextricable* (jak mówił wariat adwokat przy każdej sprawie), że może naprawdę coś się naraz odwróci.

Józio

AIL, PoJCz, sygn. 19/01

LIST JERZEGO STEMPOWSKIEGO DO JÓZEFA CZAPSKIEGO (ODPIS)

Muri, 10 września [19]46

Kochany Józio,

Najserdeczniej dziękuję Ci za list i notatkę o D[isplaced] P[ersons] w Niemczech. Wszystko to widać było już zeszłej jesieni, nawet i to, że D[isplaced] P[ersons] znajdują się teraz w rękach władz niemieckich. O tym pisze już Hostowiec¹⁸. W jakim zaś sosie to się będzie odbywać, wnosić można już chociażby nawet z takiego szczegółu, że w strefie angielskiej w urzędach pocztowych niemieckich pojawił się napis: „*Briefe in polnischen Sprache sind nicht zegelassen*”. Na skutek

reklamacji wojsk polskich, które się przecież w tej strefie znajdują, napis ten wreszcie zdjęto.

Cała ta sprawa wypłynie z okazji najbliższego zebrania O[rganisation des] N[atations] U[nies], gdzie będzie mowa o likwidacji UNRRA i zastąpieniu jej jakimś innym organizmem. Nie wiem, czy się ktoś tym zajmuje i przygotowuje grunt do jakichś rozumnych propozycji. Wiem natomiast, że zajmują się tym dużo w Warszawie. Liczą się tam z powrotem wszystkich Polaków z Niemiec, dla których teraz nie będzie już żadnego wyjścia. Liczą też na olbrzymi efekt propagandowy tego powrotu, bo potem w kraju nikt już nie będzie liczył na żadnych Anglików i Amerykanów. Polska wciąga się coraz bardziej w orbitę wpływów Zachodu i przymusowa repatriacja z Niemiec wykopie między Polską i Zachodem przepaść nieprzebytą. Od dawna już widzę zbliżanie się tego etapu, w którym my, emigranci, znajdziemy się oddzieleni od kraju nie tylko przez żelazną zasłonę, ale i przez ewolucję wewnętrzną kraju, oddalającego się psychicznie od Zachodu.

[...]

Spędziłem tu kilka dni na rozmowach z prokuratorem Sądu Najwyższego w W[arsza]wie; ostatnio był w Norymberdze, gdzie prowadził oskarżenie imieniem Polski. Nazywa się dziś Jerzy Sawicki, był dawniej adwokatem we Lwowie. Widywałem go u Vincenza i Blumenfelda. Przed wyjazdem do Norymbergi był w Ameryce i Londynie, dla zapoznania się z tym, jak się w tych krajach na ten proces zapatrują. Mimo wielkiego sceptycyzmu – podaje się za mego ucznia – jest przekonany warszawianistą. Od niego dowiedziałem się wielu rzeczy, pozwalających zobaczyć ten reżym od wewnątrz, nie od strony poszukiwaczy posad, ale od strony bardziej *présentable*. Tyle mnie namawiał do zrobienia wycieczki do kraju, że zacząłem się tym nawet niepokoić. W każdym razie, na wypadek gdybym tam miał pojechać na kilka tygodni, znam drogę, którą można pojechać, tędy i nazad. Na ogół to, co odeń słyszałem, nie jest wesołe. Uderzyło mnie, że w kraju boją się bardzo

nowej wojny, która przyniosłaby znów powszechną mobilizację, deportowanie wszystkich podejrzanych i wielkie straty w ludziach, nie mówiąc już o zniszczeniu całkowitym tego, co jeszcze po Niemcach zostało.

Mój rozmówca był też stosunkowo niedawno w Moskwie i miał interesującą rozmowę z Wyszyńskim. Przychodzi mi to na myśl, kiedy czytam w Twoim liście o przeniesieniu akcji do Polski i Rosji. Coś podobnego miałem na myśli, kiedy wybierałem się na kilka tygodni do Polski w początku wiosny tego roku. Zanim do czegokolwiek przystąpić, trzeba by naprzód zapoznać się z terenem i jego rzeczywistością. Wielu dziś emigrantów, dręczonych przez demona czynu, myśli o takich rzeczach. Wielu nawiązuje kontakty z kołami warszawskimi w tej nadziei. Widzę takich nawet dookoła siebie. Niektórych namawiają do tego ich przyjaciele z kraju. NKWD jest też o tym poinformowane i dlatego Rosja oddzielona jest od Polski nieprzepuszczalnym kordonem.

Z tych myśli, moich własnych, Twoich i wielu innych, bardziej obcych mi, wnoszę, że stanowisko emigracyjne jest coraz trudniejsze do utrzymania. Wymaga coraz większego skupienia i szukania w sobie samym motywów i środków potrzebnych do zachowania takiej postawy. Coraz trudniej pogodzić ją z jakąkolwiek aktywnością. Pozostają w tej dziedzinie głównie sprawy wtórne, jak urządzenie emigrantów we Francji np. i inne zadania mało pociągające i o zasięgu ograniczonym, które coraz mniej wiążą się ze sprawą główną. To miałem na myśli, pisząc do Krystyny¹⁹.

O takiej ewolucji emigracji myśleliśmy już wiele w naszym genewskim Komitecie. Większość jego członków przyszła do przekonania, że nie należy potępiać zasadniczo rządów istniejących w zonie wpływów sowieckich, na które przypadła siła faktów czynna postawa i obrona tego, co tam jeszcze jest do obronienia. Niektórzy myśleli, że z rządami tymi należy nawet utrzymywać życzliwe stosunki. Emigracja natomiast, posiadająca większą swobodę ruchów i możliwość pisania, powinna skupić się na obronie

i propagowaniu zasad i pojęć, którymi dziś nikt się nie interesuje wśród demoralizacji i zaślepienia Zachodu, ale które będą niezbędne do rekonstrukcji. Być może rekonstrukcja przyjdzie, gdy nas już nie będzie, lub w formach innych od tych, jakie mamy na myśli, ale to już jest ryzyko wszelkiej określonej postawy, tak czynnej, jak umysłowej. [...]

Dziękuję najserdeczniej za Hostowca. Otrzymałem też kilkanaście egzemplarzy od wydawcy. Szkoda, że nie widziałem go w korekcie. Jak się obawiałem, składano go widocznie nie według rękopisu, ale według poprawionych przez redaktorów wersji drukowanych, bo znaczna część poprawek w duchu tzw. narodowym została. Skorzystałem z okazji, aby posłać parę egzemplarzy do kraju przez wyżej wzmiankowanego znajomego. Rzadko o równie pewną okazję. Kiedy przeczytał poprawiony przeze mnie egzemplarz, powiedział: „Jedyna rzecz, która wam, emigrantom, jeszcze została, to wolność myślenia, nazywania rzeczy po imieniu. To byłoby też niemało i my to najlepiej możemy ocenić. Widzę jednak, że i tego nie umieliście obronić, i że swoboda pisania na emigracji nie jest większa niż w kraju”. Ja sam biorę to mniej tragicznie. Pogarda dla słowa i myśli są dziś tak powszechne, że istnieją jako fakt natury, którego niczym zmyć z oblicza ziemi nie można. Zaproponowałem Giedroyciowi, żeby dodał errata wyprostowujące główne błędy, ale obawiam się, że na to już jest za późno. Myślę, że to leży w jego własnym interesie. Kiedy np. czytelnicy krajowi zobaczą poprawki wydawcy, będzie to dla nich źródłem zwątpienia i niewiary, dowodem małoduszności i bankructwa emigracji. Dlatego myślę, że wydawca emigracyjny powinien dbać o honor swego wydawnictwa sam. Jeżeli tego nie potrafi, *tant pis pour lui*. Autorzy będą mniej pisali, będzie więcej papieru na senniki egipskie.

[...]

Niedługo napiszę Ci znów. Tymczasem całuję Cię najserdeczniej, radzę bardzo pojechać trochę na wieś. Musisz dbać więcej o zdrowie, aby te wszystkie rozczarowania, które nas jeszcze czekają, dobrze

przetrzymać. Jeszcze raz, najserdeczniej całuje Cię, Twój, szczerze oddany

(-) Jerzy

AIL, PoJCz, sygn. 18.072, Stempowski Jerzy

LIST JANA SZUŁDRZYŃSKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

M[iejsce] p[ostoju] dn[ia] 13 września 1946 r.

Drogi Panie Jerzy.

Nie mam od Pana żadnej wiadomości, mimo że dwukrotnie pisałem. Nie wiem też, czy otrzymuje Pan „Tygodnik A[rmii] P[olskiej] na] W[schodzie]”. Wobec tego w załączeniu przesyłam Panu kilka ostatnich numerów. Przekona się Pan z nich, że utrzymuję pełną łączność ideową z Waszą pracą. Umieszczam obszernie recenzje Waszych wydawnictw i robię wszystko, ażeby się rozpowszechniły. Książka Czapskiej miała obszernie omówienie w nr. 32. Obecnie pisze się recenzję z *Dziennika podróży do Austrii i Niemiec*. Nasze stanowisko wobec pracy Matuszewskiego z okazji śmierci Jego przedstawiliśmy obszernie w artykule Zarzewskiego w nr. 33. – Widzi Pan, że nie próżnuję.

Obecnie stoi przed nami zagadnienie zmiany m[iejsca] p[ostoju]. Wyjazd nasz do Anglii przewidywany jest na początek listopada. Mam zamiar jechać razem z wojskiem, gdyż nie widzę możliwości kontynuowania pracy na Środkowym Wschodzie. Z wielką obawą myślę o tym, co będzie w Anglii. Wydaje mi się, iż należałoby oddzielić pracę społeczno-ideową wśród masy żołnierskiej, jaka znajdzie się w Anglii, od poważnej publicystyki politycznej, czysto politycznej, stawiającej sobie za zadania urabiać nowoczesną myśl polityczną polską i w ogóle światopogląd polityczny w oparciu o dwa wielkie hasła: pełna niepodległość państwowa, w pojęciu mocarstwowym, oraz renesans filozofii chrześcijańskiej, w najszerszym tego słowa znaczeniu, jako jedyne konstruktywne przeciwstawienie filozofii komunistycznej.

Marzeniem moim byłoby pracowanie w takim właśnie piśmie o wyraźnym zadaniu kształtowania polskiej myśli politycznej, a nie w żadnym innym piśmie typu kabaretu literackiego czy ideologicznego, jakich posiadamy znacznie za dużo. Przypomina mi to inteligentne rozmowy obiadów czwartkowych Stanisława Augusta, gdzie rozprawiano inteligentnie, na bardzo wysokim poziomie kulturalnym, o wszystkim z wyjątkiem o ratowaniu i budowaniu państwa polskiego. Dlatego też obiady czwartkowe diabli wzięli i to samo będzie z licznymi pismami na emigracji, które również rozprawiają o wszystkim z wyjątkiem o tym, co jest zadaniem pokolenia naszego – co stanowi nasz udział w światowej walce o wolność człowieka i chrześcijaństwo. Skandalicznie pod tym względem przedstawia się nowy miesięcznik w Londynie „Przegląd Polski”, półoficjalny organ rządu polskiego. Wstępny artykuł programowy w nr. 1, z lipca, to świadectwo zupełnego zaniku własnej myśli politycznej. Zakreśla on emigracji polskiej program biernego wyczekiwania, „aż minie zło” i dopóki się nie „wyprecyzuje lepsza koniunktura międzynarodowa dla Polski”. Oto horoskopy na to, co nas czeka w Anglii.

Jakie są Pana plany? Czy pozostanie Pan w Rzymie? Co robi Czapski we Francji? Chciałbym koniecznie otrzymać adres Zygmunta Rusinka, który podobno jest zastępcą prezesa Związku Polaków w Niemczech. Pisałem tam, ale nie mam odpowiedzi.

Wydaje mi się, że wchodząc teraz w nowy okres pracy emigracyjnej, musimy się odnaleźć i mieć między sobą większe czucie. W tym rozproszkowaniu, w jakim pracujemy obecnie, rezultaty naszej pracy są niesłychanie małe w stosunku do wielkich zadań, jakie stoją przed Polską w najbliższych latach. Myślimy tu często o tym, kto zastąpi w Ameryce Matuszewskiego. Czy u góry w ogóle o tym się myśli? Na tutejszym terenie pracy swojej miałem dowód, że ludzi chcących i umiejących uczciwie i na poziomie pracować znaleźć można. Wbrew wszelkim trudnościom zdołaliśmy stworzyć wcale solidny „Tygodnik” i wokoło niego grupę bajecznego chłopaka z Armii Krajowej, z ruchu socjalistycznego, młodego Koca, syna pułkownika.

Wszystkie trudności można konsekwencją i wytrwałością pokonać, ale jest jedna przeszkoda, która naprawdę napawa pesymizmem, tj. marazm i staroświecczyzna naszej góry.

Tak oto w najmniejszym zarysie przedstawiają się moje myśli. Chciałbym po opuszczeniu Środkowego Wschodu móc kontynuować pracę dla przygotowania niepodległości państwowej w trzeciej wojnie, o której wiadomo, że na pewno przyjdzie i że do niej trzeba przygotowywać umysły. Jestem zwolennikiem pracy ekskluzywnej, gdyż potrzeba nam ukształtować oryginalną własną fizjonomię naszego pokolenia. Jeśli chodzi o poparcie natury międzynarodowej, interesuje mnie Międzymorze i międzynarodówka katolicka, która w przyszłości na pewno odegra rolę.

Wdzięczny Panu będę za parę słów wiadomości, co u Was się dzieje i jakie są plany na przyszłość Pana i naszych wspólnych przyjaciół.

Łączę bardzo serdeczne pozdrowienia dla Pana i naszych wspólnych znajomych. Szczerze oddany

Jan Szułdrzyński

AIL, PoJG, 08.01, Szułdrzyński Jan

LIST JERZEGO GIEDROYCIA DO ALEKSANDRA BOCHEŃSKIEGO

24 września [1946]

Kochany Olu.

Z różnych spraw i prośb następujące: podobno Piotr Borkowski przyjeżdża do Rzymu, toż jestem bardzo zainteresowany w przywiezieniu przez niego szeregu książek. W pierwszym rzędzie idzie mi o komplety „Buntu Młodych” i „Polityki” oraz książek „Polityki”.

Ponadto z mojej biblioteki (która ocalała, jak pisałeś, z moim bratem) małej encyklopedii sowieckiej, Graves: *Claudius* (2 tomy), Iwaszkiewicza: *Czerwone tarcze*, Kudlińskiego: *Rumienie wolności*,

Gąsiorowski: *Huragan*, Struga *Żółty Krzyż* i *Miliardy*, Grabskiego *Bracia*, Choynowskiego: *5 braci [sic!] Sulerzyckich*, Wyspiański, Kowalscy: *Gruce*, Rembek: *W polu*, Brzozowski, Suchodolski, Koniński: *Pisarze ludowi*, Znaniecki: *Ludzie terażniejsi a cywilizacja przyszłości*, Miłkowski: pamiątniki, Kucharzewski: *Od białego do czerwonego caratu*. Wybierz ponadto co cenniejsze książki. Interesuje mnie ponadto komplet pism Norwida i cenniejsze książki, które się teraz ukazały, w pierwszym rzędzie trylogia Grabskiego. Ponadto bardzo bym chciał dostać trochę pamiątek po rodzicach, które by dał Zygmunt²⁰.

Gdyby nie przyjechał Piotr, to wysyłaj rzeczy innymi okazjami albo do mnie do Rzymu, albo do Czapskiego do Paryża dla mnie.

Zapomniałem dodać Brücknera. Zresztą trudno sobie przypomnieć wszystkie ważniejsze książki. Tu polegam na Twoim wyczuciu i znajomości.

Te książki są dla mnie bardzo potrzebne dla moich prac wydawniczych.

Zdecydowałem się zostać we Włoszech. Stworzyłem tu Instytut Literacki mający swoją drukarnię. Instytut jest włoski, nazywa się Casa Editrice Lettere i będzie wydawał książki o charakterze literackim, kulturalnym i społecznym, z unikaniem tematów politycznych. Wydaję chwilowo książki różnej wartości, musząc się kierować w dużym stopniu kasowością, gdyż jak zwykle jestem bez pieniędzy i muszę codziennie pokonywać kwadraturę koła. Do tego Instytutu przywiązuję bardzo wielką wagę, którą, mam nadzieję, równie docenisz i zechcesz mi pomóc. Twoja pomoc, jak również innych moich przyjaciół, może być następująca: 1) Przysyłanie mi książek i czasopism wychodzących w kraju. Tu dociera to z niesłychanym opóźnieniem i nieregularnie. 2) Przesyłanie mi rękopisów ciekawszych autorów, którzy w zależności od rodzaju książki byłiby tu drukowali pod pseudonimem czy pod swoim nazwiskiem. Do tego przywiązuję wagę największą. Czy byłoby możliwe, by książki wydawane przeze mnie były sprowadzane do kraju? Ponieważ Instytut ma charakter apolityczny, jest firmą włoską i firmowaną przez obywateli włoskich, więc

teoretycznie nie stałoby nic na przeszkodzie. Stronę finansową można by rozwiązać na clearingu polsko-włoskim, węgłu etc., to trzeba opracować z jakimś kompetentnym facetem. Przemawia za tym jedna rzecz, że książka we Włoszech jest b. tania, papieru jest pod dostatkiem, drukarnia jest dobrze wyposażona. Niezależnie od sprowadzania książek można by we Włoszech produkować jakiś specjalny cykl czy np. przedruk biblioteki narodowej, czy jakieś sto arcydzieł literatury polskiej etc. Można by w tym celu wydelegować do Rzymu jakiegoś naszego przyjaciela jako przedstawiciela jakiejś instytucji, który by czuwał nad redakcją czy drukiem. Ma się rozumieć, w tym ostatnim wypadku musiałaby być firma naukowa czy literacka i człowiek musiałby być nasz. Np. Akademia Umiejętności, a jako kandydata widziałbym np. Kazia. Proszę Cię, zastanów się nad tym i daj mi znać, co jest w tej koncepcji realnym. W każdym razie najlepiej by było, byście tu kogoś w tej sprawie do Rzymu przysłali dla szczegółowego omówienia.

Dotychczas wydałem następujące książki: Sienkiewicz: *Legiony*, Mickiewicz: *Księgi pielgrzymstwa*, Kuszelewskiej: *Kobiety*, Hostowiec: *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec*. Obecnie wychodzą: Szpotański: *Prometeusz*, Strug: *Dzieje jednego pocisku*, Bandrowski: *Miasto mojej matki*, Sieroszewskiego *Beniowski*, Reymonta trylogia, Słowackiego: *Książę niezłomny*, Léon Blum: *Na poziomie człowieczeństwa*, Hemingway: *Dla kogo biją dzwony*, Koestler: *Zero et infini*, Grudziński: *Antologia noweli wojennej*, Micińskiego: *Portret Kanta i dwa essaye o wojnie*, T[adeusza] Felsztyna, *Energia atomowa* (z dziedziny naukowo-popularyzacyjnej), Norwid: *Wybór pism*, Chesterton: *Skandal o. Browna*. Z dziedziny społecznej wydaję dwugłos: broszurę Chałasińskiego z dwoma ciekawszymi artykułami „Kuźnicy” na ten temat i Jana Ulatowskiego reprezentującego skrajne środowisko tutejsze z krótkim komentarzem wydawnictwa pod ogólnym tytułem *Przeszłość i przyszłość polskiej inteligencji*.

Chciałbym wydać wybór pism Brzozowskiego, ale nie mogę się na to rzucić ze względów finansowych. To się może skalkulować przy

nakładzie co najmniej 6–7 tys., na taki nakład Brzozowskiego na emigracji liczyć nie mogę. *À propos*, musisz mi wynaleźć Stendhala *Pustelnię parmeńską* i *Białe* [sic!] i *czarne* w przekładzie Boya.

Co do Twoich spraw, to materiały dotyczące Adzia będę miał nie wcześniej niż za dwa miesiące. Mam swoje papiery zdeponowane w różnych częściach świata, teraz, stabilizując się w Rzymie, zaczynam je ściągać. Mam to na sercu. Uważam, że dobrze by było, byś na podstawie roczników „Buntu [Młodych]” i „Polityki” zrobił wybór jego artykułów lub z nich spróbował zrobić jedną lub dwie książki. Gotów jestem to wydać.

Koresponduj ze mną albo na Rzym Offizina Grafiche Italiane, Via Cesena 14 Roma dla mnie (tak się nazywa drukarnia), albo na Józia Czapskiego w Paryżu, albo na Maję Prądyńską 7 Clanricarde Gardens London W2. Na moje nazwisko lub Pietrzaka. We Szwajcarii najlepiej na Jerzego Stempowskiego w Muri bei Bern. Jestem z nim w stałym kontakcie.

Co do moich planów oceny sytuacji, to trudno jest pisać. Opowiedziałem to wszystko Horodyńskiemu. Osobiście zdecydowałem się nie wracać. Odegrawszy pewną rolę na emigracji przez wydawanie „Orla Białego” (z którym już nie mam nic do czynienia od półtora roku, to ważne) i robiąc inne rzeczy, nie miałbym wielkich możliwości w kraju, a jak wiesz, jestem człowiekiem „publicznym” i z życia osobistego dawno zrezygnowałem. Od roku, a praktycznie od powstania warszawskiego, politykę rządu londyńskiego uważam za idiotyczną. Postanowiłem od niej się odczepić i zacząć pracować na własną rękę. Jest to możliwe, jeśli się jest niezależnym materialnie i niefinansowanym przez nikogo. Stąd się urodziła koncepcja Instytutu Literackiego. Od półtora roku wyzebuję lub wykombinowuję sobie każdą maszynę i teraz jakoś stoję na nogi. Pozwala mi to utrzymać paru ludzi we Francji i we Włoszech. Myślę, że przestanę być całkowicie

pochłonięty przez kłopoty finansowe od grudnia tego roku. Będę miał wtedy wolniejszą głowę. Sądzę, że nasze role się uzupełniają i że idziemy do wspólnego celu, tylko z przeciwnych stron. Różnimy się może w tym, że ja zaczynam coraz bardziej myśleć w kategoriach europejskich, a nie wąsko polskich czy środkowo-wschodnich, i że mam ambicję stworzenia sloganów nowej rewolucji, rewolucji antykapitalistycznej i antykomunistycznej jednocześnie. W każdym razie zradykaśniałem przez te parę lat, myślę znacznie więcej niż wy. Licząc się bowiem w perspektywie paru lat z konfliktem sowiecko-amerykańskim, obawiam się, że z tego konfliktu Europa wyjdzie zupełnie zdruzgotana, a zwycięstwo b. prawdopodobne Amerykanów jest dla mnie słabą pociechą. Wniosek: w zbliżającym się konflikcie musimy wziąć udział dopiero w ostatnim akcie, a nie głupio się wykrwawiać od początku, musimy stworzyć jakąś ideę, która dla Europy odegra rolę nowej rewolucji francuskiej. Mówiąc między nami, wszystko jest możliwe i zapewne się skończy naszą kompletną zagładą. Do optymistów nie należę. Ale ponieważ nie jesteśmy fatalistami i walczyć trzeba, więc walczymy w sposób najbardziej racjonalny, dający nam choć cień szansy.

Mamy tak odrębne tereny działania, że nie sposób myśleć o jakimś jednym kierownictwie. Myślę, że najlepiej postawmy sobie sprawę w ten sposób, że mamy do siebie zaufanie, że prowadzimy dobrze robotę i nie jesteśmy zdrajcami, bądźmy w możliwie ciągłym kontakcie i pomagajmy sobie wzajemnie. Po prostu stańmy się masonerią *sui generis*. Nie jest to zdrowe na stałe opieranie wszystko na personalnym kontakcie czy zaufaniu, jak świadczą liczne przykłady, ale i tak to wszystko potrwa tylko parę lat.

Piszę to wszystko niesłychanie chaotycznie, ale piszę w samochodzie, korzystając z paru wolnych godzin. Zresztą wszystko Ci opowie Horod[ynski].

Z Pruszykami²¹ nie mam żadnego kontaktu. Ten oportunizm jest już tak obrzydliwy, że nawet najzimniejszy i najbardziej amoralny taktyk musi powiedzieć pas.

Bardzo jestem niespokojny Twojej książki. Takich książek nie pisze się w Polsce bezkarnie i to może nie tylko Ciebie, ale i nas skompromitować. Wolałbym ją przed ostatecznym drukiem przegłędnąć.

Pisał mi Kisielewski, że popełnia o nas książkę. Bardzo to mnie ubawiło, ale uważaj, czy książka ta nas ośmieszy, czy też pomoże powstać legendzie o wybitnych mężach stanu. Nawet w robocie najbardziej ideowej umiarkowana reklama (reklamą jest i niepopularność) jest potrzebna. Bardzośmy tego nie doceniali.

Bardzo mi zależy na rękopisach Kazia i jak zawsze tylko na rękopisach dot[yczących] spraw społeczno-gospodarczych. Tak samo jeśli idzie o Stommę. Powiedz mu, że się strasznie cieszę z wiadomości o nim. Byłem przekonany, że zginął. Z paczki wileńskiej jest tu Kostrowicki. Bardzo miły, ale ten się nic nie zmienił. Miły szlachciura ziemiański z tendencjami do endecji.

Przyslij mi komplet tych „Problemów”. Bardzo to mnie interesuje.

Dostałem odpisy listów Adzia.

Co do Winiewicza, to daj spokój z tą „historyczną” rolą. Wiadzę, że nie pozbyłeś się swojej egzaltacji.

AIL, PoJG, sygn. 08.01, Bocheński Aleksander

LIST JERZEGO GIEDROYCIA DO JANA FRANKOWSKIEGO

24 września [1946]

Kochany Janku.

Dziękuję za list. Piszę krótko, bo myślę, że listonosz wszystko wam powtórzy dokładnie. Ograniczę się tylko do lakonicznych informacji i prośb. Pozostaję we Włoszech. Założyłem tu na zasadach prawa włoskiego dom wydawniczy z własną drukarnią. Nazywa się

on Casa Editrice Lettere (nazwa polska Instytut Literacki), a drukarnia Officina Grafiche Italiane, Roma, Via Cesena 14. Jest to również adres do korespondencji. Instytut będzie wydawał książki polskie (ze wszystkich dziedzin z wyjątkiem] aktualnej polityki), ew[entualnie] w języku włoskim.

Chwilowo to nie jest jeszcze rozkręcone, bo walczę z dużymi trudnościami finansowymi (jak wiesz, nie byłem i niestety nie zostałem milionerem), ale mam nadzieję, że to pójdzie.

Ze spraw prywatnych: mój brat, z którym cały czas byłem w wojsku, chodzi obecnie na politechnikę w Turynie, a moja żona pracuje w jednej z firm angielskich handlowych w Palestynie. Mam nadzieję, że jak się trochę tu ustabilizuję, to będę mógł ją ściągnąć do Rzymu. Chciałbym bardzo dostawać od was ciekawsze periodyki i książki ukazujące się w kraju. Tu docierają b. złe i nieregularnie. To ma dla mnie duże znaczenie. Ponadto chciałbym, byście przez jakąś dobrą okazję przesłali trochę książek z mojej biblioteki, która ocalała, jak mi pisał Zygmunt. Spis posłałem Ołowi, [z]resztą sami się zorientujecie. Czy można dostawać od was rękopisy? Chciałbym specjalnie rękopisy Studentowicza, który zapewne ich nagromadził sporo przez ten cały czas.

Teraz sprawa najważniejsza, o której piszę obszernie do Ola i obszernie wykładam pocztylionowi. Czy byłyby i jakie możliwości sprowadzania książek Instytutu do kraju. Ma się rozumieć, myślę o książkach całkowicie apolitycznych. Tu jest książka b. tania ze względu na nieograniczoną ilość papieru, tanią robocizną, no i własną drukarnię. Trudności (poza politycznymi) są w transporcie i rozrachunku. To już wy lepiej będziecie wiedzieli. Czy to nie można by związać z węglem? Pomyślcie nad tym. Jeśli to byłoby realne, można by tu drukować jakieś rzeczy seryjne, np. przedruk Biblioteki Narodowej lub jakieś „sto arcydzieł literatury polskiej” etc. Miałoby to ten jeszcze plus, że może by można było wtedy wysłać kogoś z naszej paczki oficjalnie do Rzymu dla nadzoru nad taką robotą. Musicie wziąć pod uwagę, że drukarnia jest wyposażona w offsety, tj. może drukować techniką fotograficzną, co b. przyspiesza produkcję i jest najprostszym, jeśli

idzie o reprodukcję rzeczy przedwojennych, jeśli jest tylko dobrze zachowany egzemplarz. Obawiam się, że to wszystko jest trochę fantazjowaniem, ale w każdym razie pomyśl nad tym i daj mi znać. Można by wtedy przesłać tu Studentowicza.

Gdybyś przyjeżdżał do Francji, to daj mi znać, albo mnie do Rzymu, albo *via* Czapski w Paryżu, myślę, że do końca roku będę mógł poruszać się jeszcze bez trudności.

Uściskaj ode mnie wszystkich przyjaciół ze Studentowiczem i Kostkiem na czele. Bardzo cieszę się, że jest Stomma, którego już oplakaliśmy. Jeśli pozwolisz, to będę od czasu do czasu przysyłał listy czy paczki do Zygmunta na Twój adres. Nie znam jego i zawsze do Warszawy jest łatwiej o okazję. Bardzo się martwię, że mu nie mogę pomóc. Załączam list do niego z prośbą o doręczenie.

Ściskam Cię bardzo serdecznie

Jerzy Giedroyc

AIL, PoJG, sygn. 08.01, Frankowski Jan

LIST JERZEGO GIEDROYCIA DO STEFANA KISIELEWSKIEGO

24 września [1946]

Drogi Panie

Niesłuchanie się ucieszyłem, otrzymawszy przez Dominika list od Pana. Jest to pierwszy znak życia od dawnych znajomych i przyjaciół. Co prawda o Panu już wiedziałem z doskonałych felietonów w „Tyg[odniku] Powszechnym”, który czasem wpada mi w ręce. Co porabia Stomma? Od [19]40 roku uważałem go za zaginionego, gdyż mimo poszukiwań nie mogłem nigdzie natrafić na jego ślad. Tak więc z wyjątkiem Adzia Bocheńskiego i Staszka Skwarczyńskiego jakoś zespół „Polityki” dotychczas wyszedł raczej obronną ręką. Mam słabe nadzieje jednak co do przyszłości. Czuję się bardzo pochlebiony, ale jednocześnie bardzo zaniepokojony wiadomością o powieści *Sprzysiężenie*. Liczę na egzemplarz.

Tak jak Panowie, próbuję i ja wznawiać tradycję „Polityki” i „Buntu Młodych”, niestety ze starego grona z wyjątkiem Mai Prądzyńskiej nikogo nie ma. Jest paru za to ciekawych [ludzi], jak Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński czy Tadeusz Siuta. Od [19]39 roku bawię się w Kasandrę (to jest wersja pochlebna dla mnie), a w każdym razie niewiele się mnie udawało. Po romantycznym okresie rumuńskim, gdzie zyskałem sobie m.in. dożgonną przyjaźń i zaufanie prof. Kota i gdzie przez 5 miesięcy po wejściu Niemców bawiłem się w polskiego ambasadora, poszedłem w żołdacy w dosłownym tego słowa znaczeniu. Do [19]43 roku pocilem się, to chyba było najważniejsze zajęcie, potem przez dwa lata bez większego powodzenia wydawałem „Orla Białego” i mąciłem kadz swarów narodowych, aż wdzięczni rodacy z powrotem mnie odesłali do czyszczenia czołgów. Obecnie z pierśią usianą medalami zamierzam osiąść we Włoszech i z powrotem robić zamieszanie.

O moich poglądach dokładniej i obszerniej opowie Panu p. Dominik.

Z tego, co praktycznie zamierzam robić, to stworzyłem Instytut Literacki w Rzymie (po włosku Casa Editrice Lettere) z własną drukarnią i jako instytut włoski zamierzam wydawać książki, raczej unikając polityki, a zajmując się literaturą, kulturą, problemami społeczno-gospodarczymi, przekładami z obcych języków, popularyzowaniem nauki etc. Dorobek jest niezbyt wielki jak dotychczas, ale mam nadzieję, że to się jakoś rozkręci. Piszę o tym obszernie do Ola Bocheńskiego. Bardzo Panu będę wdzięczny, jeśli razem z nim zechce Pan mi pomóc w dostaniu szeregu książek, które są mi potrzebne, w dostarczeniu ciekawszych rękopisów i może się Panowie zastanowić, jakie byłyby możliwości docierania książek Instytutu do kraju. Zdaję sobie sprawę z trudności takiej imprezy, ale może by coś z tego się udało.

Czy byłby jakiś sposób otrzymywania ciekawszych periodyków i książek z kraju. Swoje wydawnictwa postaram się wysyłać na redakcję. Może dojdą. Ponieważ 2 Korpus wyszedł już praktycznie z Włoch,

więc może kontakt z Italią będzie łatwiejszy. Ponieważ nie mam ustabilizowanego jeszcze adresu w Rzymie, więc najpewniej będzie przysyłać ew[entualną] korespondencję do mnie na adres mojej drukarni: Officina Grafiche Italiane, Roma, Via Cesena 14 dla mnie. Można również do Paryża, na Czapskiego.

Łączę wiele serdeczności

Jerzy Giedroyc

AIL, PoJG, sygn. 08.01, Kisielewski Stefan

LIST JERZEGO NIEZBRZYCKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

Vichy, 30 IX [19]46

Kochany!

Na wstępie chcę Ci bardzo podziękować za pamięć o mnie i o moim zdrowiu. Echa tej Twojej pamięci dochodzą do mnie i sprawiają mi wielką radość. To miło jest, gdy się wie, że istnieje bodaj parę osób na świecie, dla których istnienie moje nie jest zwykłym faktem. Naprawdę, czuję się istotnie tak źle jak nigdy. Odbywam tu różne konsylia, ale i tutejsze łapiduchy nie bardzo wiedzą, o co chodzi. Słaba to pociecha, że i pod względem zdrowia jest się jednostką wybitną i indywidualnością ponad normę ludzką. Wracam za parę dni do Paryża, gdzie będę (jako „szara eminencja”) zastępował Józia. Oczywiście – o tym nie należy mówić. W ogóle im mniej będzie się gadało o moim pobycie w Paryżu, tym lepiej dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla mnie. Maja, która zapewne już u Was jest, opowie Ci wszystko. Trzeba, oczywiście, brać pod uwagę Jej zawodowy optymizm. Sytuacja jest przerażająco ciężka. Gdybym był zupełnie zdrow, powiedziałbym – beznadziejna. Teraz, gdy może mnie szlag trafić na jakimś tam zakręcie, nie chcę Was zostawiać w przekonaniu, że tak jest. Gotowe to byłoby zupełnie was rozbroić i aktywność Waszą sprowadzić na zupełne j u ż bezdroża. Podkreślam słowo – j u ż, gdyż,

niestety, o tych dotychczasowych bezdrożach chciałbym mówić wiele. Pamiętam, że gdy studiowałem Polesie (to, zdaje się, był jedyny temat, który odrobiłem dobrze, ale też bo nikt nie stał nad moją głową i nikt mnie nie poganiał: „a to zrób to”, „a to napisz to”, „a to pojedź tam”), pewien stary Poleszucki ze wsi Niewierz, z którym kołowałem w tę i w tę po bagnach Zarzecza, uczył mnie: „Jak już nie wiesz, panoczek, gdzie cię zanieśli i niedobry cię kręci po lessu, tak ty siadź spokojnie i posiadź sobie maleńko – godzinka lub z pięć, a nie pchaj się jak durny”. To był bardzo mądry facet, a my niewątpliwie pchamy się jak „durne”.

Ale o tym innym razem. Innym też razem napiszę Ci obszerny traktat o konieczności przestrzegania optymizmu jako bazy filozoficznej naszego działania. Stwierdzam z ogromną przykrością, że Twój Instytut staje się rozsądnikiem *sui generis* egzystencjalizmu, bardzo rozkładowego pesymizmu, który jest w ogromnej i zasadniczej sprzeczności z programem politycznym, pod którym się podpisujesz. Coś w tym jest z dominowania nieświadomości. Niestety, podejrzewam, że pesymizm jest Ci właściwy. Koestler, Hostowiec i poniekąd Blum, bez względu na to, jak piszą, to jako literatura masowa – pozycje defetystyczne. Koestler w konsekwencji jest niebezpiecznie prosowiecki, Hostowiec – kapitulacyjny, a Blum – atomizator. Wszyscy razem to eklektycy bardzo zgniłego liberalizmu, nietwórczego, przewrażliwionego humanizmu. W sumie: demagogia do kwadratu. Któryś ze starych wydawców rosyjskich (czy nie Samavin?) napisał kiedyś, że książka jest najdelikatniejszym towarem świata. Twoim błędem jako wydawcy jest to, że chcesz wydawać same „rodzynki”. Ale Twoje pojmowanie „rodzynka” jest uwarunkowane tym, że sam czytasz dużo, bardzo, jeżeli nawet nie nadto dużo. Wchłaniasz i ciasto, zakalec, a nawet przepaloną skórę. A rodzynki wydłubujesz i dajesz czytelnikowi, zapominając o tym, że nie ma on ani ciasta, ani nawet razowca. Józio dał mi do przeczytania jeden z listów Stempowskiego (do Balińskiego bodaj), w którym występuje on o bezwzględnej swobodę słowa dla pisarzy, wydawców i redaktorów. Zdaje się, że jest tam

(dla wtajemniczonych tylko zresztą) kamyczek i w Twój ogródek, na marginesie książki (którą, osobiście, oceniam jako literaturę – entuzjastycznie, jako dokument polityczny – jak najgorzej; w sumie to b. zła pozycja Instytutu!). Ma on zupełną rację. Ani redaktor, ani wydawca nie mogą być cenzorami. Ale nie znaczy to, by polityka wydawnicza miała być bezmyślna w eklektycznym liberalizmie. Eklektyka „Wiad[omości] Lit[erackich]” w Polsce była pozytywna, eklektyka obecnych „Wiadomości” – bezwzględnie negatywna. Ty, wybierając „rodzynki”, jesteś b. niebezpiecznym cenzorem myśli. Bezwiednie (gorzej, jeżeli świadomie!) narzucasz czytelnikowi Twój światopogląd, przeładowany pesymistyczną i nihilistyczną analizą, bez pozytywnej konstatacji i wiary. Zawsze mi się wydawały podejrzanym Twoje zachwyty nad Keyserlingiem, Koestlerem (o którym chętnie napisałbym studium jako o „stalinowskim agencie”) i... Millerem, którego męczyłem z Twojej poręki i który niczego we mnie poza obrzydzeniem nie wywołał. Nie przypuszczasz chyba, że bym się oburzał na pornografię. Ale nie znoszę, gdy o sztuce kulinarnej piszą chronicznie chorzy na katar żołądka. Ale nie tylko o smak mi chodzi. Chodzi mi o to, że z tego wszystkiego, z tej całej wielotomowej pisaniny nic nie wynika. Dosłownie – nic! Doświadczenia z „Buntem Młodych” – „Polityką” powinny Cię były nauczyć, że budzisz apetyty, których zaspokoić nie jesteś w stanie. Na Twoim miejscu bynajmniej bym nie cieszył się z Aleksandra B[oczeńskiego] bez względu na to, co on Ci pisze. Robi w każdym razie rzeczy nad wyraz karygodne. I to znów jest coś z Millera. To, że żyjesz „rodzynkami”, utrudnia Ci m.in. wycucie prawdy w kraju. Słucham czasami, gdy mam jeszcze siły i stać mnie na wyrozumiałość, tego, co opowiada mi Maja. Ma ona jakieś tam „tajemnicze spotkania” i pełna jest po nich wiary i optymizmu. Wierzy z naiwnością dziecka, że w kraju wydawany jest Mickiewicz i cały Sienkiewicz. Gdy słucham tego, myślę, że to są ślady Twojej destrukcji, która zmusza do ciągłego optymizmu. Coś w rodzaju bomby rakietowej. Ale jak długo tak można żyć – to nie jest pytanie, ale czy

można coś z tym w ogóle zrobić – oto jest pytanie! „Tak ty, panoczek, uważaj i nie pchaj się jak durny”. Widzisz – miałem Ci nie pisać, na razie, o programie Instytutu, a zdaje się, że najważniejsze napisałem. Ale nie ominie Cię jeszcze ten pasztet, który noszę w sobie. Tylko nie przygotowuj mi bomby w rodzaju „gdzie mam brać tę oto literaturę optymistyczną!”. To nie jest argument. Dobra kucharka nie zgotuje Ci obiadu bez dobrego towaru. Wydawca nie może bazować swej polityki na takim argumentie, chyba że chce oportunistem zastąpić program. Nie mam zaufania do Twoich „rodzynek”. Obawiam się, że Twoje kompleksy płatają tu bardzo przykrego dla Ciebie samego figla. Nie możesz być propagatorem własnej insuficencji. Ale dość na razie o tym. Przejdę do konkretów.

Bardzo doradzałbym Ci wydać Mackiewicza *Dostojewskiego* z moim wstępem. Rzecz polega na tym: Mackiewicz chciał napisać książkę entuzjastyczną o Dostojewskim i dawnej Rosji, przeciwstawiając Dost[ojewskiego] bolszewizmowi, a starą Rosję – dzisiejszej. Jak zawsze u Mackiewicza wypadło coś zgoła odwrotnego. Jest to książka najbardziej antybolszewicka i antyrosyjska. Zresztą niezmiernie przekonywająca, bo... autobiograficzna. Kompleksowcy winni się na niej uczyć, jak niebezpiecznie obnaża praca i jej efekty ich ułomności. Książka będzie b. kasowa. Bardzo Ci ją polecam. Pisałem Ci już o tym w obszernym liście z pierwszych dni września, ale obawiam się, że ten list musiał zagać, bo były tam i inne sprawy, na które mi nie odpowiedziałeś. Gdybyś przychylił się do mojego wniosku, napisz zarówno do Mackiewicza, jak i do mnie możliwie najprędzej. Pytasz mnie w dopisku do listu Józia, czy zgadzam się na warunki w sprawie pamiętników. Nie otrzymałem żadnej propozycji – napisz, o co chodzi. Mam w tej chwili przed sobą *Dzieje polskiej myśli politycznej* Feldmana. Gdybym wiedział, że na pewno będziesz to drukował, już siadłbym do przeróbki. To bezcenna książka. I byłaby to zarazem pierwsza konstrukcyjna pozycja Twego Instytutu. Musiałbym to kazać przepisywać na maszynie. Około

450 str. maszynopisu. Napisz jak najprędzej, a natychmiast dam to do roboty. Napiszę do Weintrauba, że tę książkę robię sam.

Tyle na razie. Ściskam Cię serdecznie. Trzymaj się mocno. Czytaj *Tajfun*a zamiast Millera. Bierze się kurs i zamyka oczy, nie mędrkując. Poza tym zapomnij o istnieniu tego wszystkiego, za co sam w tej chwili nie jesteś czy nie możesz być odpowiedzialny.

Jerzy

AIL, PoJG, sygn. 08.04, Niezbrzycki Jerzy, vol. 1

LIST JERZEGO NIEZBRZYCKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

7 x [19]46

Kochany Jerzy!

Zgodnie z Twoim życzeniem Józio zakomunikował mi treść Twego listu z d[nia] 25 IX. Nie nadaje się on do omawiania listowego, a z drugiej strony nie może być pokryty milczeniem. Świadomość podobnych spraw nakłada na uświadomionych równą odpowiedzialność. Istota Twoich posunięć nie zaskoczyła mnie. Niestety, już od dość dawna jestem informowany, że robisz jakieś kontakty, i to informowany ze strony takiej, która w żadnym wypadku nie powinna była o tym wiedzieć. Nie przypuszczałem jednak, że sprawy zajdą tak daleko, i moje wrażenie nieustanne od kilkunastu godzin – to ogromne przerażenie. Nie mogę oczywiście tego tutaj uzasadniać, zwłaszcza że, wydaje mi się, nic tu już nie ma do odrabiania. Zachodzi tu jakieś nieporozumienie, wynikające z zupełnego przeoczenia tego, że my jesteśmy emigrantami w stosunku do własnego kraju, w stosunku do systemu, który w nim panuje, ba, jesteśmy emigrantami w stosunku do okupanta naszego kraju. To musi określać taktykę: nie wolno wiązać żadnego działania tutejszego z działaniem tamtejszym. Czy oznacza to, że nie mamy mieć kontaktów? Oczywiście – nie! Oznacza tylko, że nie wolno robić n a j m n i e j s z y c h bodaj powiązań organizacyjnych. Tymczasem to, co Ty i Twoi t a m t e j s i przyjaciele konstruuje,

jest właśnie wymarzoną działalnością dla Moskwy, która niczego innego nie pragnie, jak powiązań organizacyjnych. Można się pocieszać, że gdybyście tego nie zrobili, to zrobiliby to NKWD, ale to jest polityka straceńców. Czy oznacza to, że Twoi partnerzy są pełni złej woli? Oczywiście – nie! Są takimi samymi obłądnymi aktywistami, jak niektórzy moi przyjaciele. Jeśli chodzi o szczegóły, to myślę, że popełniłeś dwa błędy taktyczne: ten, że sam, osobiście, rozmawiałeś i że podjąłeś [się] kontaktowania gościa z ubóstwianymi. Zwłaszcza ten drugi błąd jest wręcz nie do darowania i – bodajbym był fałszywym prorokiem – fatalnie się na Tobie zemści. A zwłaszcza na robocie. Oczywiście, nie mogę wdawać się na tym miejscu w szczegóły. Musisz powyższe potraktować jako syntezę tego, co przemyślałem, i to bardzo starannie. Dziwię się, że sam nie dostrzegłeś zasadniczych sprzeczności pomiędzy faktami, które podajesz. Sprzeczności, które są zarazem powiązaniami: rozmowa H[orodyńskiego] z Kicią²² a rozmowa H[orodyńskiego] z Tobą, materiały rewelacyjne o Inst[ytucji] (wycinek) a Twój plan. Na miłość Boską, nie wysilaj się na podsuszanie planów NKWD! I pamiętaj: przy kontaktach czy rozgrywkach z krajem trzeba cały czas myśleć, że kraj nie jest subiektem, lecz obiektem, a wy tak sobie poczynacie, jakbyście rozgrywali partię z sanacją czy innym niezależnym subiektem. Widzę, że jestem do niczego jako autor i rzeczoznawca, skoro nawet moi najbliżsi przyjaciele nie nauczyli się ode mnie, co to jest Rosja i sowietyzacja. Przeczytaj wobec tego Bączkowskiego. Albo Szulgina – *Tri stolicy*. Wy Polacy ciągle się chcecie uczyć na własnej skórze. Ale ta skóra jest wspólna. Nie mam zamiaru pisać Ci złośliwości. Zbyt jestem niespokojny o Ciebie. Przyjmij to wszystko jako bardzo braterskie, ale bynajmniej nie pobłażliwe gderanie i wyciągnij wnioski. Pojedź na Capri lub do Sorrento, poczytaj Gorkiego, a później przypomnij sobie, że tenże Gorki był piewą Kanału Białomorskiego.

Ściskam Cię najserdeczniej

J[erzy]

LIST JERZEGO GIEDROYCIA DO ADAMA PRAGIERA

Rzym, 19 grudnia 1946 r.

Wielce Szanowny Panie Ministrze,

Proszę przyjąć najlepsze życzenia świąteczne i noworoczne od Instytutu Literackiego w Rzymie.

Chcielibyśmy, aby nadchodzący rok 1947 przyniósł zwycięstwo zasadzie, że gdy milkną działa, Polacy walczyć potrafią o sprawiedliwość swojej Ojczyzny – książką.

Kierownik Instytutu Literackiego

Jerzy Giedroyć

AIL, KOR RED ILR, t. 2, Pragier Adam

LIST JERZEGO GIEDROYCIA DO JANA BIELATOWICZA

Rzym, 31 grudnia [1946]

Drogi Panie

Dziękuję za list z 27 z tak ciekawymi informacjami. Może ma Pan i rację [co] do Italii. Tu nie tylko zaczyna być coraz gorzej na odcinku włoskim (szalona drożyzna, zapowiedź ruchów głodowych, coraz bardziej pogłębiający się chaos polityczny), ale na odcinku polskim jest i bardzo źle, ale przede wszystkim nie ma szans. Na poziomie przeciętnego Włocha, czy to robotnika, czy inteligenta, Polak żyć nie będzie mógł, a szereg spekulantów, którzy tu zostali, zaczynają w szybkim tempie tracić pieniądze.

[...]

Co do tomików nowel, to projekt jest b. interesujący. Chciałbym od razu Panu zaproponować opracowanie tomiku lub dwóch nowel angielskich. Zależałoby mi, by to mieć jak najprędzej. Tak samo proponuję Panu zrobienie wyboru nowel polskich też na dwa tomiki. Zależy mi przede wszystkim, aby były stosunkowo mało znane,

a przede wszystkim niedrukowane na emigracji. Proponuję to Panu nie tylko dlatego, że mam zaufanie do Pana wyczucia, ale przede wszystkim, że w British Museum ma Pan materiały, których my tu nie mamy. Można pewne rzeczy fotografować. To wszystko może Panu ułatwić p. Prądyńska czy Piskor z Vistuli.

[...]

Jeśli idzie o pracę o S[amodzielnej] B[rygadzie] S[trzelców] K[arpackich], to raczej mnie interesuje i chciałbym bardzo ją wydać. Czy mógłby mi ją Pan przysłać z tym, że w ciągu dwu dni od otrzymania dam Panu odpowiedź? Dobrze?

[...]

Noszę się z zamiarem wydania przez Instytut kwartalnika społeczno-lite[racko]-politycznego, formatu „Horyzontów” szwajcarskich [o] objętości 150 str. Wyobrażam sobie go w ten sposób, że będzie zawierał 5–6 dobrych essayów, „sprawy i t[ro]ski” (korespondencje z terenów nowej emigracji, ale nieograniczające się bynajmniej do spraw wyłącznie polskich), archiwum polityczne, na które składało[by] się: artykuł syntetyczny oraz recenzje książek politycznych, przegląd książ[ek] polskich wydawanych w kraju i za granicą, przegląd wybitniejszych pozycji literackich zagranicznych. Tytułu jeszcze nie mam. Może „Kultura”?

Proszę bardzo o sugestie, a przede wszystkim o współpracę. Bardzo na nią liczę. Czy poza innymi tematami nie chciałby Pan napisać korespondencji z W[ielkiej] Brytanii?

W związku z brakiem taniego słowa drukowanego przyszło mi na myśl, czy nie opłaciłoby się wydawać magazynu powieściowego tygodniowego (parę nowel, jak[ieś] dwie powieści w odcinku). Bardzo tani, trochę na wzór sowiecki. Co Pan o tym myśli?

Łączę wiele serdeczności i najlepsze życzenia noworoczne
Jerzy Giedroyc

LIST JERZEGO STEMPOWSKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

Genewa, 9 stycznia [19]47

Kochany Panie Jerzy

Serdecznie dziękuję za dwa listy, na które odpisuję z wielkim spóźnieniem, sumitując się szczerze. Moje plany przez dłuższy czas nie krystalizowały się wcale i nie wiedziałem, co odpowiedzieć na Pańskie pytania.

Polityka wzięła ostatnio tak idiotyczny kurs, że coraz mniej warto się nią zajmować. Wygląda na to, że Wielka Trójka znów doszła do ugody, która może wytrzymać kilka lat. Być może ojciec Josif³ doszedł do przekonania, że za parę lat zdąży nafabrykować bomb atomowych, i chciałby spokojnie się tym zająć. Siła samoogłupienia Anglosasów jest tak bezgraniczna, że zaczęli w swych gazetach wychwalać Żdanowa za umiarkowanie i liberalizm. Na próżno Żdanow sam przemawia raz po raz językiem, jakiego nawet w Rosji już dawno nikt nie słyszał. W mowach jego błyskają zęby i krew jak w paszczy tygrysa, ale temu nikt na Zachodzie nie chce wierzyć.

W tych nastrojach pieriedyszki między mocarstwami mogą trwać b. długo. Do polityki trzeba więc zaprawiać najmłodszych obywateli od kołyski, bo tylko oni doczekają następnej fazy procesów politycznych rozwijających się tak powoli, jak procesy geologiczne. Starszym już za późno się tym zajmować. Zdaje się, że większość ich już to zrozumiała i zajmuje się lepieniem babek z piasku lub – jak Anglicy – bawią się w *indoor games*.

W tych okolicznościach myślę zająć się prawie wyłącznie pisanie, straciwszy i tak już dużo czasu na rozpoznanie tej niewesołej sytuacji ogólnej. Nie idzie mi to łatwo, bo bardzo odwykłem od tego zajęcia. Trochę przeszkadza mi też izolacja umysłowa, w jakiej się znajdujemy.

Niedawno słyszałem w Bernie odczyt, którego autor, wróciwszy z Niemiec, wzywał swych rodaków do nawiązania znów kontaktu

z elitą umysłową niemiecką, aby wyzwolić ją z jej całkowitej izolacji, ciężącej intelektualistom na równi z głodem. Słyszając ten apel, zwróciłem się do prelegenta z zapytaniem, jak Szwajcarzy mogliby pomóc Niemcom wyjść z ich odosobnienia, kiedy sami są zupełnie tak samo izolowani od reszty świata, nie dostają ani książek, ani czasopism z krajów sąsiednich i są, podobnie jak Niemcy, skazani chyba na słuchanie radia, które oprócz jazzu nic nie przynosi. Moje pytanie zbiło wszystkich z tropu i koniec końców przyznano mi rację. Nasz Stary Kontynent utracił swą centralną pozycję, został na uboczu, stał się prowincją. Nawet rozmowy są dziś w Europie bardzo podobne do tych, jakie toczono niegdyś w Berdyczowie na Machnowieckiej ulicy przed sklepem Szafangła, gdzie spotykali się okoliczni ziemianie, albo jak w Jarmolińcach na jarmarku, gdzie dr Strzembosz zabawiał przyjezdnych wspomnieniami o Gambecie. Znajomość tych wzorów b. pomaga dziś w rozeznaniu sytuacji umysłowej Europy. Atmosfera ta nie bardzo sprzyja pisaniu, o ile się chce obstawać przy aktualności. Co gorsza, czytając to, co piszą np. w Anglii i Ameryce, ma się wrażenie, że stara Europa została niezastąpiona. Na jej miejscu jest tylko wielka dziura. Anglicy żyją w swej brytyjskiej Pipidowie, Amerykanie w amerykańskim Berdyczowie.

Trzeba więc dostosować dzisiejszą działalność literacką do tych nowych warunków i to wymaga też pewnej adaptacji, oswojenia myśłą tych zjawisk.

Dla tych wszystkich względów muszę wciąż retuszować i przystosowywać zaczęty rękopis. Wydaje mi się, że zyskuje przez to wciąż na aktualności.

Wczoraj dostałem list od p. Herlinga, donoszący o powstaniu w Rzymie kwartalnika. Czy jest to też Pańskie przedsięwzięcie? Jeżeli tak, chciałbym o nim więcej wiedzieć, jak np. wyglądać ma jego pierwszy numer, kto i co będzie w nim pisał? Czy to jest próba generalna projektowanej „Trybuny Ludów”?

Widzę już przed sobą koniec trudności, z jakimi związane jest podróżowanie do Włoch. Chciałbym nawet wyrobić tam sobie

pozwolenie pobytu. Czy to jest możliwe? Przyjadę prawdopodobnie przez Austrię w początku marca, przywożąc ze sobą rękopis lub przynajmniej jego główną część.

Widziałem tu kilku ciekawych przyjezdnych z kraju, o czym innym razem napiszę.

Najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia, abyśmy zdrowo doczekali, łączy szczerze oddany

Jerzy Stempowski

AIL, KOR RED Stempowski Jerzy, t. I: 1946–1952

LIST HERMINII NAGLEROWEJ DO JERZEGO GIEDROYCIA

London, 14 I 1947

Drogi Panie Jerzy!

To ja powinna byłam napisać do Was wszystkich po przyjeździe, ale pisałam tylko do Gustawów, zajęta tu moimi troskami, których jest sporo w tej „naszej sytuacji”. Są to troski rozmaitego rodzaju i kalibru: wielkie i mniejsze – a prześcigające się w dokuczliwości. Nie lubię o tym pisać i tak już rozdrażniona nimi. Nie znaczy to, że „jakoś” wszystko może się ułożyć, a ja tylko nie mam cierpliwości. Owszem, to ułożenie się zapowiada się smętnie, zwłaszcza z chwilą wstąpienia do PKPR. Wtedy, doprawdy, nie wiem, co będzie z polską inteligencją, z tzw. twórczością i innymi aspiracjami naszymi. Na razie żyję tu na odkomenderowaniu, co stwarza niedobry nastrój i małe możliwości wyżycia w Londynie z „kapitańskich” poborów.

Ci, z którymi się stykam, więc przeważnie pisarze, okazują mi dużo życzliwości, nieomal cieszą się mną i oczywiście, kierując się brakiem wyobraźni, nie wątpię, że uda się im zatrzymać mnie w Londynie. Ja nie jestem tego pewna.

Muszę tu zresztą powtórzyć ustaloną już opinię o naszych ludziach tutejszych, że są bez nerwu, że boją się każdej inicjatywy, choć podoba się im, że ktoś ją ma. Boją się Anglików, wszelkich władz

i utraty swojego spokojnego bytowania tutaj. Zdaje mi się, że nie ma już sposobu na tych naszych tutejszych „rodaków”, ale tak jest, że w wielu sprawach oni właśnie decydują.

Ulegają też złudzeniu, że są czynni, że ich metody dopasowały się znakomicie do angielskich, że są zatem „wielką i rozumną” polityką, kto wie, czy nie „skuteczną” itp. Jedyną aktywną grupą – moim zdaniem – są endecy, którzy popierają się wzajem. Powoli, a stanimy się naprawdę białą, reakcyjną emigracją i z tą marką zejdziemy do grobu. Przyznaję, że wielu z nas nie uśmiecha się ten „stygmata”. Trudno – skoro wielu z nas sfuszerowało całą sprawę. Dziś toczy się wszystko wyżłobionymi koleinami. Płytko wyżłobionymi, więc zatrzeje życie czy historia czy burza? – nie wiem.

Nawiązując do listu Pana, więc do sprawy przekładu *Krauzów* – w istocie koresponduję z p. Bocca i właśnie miałam od niej list z formułą umowy. Nie wiem, czy to, co mi proponuje, licząc na wydanie *Krauzów* u Mondadoriego, jest korzystne dla mnie. Chętnie oddałabym Wam książkę, ale czy nie za mały procent? Proszę nad tym pomyśleć, żeby mnie zbyt nie skrzywdzić, tym bardziej że muszę teraz żyć z tych dochodów. Zostawiam to Panu, wierząc, że życzliwie rozważy tę sprawę. Proszę o przysłanie mi umowy i jeżeli to możliwe, o zaliczkę. Umowa oczywiście w funtach, płatnych w Londynie.

Proszę też – również jeżeli to możliwe – o przesłanie mi Waszych wydawnictw. Nie mogę ich teraz kupować z wiadomych powodów.

Łączę serdeczne pozdrowienia

H[erminia] Naglerowa

Do Zosi napiszę, niech mi nie ma za złe mojego milczenia.

LIST JERZEGO GIEDROYCIA DO JÓZEFA CZAPSKIEGO

7 II [1947]

Kochany.

[...]

Zatelefonował do mnie (po raz pierwszy) Miś, mówiąc, że przywiózł mi listy z kraju. Chciał, bym do niego przyjechał. Odmówiłem. Spotkaliśmy się w kawiarni na odludziu. Zjawił się z Ksawerym. Było to dla mnie zaskoczeniem. Przywitałem się jednak. Przywiózł mi list od mego brata i parę pamiątek. Papierośnica od Słonia²⁴, medalionik panieński mojej mamy i takie rzeczy. Brat mi doniósł, że wreszcie trafił na ślady rodziców. Mama z siostrą zostały rozstrzelane 5 sierpnia o 5 rano. Następnego dnia rozstrzelano ojca, a ciało wrzucono do palącego się domu. Obie egzekucje zrobione przez Ukraińców.

Ksawery, tłusty, zapuchnięta twarz. Zadowolony z siebie, maniery rewizora. Mówiliśmy tylko o plotkach personalnych, znajomych i przyjacieliach [*sic!*]. Ton obu braci, specjalnie Misia, zażenowany, z ciągłymi aluzjami do kontaktów osobistych (moja żona Ciebie jeszcze nie zna, a tak chce, tyle o Tobie słyszała, może przysłać Ci gazety i książki etc.). Szukają moralnego rozgrzeszenia. Oportunizm niesłychany. O Mikołajczyku mówi z pogardą. Chwałą osiągnięcia gospodarcze (zabawnie, bo z sowiecka najpierw fabryki, a potem domy) i ogromny ruch wydawniczy (wydali mi trzeci nakład *Narwiku*, w druku są moje dalsze książki). Przy tym wszystkim lęk przed bezpieczeństwem (przepraszam, że czytałem list Twego brata, ale nie chciałem ryzykować, innych listów nie brałem – rozumiesz, jestem przeciwnikiem nadużywania walizy dyplomatycznej). Żadnych propozycji, ale z ciągłymi podrywkami: widziałem x i y, dopytywał się o Ciebie, jesteś tak przecież potrzebny. Nie mógł zrozumieć, żeś zdecydował się nie wracać. W sumie obrzydliwe i smutne. Ten rozdział trzeba zamknąć definitywnie i takich rzeczy nie robi się bez melancholii. Jeśli się

myśli, że zapewne i rozdziały emigracyjne trzeba będzie tak zamykać, to mam poczucie bankructwa.

Całuję Cię serdecznie. Pozdrów p. Marię i podziękuj za wszystko. Valéry'ego odeślę uczciwie za parę dni.

Załączam umowę z Blumem. Jasne, że nie mam zamiaru reklamować Twoich kłopotów.

[Jerzy]

AIL, PoJCz, sygn. 19/01

LIST ALEKSANDRA BOCHEŃSKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

24 lutego [19]47 r.

Kochany Jurku,

Dziękuję Ci bardzo za obszerny list.

Oprócz wielu szczegółów o Twojej akcji wydawniczej, co by mnie bardzo interesowało, gdybym był romansopisarzem, bo jak widzę, drukujesz przeważnie takowych – otóż, jak mówię, oprócz szczegółów o pracy wydawniczej, proponujesz mi utworzenie masonerii. Nasze cele są wspólne, piszesz, ja będę pracował tu (tj. za granicą), Ty (tzn. ja) pracuj w Kraju. Dziękuję za pomysł. Jak Ci zapewne wiadomo, *le porteur de Ta lettre*, Dominik Horodyński, został zrewidowany na lotnisku i wszystkie listy, w tym Twój i ks. Meystowicza do Stommy, zostały zabrane do Urz[ędu] Bezp[ieczestwa]. Tam przeleżały się dwa tygodnie i [z] największym trudem je odzyskałem. Oczywiście fotografijki eleganckie z tych listów są poczynione i oczekują odpowiedniej chwili, by je opublikowano. Kochany, Drogi Masonie, dziękuję! A Pana Boga proszę, żeby mnie od przyjaciół obronił, bo z wrogami dam sobie sam radę.

Przechodząc do spraw wydawniczych, zachodzę w głowę, po co wydajesz te książki za granicą, skoro bez trudu można by to samo uczynić w Kraju. Czy masz zamiar, czy nie sam wracać, w każdym razie obowiązkiem naszym jest wołać wielkim głosem do mas

Polaków na emigracji: żeby wracali. Pozostanie za granicą to dla młodych wynarodowienie, a ludzi nam potrzeba. Jeśli są tu niebezpieczeństwa (dotąd jestem na wolności), to, do cholery, nie wolno nikomu od nich się uchylać.

Proponuję więc, żebyśmy nie korespondowali ani o polityce, gdyż cele i metody naszej pracy są nader odległe, ani o wydawnictwach. Natomiast chciałbym bardzo, żebyś poświęcił trochę czasu zebraniu pamiątek po Adziu i materiałów do jego biografii. Proszę Cię, Jurku kochany, wyobraź sobie, że on jeszcze żyje i że trzeba napisać do niego list. [...]

Do wszystkich nieszczęść, które mnie spotkały, zostałem posłem i siedzę dużo w Warszawie. W związku z tym odbiorę Twoją bibliotekę, jeśli istnieje. Ściskam Cię b. serdecznie, za 2–3 tygodnie przyjedzie do Rzymu jako konsul Pioś Borkowski

Al[eksander] B[ocheński]

PS

Pisz na adres krakowski.

AIL, PoJG, sygn. 08.01, Bocheński Aleksander

LIST ALEKSANDRA BOCHEŃSKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

Warszawa, Hotel Sejmowy, 27 II [19]47

Kochany Jurku,

Dziękuję za list z 18 lutego, który parę tygodni temu dostałem. Pisałem w międzyczasie na adres Oficyny, czyś list dostał? Książkę moją pošlę Ci, jak tylko się ukaze, Kisiela²⁵ także, o ile mi da takową. Tu nic nowego, siedzę w sejmie, żałuję, że nie powróciliście wszyscy wtedy, kiedy był czas, bylibyśmy teraz liczni i znacznie bardziej wpływowi. Od paru dni wydajemy z Bolkiem²⁶ dziennik pt. „Słowo Powszechne”. Redaguje na razie Wojciech Kętrzyński, dość marnie,

może od Niedzieli Palmowej i ja wejdę do redakcji z głosem decydującym, ale nie wiem jeszcze na pewno, czy tamci się zgodzą.

Robię starania o Twoją bibliotekę, ale jak dotąd bez skutku. Jutro jednak wezmę się b. energicznie do roboty.

Napisz mi, proszę Cię, czy Piosiwie²⁷ już są w Rzymie, kiedy przyjechali i jaki jest ich adres. Czy pošlesz mi korespondencję Adzia, lub przynajmniej jej odpisy oraz odpis książeczki wojskowej, o której wspominaleś?

Proszę o odwrotną odpowiedź i ściskam Cię najserdeczniej, Twój

Al[eksander] B[ocherński]

PS

Adresuj do Krakowa na dawny adres!

AIL, PoJG, sygn. 08.01, Bocheński Aleksander

LIST HERMINII NAGLEROWEJ DO JERZEGO GIEDROYCIA

7 III 1947

Drogi Panie,

[...]

Stykam się tu z coraz innymi znajomkami z dawnych lat, ostatnio z legionistami, którzy tu przeszli przez „łagry” Sikorskiego. Z przeżeniem stwierdzam, że to ginąca „rasa”, ludzie, którzy poszli na emeryturę po bankructwie. Właśnie dziś u Beckowej, która tu przyjechała na jakiś czas z Brukseli, spotkałam Wyżła-Ścieżyńskiego. Jakieś szczątki dawnego humoru i dowcipu, jakaś żalosna rezygnacja, która ma pozory wierności dawnym zasadom. Jeżeli już dziś piłsudczycy nie siedzą za drutami, to jednak wyszli całkowicie z kursu. NiD nie dopuszcza ich do siebie, a Grażyński, powołując się na ideologię Marszałka, nie chce mieć do czynienia z piłsudczykami *pur sang*, bo

to przecież zawsze – Naprawa. Ja trzymam się z dala od polityki, nie chcąc tracić czasu, który zbyt szybko ucieka. Obserwuję jednak te ruchy i mam informatorów. Wydaje się, że powstanie tu jakieś „reprezentatywne ciało”, które może nasyci ambicje młodszych, a może w istocie wykaże trochę inicjatywy politycznej. Mimo bowiem błędów dotychczasowej naszej polityki emigracyjnej nie byłoby słuszne trzymać się zrezygnowanego „za późno”. W historii każda chwila może być początkiem akcji, co przecież nie wyklucza tzw. ciągłości dziejów.

Ruszyły się najpierw tutejsze organizacje społeczne, których jest do diabła i trochę. Prezesi, zarządy, wreszcie i te rady dla ukoronowania całości. Taka szablonowość budzi sceptycyzm, ale może coś z tego wyniknie na ostatku. Nie wiem jednak, czy masy poddadzą się dyrektywom, i nie wiem, jak długo to będą – „masy”. Powoli, ale nieustannie rozsypuje się ta masa, wsiąka w obcość, odpływa, dokąd się da.

Z tym wszystkim trzeba sobie szczerze powiedzieć, że jesteśmy poza marginesem, że Kraj z nas rezygnuje. Istnieją jeszcze kontakty rodzinne, ale i te rozluźniają się coraz bardziej. Istnieją może nawet związki przyjaźni, ale w momentach spotkania odczuwa się dreszcz niepokoju, jak na widok duchów albo zmartwychpowstałych zjaw. Patrzymy na siebie, liczymy zmarszczki na twarzy, dziwimy się siwym włosom, ale zatajając przed sobą te zmiany, nie potrafimy ukryć wyrazu naszych oczu i ożywić dźwięku głosu. Przyjaźń traci wtedy nawet barwę wspomnienia. Czy to są dramaty? Może.

Jest już późna godzina nocna, kiedy piszę, więc należy przepędzić maryl...

Serdecznie Pana pozdrawiam

H[erminia] Naglerowa

AIL, KOR RED ILR, t. 2, Herminia Naglerowa

LIST JERZEGO STEMPOWSKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

Muri/Berne, 7 czerwca 1947

Thunstr[asse] 29

Kochany Panie Jerzy,

[...]

Czytając o tym, co się w tej chwili dzieje we Francji, zastanawiam się nieraz, czy Paryż jest dziś miejscem, w którym warto wznowić swój dom. Kto wie, jak się potoczą wypadki, bo konflikt między mocarzami świata, zanim dojdzie do naszego kraju, będzie miał pierwszy lub może i drugi, i trzeci akt rozgrywający się na Zachodzie. Jest to już coraz jaśniejsze, że tz[w]. ogień nękający Moskwa będzie utrzymywać przez długi czas w krajach Europy Zachodniej, zanim w ogóle do czegoś przyjdzie. Niestety wszyscy faszystanci zachodni – jak po pierwszej wojnie światowej – grają na rękę Sowietom i trudno nawet powiedzieć, kto dziś skuteczniej pracuje *pour le roi de Prusse*. Czy Panu i Józiovi też takie myśli przychodzą do głowy? Straszno jest dziś koncentrować wszystkie nasze poczynania emigracyjne w jednym miejscu, bo nie wiadomo, gdzie upadnie piorun.

[...]

Najserdeczniejsze pozdrowienia łączy szczerze oddany

Jerzy Stempowski

AIL, PoJCz, sygn. 18.072, Stempowski Jerzy

LIST STEFANII ZAHORSKIEJ DO JERZEGO GIEDROYCIA

30 VI 1947

Drogi Panie,

dziękuję bardzo za list, a przede wszystkim dziękuję za wiadomość, że Instytut odrodzi się w Paryżu. Bardzo już martwiliśmy się

z tego powodu. Podziwiam wytrwałość Pana i energię i życzę najlepszego powodzenia na nowym terenie. Cieszę się, że zobaczymy się wkrótce. Dowie się Pan przy sposobności, jak ciężkie przechodzimy teraz czasy. Mam nadzieję jednak, że do tego czasu – a raczej wcześniej już – sprawy się ułożą i wejdziemy może w atmosferę może nie łatwiejszą do życia, ale w każdym razie czystsza. Oczyszczanie jej jest skomplikowaną operacją. Powinna zakończyć się w najbliższych dniach.

„Kulturę” otrzymałam, nie przeczytałam jej jeszcze w całości, ale bodaj w najważniejszych rozdziałach. Artykuł Terleckiego uważam za bardzo dobry. Pochwalam ideę przekładów obcych autorów, żadne wyznania programowe o jedności kultury europejskiej nie są tak wymownym tego dowodem, jak bezpośrednie czerpanie z autorów obcojęzycznych i bezpośrednie przeżycie jedności zagadnień i myśli. Artykuł Croce jest wstrząsającym niemal wkroczeniem w serce i mózg Europejczyka wszelkiej narodowości. Jest bardzo piękny. W ogóle cieszę się, że redakcja zerwała ze wspominkarsko-historyczną tradycją „Wiadomości”, że nareszcie mowa jest o problematach. Zdaje mi się, że uświadomienie otwartych zagadnień dzisiejszego czasu, samo postawienie znaków zapytania, skonfrontowanie ich z przeszłością, teraźniejszością i – przyszłością, jest sprawą bardzo ważną. To właśnie zarzucam „Wiadomościom”, że „lulają” czytelnika. Zwracam uwagę na dyskusję na temat marksizmu, która się toczy w prasie krajowej („Odrodzenie”). Również na temat literatury „postulowanej”. – Jak często ma się ukazywać „Kultura”? Co do mnie, nie bardzo przeraża mnie format i okładka, choć przyznaję, że nie są pociągające. Jakoś stępiła się moja wrażliwość na zalety wzrokowe, które przestały być symbolem doskonałości. Ale zmiana mimo to dobrze zrobi.

Niestety nie mogę napisać artykułu o autonomii uniwersytetów. Nie znam się zupełnie na tym zagadnieniu, bardzo zresztą w tej chwili ważnym i istotnym w kompleksie zagadnień demokracji. Byłoby bardzo ciekawą rzeczą naświetlenie od strony historycznej. Niestety

nie mogę – nie umiem – tego zrobić, musiałabym specjalnie zająć się tą sprawą, specjalnie ją przestudiować, a nie mam na to teraz czasu. Kończę książkę. Wydaje mi się, że mógłby to zrobić Stempowski, może Terlecki. Dziś otrzymałam list p. Herlinga-Grudzińskiego w tej sprawie, bardzo proszę o przekazanie mu mojej odpowiedzi.

Raz jeszcze dziękuję za pamięć o mnie, oczekuję Pana tu, w Londynie, i przygotowuję herbatę, fotel i kilka godzin.

Serdeczny uścisk dłoni łączę

Stefania Zahorska

All, Instytut Literacki w Rzymie, t. 4, Zahorska Stefania

LIST JERZEGO GIEDROYCIA
DO KAZIMIERZA WIŚNIEWSKIEGO

Paryż, 26 XI 1947 r.

Szanowny Panie Generale,

Potwierdzam odbiór listu Pana Generała z dn[ia] 20 bm.

Ponieważ na konferencji Panów Generałów z września r[oku] b[ieżącego] zostało ustalone – jak mi zakomunikował Pan Generał Anders – że pożyczka marcowa, zaciągnięta przez Instytut Literacki w Delegaturze Służby Pien[iężnej] w Rzymie, będzie zapłacona w wysokości 2.500.000 lirów, tj. po kursie 1 £ równy 1.500 lirów – więc jestem zaskoczony wiadomością Pana Generała, że przerachowano tę pożyczkę po kursie 1 £ równy 2.200 lirów. Bardzo gorąco proszę o spowodowanie rewizji tej ostatniej decyzji.

[...]

Jeśli idzie o stronę prawno-organizacyjną Instytutu we Francji, to rozumiem, że są w dalszym ciągu obowiązujące zasady ustalone we Włoszech przez Pana Generała Andersa, zmodyfikowane:

a) protokołem z konferencji w Paryżu z dnia 31 III i I IV r[oku] b[ieżącego],

b) protokołem z konferencji u Pana Generała Andersa z dnia 19 maja 1947 oraz

c) pismem (tajnym) Pana Generała Andersa do mjr. Czapskiego z dn[ia] 8 września r[oku] b[ieżącego].

Jeśli idzie o ustępi listu Pana Generała: „Dla uniknięcia nieporozumień na przyszłość prosiłbym Pana o możliwe przestrzeganie zasad, na których opiera się organizacja Instytutu, co na pewno ułatwi Panu pracę” – to melduję Panu Generałowi, że zawsze przestrzegałem bardzo rygorystycznie wszelkich zarządzeń moich władz przełożonych.

Jeśli idzie o kwartalnik „Kultura”, to melduję Panu Generałowi, że nie rozpocząłem tego wydawnictwa na własną odpowiedzialność, lecz uzyskałem aprobatę Pana Generała na rozpoczęcie tego wydawnictwa na konferencji paryskiej w kwietniu r[oku] bieżącego. Przy rozmowie na ten temat był obecny mjr Czapski. Zresztą preliminarz budżetowy Instytutu na r[ok] 1947/48, zatwierdzony przez Panów Generałów, przewiduje przekształcenie „Kultury” z kwartalnika na miesięcznik, traktując to wydawnictwo jako główne zadanie Instytutu – chociaż materialnie całkowicie deficytowe.

Celem „Kultury” jest:

- a) reprezentowanie dorobku kulturalnego emigracji,
- b) stworzenie na tym odcinku więzi z krajem,
- c) zapoznanie społeczeństwa polskiego z kulturą zachodnią,
- d) kontakt z pisarzami i uczonymi zagranicznymi,
- e) danie możliwości uczonym, literatom i publicystom polskim na emigracji, znajdującym się na skutek spadku czytelnictwa w bardzo ciężkich warunkach materialnych – zarówno możliwość wypowiadania się publicznie (prasa emigracyjna jest albo prasą informacyjną, albo ściśle politycznie aktualną, a przede wszystkim nie zamieszcza większych studiów lub opracowań), jak i pomocy materialnej.

Wydając „Kulturę”, liczymy na czytelnika-inteligenta na emigracji, jak również w Kraju, dokąd różnymi drogami przesłaliśmy kilkaset egzemplarzy pierwszego numeru i zamierzamy to nadal robić.

Zaznaczam przy tym, że „Kultura” znalazła bardzo szeroki i żywy odźwięk w kraju.

Jeśli idzie o przekształcenie „Kultury” z kwartalnika na miesięcznik (co zostało przez Panów Generałów zaakceptowane w planie wydawniczym i preliminarzu budżetowym), to głównym motywem było nadanie pismu ciągłości i kontaktu zarówno z autorami, jak i czytelnikiem, co przy kwartalniku jest rzeczą właściwie niemożliwą. Ponadto nie spodziewając się zresztą zbyt wielkich rezultatów, biorąc pod uwagę obecną sytuację czytelniczą na emigracji – przy miesięczniku można organizować kampanię prenumeratorską, która choć w części pozwoli zmniejszyć deficyt.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Kierownik Instytutu

Jerzy Giedroyc

AIL, KOR RED Instytut Literacki w Rzymie, t. 4, Wiśniowski Kazimierz

LIST JÓZEFA CZAPSKIEGO DO STANISŁAWA MACKIEWICZA

14 IX [19]48

Drogi Panie,

To Giedroyc coś poplątał i twierdzi, że Pan mu zaproponował Stempowskiego, na którego się skwapliwie zgodził. Tak że już ja się do tej sprawy nie mieszam. Słyszałem od niego, zresztą czytałem już we „Lwowie i Wilnie”, że Pan pisze książkę o Adziu. Co raz to przypominają mi się drobne o nim rzeczy, które może mogłyby się Panu przydać.

Rozmawiałem z Ojcem Bocheńskim, jak tylko dowiedziałem się o śmierci Adzia. Opowiadał mi wtedy swoje ostatnie spotkanie w szpitalu. Adzio leżał, w szpitalu, był od trzech dni bez opatrunku, już obiecał jechać dalej na południe na dalsze leczenie, miał 14 tomów jakiejś historii Papieży i maszynę do pisania, które włókł ze sobą.

Kiedy mu nieśmiało powiedział brat, żeby jak wróci na front, nie robił za dużo wariactw, powiedział, że jak się ma już pewien „standard”, to nie można go zmieniać, a że i tak wcześniej czy później od miny wyleci. Zaczęli mówić o różnych sprawach i znajomych. Ojciec Bocheński wspomniał Broniewskiego i powiedział, że to bolszewik, które[go] należałoby rozstrzelać. Adzio wpadł w straszną irytację, tak że Bocheński Ojciec starał się zmienić temat konwersacji. Powiedział Ojcu: „Jaka szkoda, że zrobiłeś się księdzem, nie masz zupełnie zrozumienia ducha chrześcijańskiego, który jest *d u c h e m a b s o l u t n e j a m n e s t i i*”. Nie wiem, czy robię niedyskrecję, że tę rozmowę powtarzam, ale jest cały w tym Adzio. Pamiętam, jak w Kahassinie w Iraku, pod gwiaździstym niebem, które tak dobrze znał, jak inni znają swoje ścieżki do domu, deklamował mi masę z *Fausta* Goethego, a także jeden wiersz, który lubił specjalnie, arcyarcyfistyczny Wittlina. Pamiętam tylko, że chodziło tam o jakiś miecz, który ofiarowano jako votum i zawieszono u stóp ukrzyżowanego Chrystusa, że ten miecz był wstawiony w walkach i wielu niewiernym ściał głowę. No i w wierszu ten kontrast bezgranicznego miłosierdzia Chrystusa, jego słodczy i krwawego miecza.

Kiedys zaczęliśmy go o to, że nie bardzo mogę zrozumieć nieraz jego stanowiska, bo kocha i broni pojęć nieraz ze sobą sprzecznych. „No przecież, odpowiedział mi, na tym może polega kultura, że jest to stop wartości i pojęć nieraz ze sobą sprzecznych”.

Mieszkał w namiocie z Andrzejem Tarnowskim z Sędziszowa, którego znałem od wielu lat i który nas ze sobą spotkał (Bocheńskiego spotykałem przelotnie w 1924 r. w Paryżu, ale nie miałem z nim żadnych stosunków, wydawał mi się wtedy manieryczny, snobistyczny i tylko Pan mi wtedy opowiadał, że jest genialny, jakże mi dzisiaj wstyd mego głupiego i powierzchownego spojrzenia). Otóż, jakeśmy się spotkali tam na pustyni, byłem dosłownie olśniony tym człowiekiem, nie tylko jego wspaniałą inteligencją, ale czujnością, uroczym taktem, wytworną złośliwością, zmysłem humoru, a jednocześnie nigdy nie zawadzającą, aż brutalną odwagą swoich przekonań. W związku z tym

pamiętam jedną scenę, w której go zobaczyłem całego. Był to okres, gdzie szalał Klimkowski. Ja wtedy byłem szefem propagandy i coraz to musiałem jakieś jego projekty tak czy inaczej „połykać” czy odwalać. Okazał mi wówczas starannie wykonaną mapę Polski. Był to okres, kiedy Klimkowski już reagował gwałtownie na politykę według nas wszystkich zbyt wobec Sowietów uległą Sikorskiego. Ta mapa Polski dochodziła prawie że do Kaukazu. Ukraina, Litwa, Białoruś były to wszystko prowincje polskie, bo przez cały obszar imię Polski przechodziło. Nie mogłem się zgodzić na wydrukowanie „tajne” tej mapy. Chciałem, by przerobił i by zrobił z tego mapę Wielkiej Federacji. Zdecydowałem, że jeden Adzio może mi w tym pomóc, i w nocy po 12, autem generalskim, powaliliśmy z Klimkowskim do pułku Adzia. Adzio był tej nocy oficerem służbowym. Wywiązała się namiętna dyskusja między Klimkowskim i Adziem. Adzio miał niewątpliwie sympatię do Klimkowskiego, ale Klimkowski zaczął wygadywać jakieś nieprawdopodobne banialuki o Wielkiej Polsce i nagle Adzio aż zapiał z wściekłości, powiedział, że nie chce nic mieć wspólnego z jakimiś koncepcjami nacjonalistycznymi, które by miały gnębić inne narody, że ta mapa jest tylko możliwa jako szeroko pomyślana federacja i pod żadnym innym warunkiem nie będzie się mieszał do jakichś imprez nacjonalistyczno-rasistowskich. Klimkowski się ugiął i wyszła mapa federacyjna.

Jeszcze jedna mała historyjka. Adzio mieszkał w namiocie, jak już mówiłem, z Tarnowskim. Zauważyłem z największym oburzeniem, że gdy wychodzą z namiotu, Adzio przepuszcza zawsze przed sobą Tarnowskiego, który jest przeziętym biboszem, ale który był młodszy od Adzia i który doskonale rozumiał, że Adzio był nieporównanie bardziej od niego ważki i ważny. „Czyś Ty zwariował, powiedziałem Adziowi, że[by] Bubisia przepuszczać [przed] sobą”. Adzio popatrzył na mnie z głęboką pogardą, jak [na] zupełnego ignoranta: „Czy ty naprawdę nie wiesz, jaką rolę w historii polskiej odegrali Tarnowscy!”

Jeszcze jedna drobna historia. Pan wie, że on miał bzika na tle Kawalerów Maltańskich. Narywał się coraz to na przykrości, bo na mundurze nie nosił *Virtuti Militari*, ale nosił wstążeczkę Kawalera

Orderu Maltańskiego. Kiedyś w Kairze spotkaliśmy go na śniadaniu z Gieratem, który był zastępcą szefa propagandy. Chodziło nam, by się dogadali. Gierat w środku rozmowy uprzejmie i poważnie zapytał, za jakie zasługi otrzymuje się Krzyż Maltański. Pytał najpoważniej. Nagle widzę błysk w oczach Adzia Bocheńskiego, który odpowiada z najpoważniejszą miną: „za trzy lata walk z Saracenami”. Pamiętam, że na tym samym obiedzie mówił ze znaną Panu dobrze erudycją i pasją, że mylił się za młodu, nie biorąc pod uwagę zupełnie, gdy mówił o polityce, momentu moralnego, który przecież w pewnym momencie może zagrać i jest czynnikiem, którego polityk nie ma prawa lekceważyć. Nie pamiętam jego licznych wówczas cytowanych przykładów. Został mi w pamięci tylko jeden: wpływ opinii na ucięcie dostaw do Włoch podczas wojny włosko-abisyńskiej.

Z poetów, których najchętniej deklamował, pamiętam również Baudelaire[’a]. Pamiętam taką podróż z nim autem po pustyni do Bagdadu, która mi się złączyła z deklamacjami Baudelaire’a, tak jak na zawsze te noce gwiazdziste w Kahassinie łączą mi się z wierszami z *Fausta*. Ileż razy namawialiśmy go, by zajął się polityką, a nie wojskiem. Jerzy Giedroyć chciał uparcie, by go Korpus wysłał do Sokolnickiego do Ankary, ale zawsze te projekty rozбивały się o upartą wolę Adzia pozostania w pułku. To nie było tylko zależne od jego miłości do wojska, do swego pułku i namiętnego pragnienia dzielenia z nim doli i niedoli. To była też linia polityczna. Raz jeden powiedział mi: „Politycznie ja może się jeszcze będę mógł przydać, ale to grubo później, po wojnie, jeżeli zajdzie polityczna potrzeba rozmów polsko-niemieckich. Wtedy mogę być pożyteczny”. Wielu znałem ludzi o śmiałych poglądach, ale byli oni przeważnie zupełnie niezdolni do współżycia w zespołach „normalnych”, tzn. w wojsku, w pułku, albo znowu znałem ludzi wspaniale odważnych, ale którzy się nie wyróżniali żadną oryginalnością myśli. Zdaje się, że nie spotkałem człowieka, który w tym stopniu jak on umiał łączyć bezkompromisową śmiałość myślenia z najbardziej uroczą umiejętnością współżycia z ludźmi nie tylko najróżniejszych przekonań, ale z ludźmi najbardziej dalekimi

od niego i w swoich koncepcjach, i w myśleniu, i w subtelności reagowania. Umiał tych ludzi szanować, odnajdywać w nich to, co mieli w sobie najlepszego, i wywoływać w stosunku do siebie uczucia najżywszej przyjaźni u najbardziej nawet sobie odrębnych kolegów. O tym wszystkim Pan wie doskonale. Jeżeli Panu posyłam tych kilka okruszynek, to dlatego, że m o ż e ktoś z nich na coś się Panu przyda.

Serdeczny uścisk dłoni

[Józef Czapski]

AIL, PoJCz, sygn. 18, Mackiewicz Stanisław

LIST JANA FRANKOWSKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

Detroit, 22 XII 1948 r.

Kochany!

Dziś otrzymałem Twój list. Przyjemnie mi jest stwierdzić, że nasza przyjaźń przetrwała wszelkie koniunktury polityczne, bo te przecież zwłaszcza w naszych polskich warunkach są zmienne. Całkowicie rozumiem i doceniam Twoją pracę – tak samo przypuszczam, że Ty doskonale zdajesz sobie sprawę z mojej działalności politycznej w kraju, prowadzonej w bardzo trudnych warunkach. Jest to prawdziwy taniec na linie. Niestety nasze pokolenie w Polsce nie ma już za kogo się schować – bo starsi zeszli z areny politycznej – musimy my być w pierwszej linii na froncie. Bądź przekonany, że reprezentuję w dalszym ciągu i wierzę w to samo, co przed wojną – z jedną jedyną korekturą: polityka zagraniczna. W naszej geopolitycznej sytuacji musimy być w zgodzie z Rosją i robić wszystko, aby społeczeństwo nie robiło głupstw, nie dało się prowokować, nie prowadziło działalności politycznej nielegalnej – bo to wszystko daje w rezultacie olbrzymie ofiary w ludziach, a żadnych korzyści. Sprawa polska jest fragmentem drobnym wielkiego zagadnienia anglo-rosyjskiego i nie możemy postępować w myśl zasady: konia kują – żaba nogę

podstawia. Nie trzeba Polaków zamieszkałych w kraju krzepić na duchu w sposób niepoważny, czy też zrzucać im kilkanaście karabinów, aby wierzyli w bliską wojnę i w to, że właśnie wyłącznie z powodu Polski ta wojna wybuchnie i o nasze właśnie interesy.

To nie ma absolutnie sensu. My w Polsce lepiej od Was znamy komunizm i zupełnie zbędne jest nauczanie z zewnątrz. Te wszystkie uwagi nie odnoszą się absolutnie do „Kultury”, którą do niedawna czytałem z wielkim zainteresowaniem i krążyła dosłownie wśród moich znajomych z rąk do rąk. Piszę do niedawna, gdyż od jakichś 2–3 miesięcy – zupełnie kto inny otrzymuje mój egzemplarz „Kultury”, a nie ja. Nie potrzebuję Ci chyba bliżej pisać, kogo mam na myśli. Dlatego też szkoda kosztów – nie wysyłaj – nie chodzi tu absolutnie o moją osobę – ale szkoda kosztów – dosłownie. Natomiast gdybyś wysłał komplet „Kultury” na adres Gidyńskiego w New Jorku (780 RIVERSIDE DR. New Jork, N.J.), to on mi doręczy – a ja zabiorę osobiście do Polski.

Gdybyś mógł przesłać ciekawsze książki polityczne i filozoficzne, które Ty wydałeś – to bardzo chętnie je kupię i pieniądze przekażę przez Gidyńskiego. Z New Jorku odpływam „Batorym” 4 lutego do Polski. Nie wierz w te wszystkie głupstwa, które zapewne niebawem napisze prasa polsko-amerykańska o mojej osobie. Jeśli chodzi o Dominika – to opinia Twoja w 100% słuszna. Uważam go za bardzo lekkomyślnego i niepoważnego i tak dosłownie traktuj go przy jakichkolwiek osobistych czy listownych kontaktach, nawet gdy nasz Kochany Olo, ale zbyt łatwowierny – pisał do Ciebie co innego. Mów z nim, tj. z Dominikiem, o kobietach – ale nie o polityce. List ten traktuj jako pierwszy. Pisz listy (nie paczki – te na Gidyńskiego) na Bieniewskiego. On dostarczy je dalej – bo ja około 4 I 1949 wyjadę z Detroit dalej na Zachód.

Ściskam Cię

Janek

LIST JERZEGO GIEDROYCIA DO JANA FRANKOWSKIEGO

28 stycznia [1949 r.]

Kochany Janku,

Nie odpowiedziałeś mi na list, jak również nie potwierdziłeś odbioru przesłanych Ci książek. Widzę z tej strasznej prasy polsko-amerykańskiej, że obrabiają Cię dość dokładnie. Bardzo mnie to bawi.

W związku z Twoim niedalekim powrotem do kraju mam do Ciebie szereg prośb:

1. Tak jak Ci pisałem, chciałbym, by i w kraju, i na emigracji była choćby mała grupa ludzi mająca do siebie zaufanie i nie podchodząca do spraw z wiecową demagogią. Grupa ludzi, którzy zawsze mogą znaleźć wspólny język. Ani warunki, ani możliwości nie pozwalają na wytwarzanie jakiejś organizacji. Nie mam do tego najmniejszego zaufania. Chciałbym jednak, by utrzymać kontakt, i myśleć, że powinieneś się zastanowić z przyjaciółmi nad tym, by dopóki można, ktoś z was wpadał do Paryża.

2. By nie tracić kontaktu z krajem, zależy mi bardzo na orientowaniu się choćby w produkcji książkowej. Macie swoje pisma czy zaprzyjaźnione domy wydawnicze. Chciałbym, byście zechcieli zorganizować przesyłanie mi co ciekawszych książek ze wszystkich dziedzin. Dla mnie to będzie bardzo cenny materiał, a to wam nie zrobi specjalnego kłopotu, trudności czy też kosztów. Jasne, że najlepiej wysłać na mój adres prywatny, na moje nazwisko czy też mojej sekretarki Zofii Hertz na ten sam adres.

3. Ze swych spraw prywatnych mam przede wszystkim prośbę, której mi od wieków Olo nie spełnia, to jest

a. wydostanie moich książek z Muzeum Pedagogicznego w W[arsza]wie, gdzie były zdeponowane, i oddanie ich memu bratu. Zdaje sobie sprawę, że przesłanie ich mnie do Paryża jest szalenie trudne;

b. znalezienie kompletu wydawnictw „Buntu [Młodych]” i „Polityki” oraz książek przez nas wydanych i przesłanie mi do Paryża.

4. Sprawa dosyć trudna, gdzie chciałbym mieć Twoją opinię czy rady. Jak sobie wyobrażasz, mam poważne trudności finansowe z „Kulturą”. Tym większe, że chcąc utrzymać całkowitą niezależność, nie chcę brać z żadnych źródeł oficjalnych pieniędzy, abstrahując od tego, że tych pieniędzy nie bardzo jest. By „Kulturę” rozwinąć i doprowadzić do jakiejś względnej samowystarczalności, muszę mieć rok pracy i wydawania zapewniony, to znaczy muszę mieć ok. 7 tys. dolarów. Jedyni ludzie, którzy mają trochę pieniędzy, są w Ameryce. Otóż chciałbym rozpocząć karotę, mając wytypowanych kilkanaście nazwisk. Karotę wyobrażam sobie w formie subskrypcji po 50 i 100 dolarów. Lista tych ludzi byłaby publikowana w „Kulturze”. Ludzie, którzy by dali 1000 dol., mieliby nry specjalne, poświęcone sobie. Myślę, że dla tej karoty poproszę paru poważnych ludzi znajdujących się w Stanach. Otóż czy Ty, będąc przez czas dłuższy tam, mógłbyś mi służyć radą, nazwiskami ewent[ualnie] namówieniem tych, z którymi jesteś blisko i do których masz zaufanie?

Przepraszam Cię, że tak Ci dokuczam, ale do tej pracy przywiązuję wielką wagę i niezależnie od tego, że ją sam robię, wydaje mi się, że ma sens.

Czekając Twojej odpowiedzi, łączę wiele serdeczności

[Jerzy]

AIL, PofG, sygn. 08.01, Frankowski Jan

LIST JANA FRANKOWSKIEGO DO JERZEGO GIEDROYCIA

Na Atlantyku, 10 II 1949 r.

Kochany Jurku,

Wracam „Batorym” do kraju, więc korzystam z okazji, aby napisać z Southampton dalszy list do Ciebie.

Mam nadzieję, że otrzymałeś moje dwa poprzednie listy i wysłałeś niezwłocznie książki, o które prosiłem, gdyż poprzednio wysłana

paczka była niekompletna. W New Yorku uściskałem się z Jantą i rozmawialiśmy na różne tematy.

Słaba między nami łączność powoduje, że pisząc skrótami myślowymi, wprowadzamy różne nieporozumienia – moim zdaniem zupełnie pozorne i nieistotne.

Dlatego nie chcąc powiększać zamieszania, ograniczę się do zasadniczych tematów.

Uznaję całkowicie tezę, że nasze role uzupełniają się do pewnego stopnia. My w kraju musimy działać inaczej ze względu na warunki lokalne. Wiesz dobrze, że nasze zadanie polega na stworzeniu zespołu ludzi, przede wszystkim związanych osobistą przyjaźnią, którzy by działali wspólnie, aczkolwiek dla różnych powodów mogą się aktualnie znajdować w różnych zespołach organizacyjnych. Pamiętasz, Kochany, ile razy „podpatrywaliśmy” w tym względzie tzw. „Naprawiaczy”, którzy to robili pierwszorzędnie. Mogę Cię zapewnić, że nie zmieniłem w tym względzie poglądów – ani też stosunku do Ciebie. Jeśli aktualnie współpracuję z zespołem Piaseckiego, to dlatego jedynie, że w Polsce nie widzę innego partnera, a w ogóle mało ludzi zostało, którzy mają ochotę legalnie działać politycznie. Towarzystwo Piaseckiego wiele mnie kosztuje nerwów, ale tak to już jest w polityce – to nie salon, w którym Ty kompletujesz ludzi.

Jak długo będę mógł jeszcze politycznie pracować – nie wiem – może Twój pesymizm i słuszny. Chcę jednak wytrwać na tym niewdzięcznym posterunku – gdyż mimo wszystko widzę w tym pewien sens. Poziom naszej pracy oceniasz trafnie. Nie mam na to wpływu – jak zdążyłeś zapewne zauważyć sam, nic po wojnie nie piszę, bo po prostu nie widzę w Polsce pisma, w którym mógłbym drukować to, co chciałbym rzeczywiście napisać – natomiast pism wydawanych przez Bolcia Pias[eckiego] nie chcę firmować swoim nazwiskiem. Oczywiście piszę do Ciebie o rzeczach ściśle poufnych i proszę tak jedynie i wyłącznie traktować niniejszy list.

Twoje kłopoty finansowe bardzo mi leżą na sercu i szkoda, że w pierwszym liście pisanym do mnie do USA – nie doniosłeś mi o nich!

Byłbym z niektórymi osobami o nich pomówił – aczkolwiek to sprawa bardzo delikatna i trudna. Proszę Cię bardzo, abyś nie ujawniał w tych sprawach mojego nazwiska – bo ludzie w USA są bardzo nie-dyskretni i mogą mi narobić wiele kłopotów.

Nie widzę bardzo możliwości wydawania tych numerów specjalnych 1000-dolarowych – natomiast uważam, że powinienś zbierać prenumeratę. Trzeba wykorzystać odpowiednich ludzi. Musisz koniecznie otworzyć konta bankowe w dużych skupiskach polskich, a więc New Jork, Detroit, Chicago – przede wszystkim. W Detroit trzeba wykorzystać Bieniewskiego, który ma osobiste kontakty z „Dziennikiem Polskim” w Detroit i powinien wyrobić tam propagandę bezpłatną dla „Kultury”. Bieniewskiego zna dobrze Janta i powinien on Ci to rozkręcić. W Detroit pomoc może okazać również p. Niezychowski, również znajomy Janty. Ja Niezychowskiego poznałem – człowiek obrotny, sam ma węża w kieszeni – ale innych potrafi zjednać i może wiele dobrego zdziałać. Ks. Boruckiego, redaktora tygodnika „Michigan Catholic”, który również ma pewne chody do Biskupa Woźnickiego w Detroit.

Ja znam dobrze Detroit i dlatego głównie o tym mieście piszę.

Poza tym osobno podaję Ci garść adresów, które spróbuj wykorzystać. Jeśli chcesz trafić do Polonii amerykańskiej, to powinien Janta albo kto inny nadsyłać Ci regularne krótkie notatki o życiu Polonii, zawierające dużo pochwał pod adresem konkretnych osób. Musi tam być dużo nazwisk, niekoniecznie wielkich liderów – bo ci forsy nie dadzą – ale właśnie średniaków. Wpłyne to dodatnio na przypływ prenumeratorów i powiększenie nakładu. Jeśli dostaniesz prenumeratorów – to później możesz ogłosić łańcuch składek na fundusz prasowo-propagandowy. To są konkretne projekty, które Ci podsuwam. Przemyśl je – wybierz zdaniem Twoim to, co realne i leży w granicach możliwości.

List ten jest ostatnim, który przesyłam. Być może, że z Kopenhagi wyślę następny. Z Kraju niestety nie możemy korespondować, bo o rzeczach banalnych nie lubimy obydwa pisać – a o sprawach

nas interesujących – jest niemożliwe. Mam znacznie większe zaufanie do zdolności UB niż do gestapo. Dlatego nie ma sensu być lekomyślnym i proszę Cię bardzo, abyś również i Ty wziął to pod uwagę. Książki będę się starał Ci wysyłać na adres p. Hertz. Jeśli będzie ktoś ze znajomych jechał do Paryża – będę się starał list przesłać i proszę wówczas o list do mnie. Jeździ często do Paryża mój przyjaciel – p. Riedel, dyrektor Banku Narodowego – może przez niego od czasu do czasu będzie się coś przysyłać. Ja do Paryża chętnie bym się wybrał – ale nie umiem powiedzieć, o ile to realne. Byłoby dobrze, gdybyś namówił jakichś lewicowych katolików francuskich, aby wystosowali oficjalne zaproszenie do Poselskiego Klubu Katolicko-Społecznego, Warszawa, Hotel Poselski – z odczytem do Paryża. Chciałbym, aby wówczas wyjechał Olo Bocheński, który zna dobrze język francuski, a poza tym po wojnie nie był ani razu za granicą – więc mu się ten wyjazd należy. Musi to być jednak lewica katolicka – pamiętaj o tym, Kochany. Dałoby to nam okazję do nawiązania kontaktów.

Studentowicz usiłował nielegalnie wyjechać do Popiela i złapali go – siedzi razem z żoną. Niestety sprawił on nam zawód. Nie mam pretensji o to absolutnie, że dostał się pod wpływ Brauna – ale co gorsze, w Popielu widział wielkiego męża stanu. Najgorsze jest jednak to, że złamał osobiste więzy przyjaźni i był autorem memoriału do Cyrankiewicza, podpisanego również przez Popiela, Kaczyńskiego i kilku innych, w którym to memoriale denuncjował naszego Oła jako kolaborantów z Niemcami. Wyobraź sobie, do czego doszło, że katolicy piszą donos na drugiego. Miało to miejsce półtora roku temu – ale niestety nasz Kazio (sam mi to bez żenady oświadczył) był autorem i inspiratorem. Bardzo mię to bolało, musiałem zerwać z nim osobiste kontakty, które chciałem utrzymać niezależnie od dzielących nas chwilowo różnic politycznych. Ja osobiście wyżej stawiam zawsze przyjaźń od polityki – a doprawdy przyjaciel nie powinien w żadnym wypadku pisać donosów. – Przykre jest to, co piszę, ale niestety tak było.

Prasa polsko-amerykańska mocno mnie „obrabiała”. Jest to dobre – gorzej, gdyby chwaliła. Jak wyglądałby wówczas mój powrót do kraju?? Dlatego też nie mam o to absolutnie pretensji.

Ściskam Cię, Kochany, Twój

Janek

AIL, PoJG, sygn. 08.01, Frankowski Jan

LIST JERZEGO GIEDROYCIA DO JANA FRANKOWSKIEGO

13 luty [1949]

Kochany Janku

Odpisuję Ci tak późno na list, gdyż przechorowałem się na gripę. Brakujące nry „Kultury” i książki wysłałem Ci, jak chciałeś.

Nie bardzo rozumiem Twego dość nerwowego ataku. Nie jestem entuzjastą emigracji i prowadzę swoją polityczkę na boku całkowicie niezależnie, ale wydaje mi się, że cała emigracja – z wyjątkiem niepołączalnych jednostek – jest przeciwna jakimkolwiek tendencjom czy odruchom powstańczym. Moim zdaniem role emigracji i kraju są bardzo wyraźnie określone i harmonizujące się ze sobą. Waszym zadaniem jest ratowanie tego, co można, z wartości kulturalnych czysto polskich, odbudowa kraju i opóźnianie procesu wchłaniania kraju przez Rosję. Zadaniem emigracji jest walka o integralną niepodległość i pilnowanie, by w razie zmiany koniunktury czy wojny nie powtórzyła się historia, tylko w odwrotnym kierunku. Zadaniem emigracji jest również odcinek federacyjny oraz praca ideowo-naukowa czy kulturalna na tych odcinkach, które w kraju są utrudnione. Trzeba sobie również powiedzieć, że poza może polityką międzynarodową – kierowanie czy sugerowanie kraju z zagranicy jest niemożliwe i szkodliwe.

Obawiam się jednak, że Twoje twierdzenie, że nie potrzebujecie pouczeń, bo komunizm czy Sowiety znacie lepiej, jest co najmniej nieścisłe. Wiesz dobrze, że i nadal jakiekolwiek zacierzawienie jest

bardzo mi obce. Otóż jedna rzecz jest dla mnie zupełnie pewna, że wy o Rosji i Sowietach, ich polityce czy metodach postępowania nie macie pojęcia i przejściowe posunięcia taktyczne stale bierzecie za dobrą monetę. Jeszcze latem ub. roku paru bardzo prononsowanych pepeerowców z pasją mnie przekonywało, że o kolektywizacji nie ma mowy w Polsce. Zagadnienia rosyjskie trochę znam, bo nad nimi siedzę przez całe życie. U was nie widzę najmniejszego zainteresowania Rosją, prawie nikt nie zna języka, a co dopiero mówić o czytaniu literatury czy prasy lub analizowaniu polityki w poszczególnych republikach związkowych.

Rozumiem dobrze, że można było ze względów taktycznych, a nawet ze względu na poglądy społeczne pójść do pepeeru i starać się walczyć o polski, a nie leninowsko-stalinowski styl komunizmu. Jeżeli wybraliście inną drogę, to znaczy opozycji jego królewskiej mości, która na dłuższą metę jest nie do utrzymania, to wydaje mi się, że swego zadania nie spełniacie. Sąd jest niewątpliwie pochopny, bo mogę waszą robotę obserwować jedynie z waszej prasy. Pomijając, że ta prasa jest jedną z gorszych, a to jest dużo powiedziane, to nie widzę w niej próby szukania nowych dróg czy rozwiązań. Gdybym chciał być złośliwy, to powiedziałbym, że na czoło zagadnień wysuwa się tylko świadome macierzyństwo i skrobanki w interpretacji Majdańskiego i Jakimiaka, jaki[ch]ś zboczonych erotomanów. Popełniacie błąd Mikołajczyka tkwiącego ciągle w starym świecie i obciążając się elementami tzw. reakcyjnymi. Ciągłe jakoś nie widać postępowej myśli katolickiej.

Szwankuje również łączność z krajem. Rozumiem, że w tym reżimie to jest bardzo trudne, ale ostatecznie ciągle się kręcicie po świecie i nie bardzo wierzę, że nikt z was nie mógł przyjechać do Paryża dla nawiązania łączności ze mną. Byłoby masę rzeczy do omówienia i ustalenia. Trudno o tym mówić z Dominikiem. Raz już wpadłem, jak go Olo przysłał do Rzymu.

Piszę bardzo chaotycznie i fragmentarycznie, ale mam jeszcze gorączkę i młynek zająć. Liczę, że jeszcze parę listów Ci prześlę przed Twoim wyjazdem.

Napisz mi, co słyhać ze Studentowiczem. Bardzo mnie jego los niepokoi.

Ściskam serdecznie

Jerzy

AIL, PoJG, sygn. 08.01, Frankowski Jan

LIST JÓZEFA CZAPSKIEGO DO WINCENTEGO BĄKIEWICZA

Maisons-Laffitte, 21 marca 1949 r.

Drogi Wicku,

Już od szeregu dni chcę do Ciebie pisać, nie tylko w sprawach odcinkowych, ale w związku z ogólną sytuacją, która doprowadza do egzasperacji już nie tylko „ojców ojczyzny”, ale najbardziej przeciętnych Polaków na emigracji. W przyszłym numerze „Kultury” wyjdzie mój artykuł, który na pewno wywoła dość ostrą reakcję, bo piszę – nie owijając w bawełnę – o naszej na emigracji n a r a s t a j ą c e j bezsilności i o tym, jak to się odbija w terenie, na rozsypanych po całym świecie Polakach, którzy do niedawna jeszcze czegoś od nas czekali. Dotychczas się pocieszałem, że odpowiedzialność za to wszystko spada w każdym razie nie na mnie, bo jestem tutaj odpowiedzialny za pewien tylko i bardzo określony odcinek, ale przy zupełnym kurczeniu się wszelkich funduszków, przy stanowisku, które sobie wytworzyła „Kultura”, a która – pomimo że jej nie redaguję – jest tak samo wyrazem mojego spojrzenia na sprawy dzisiejsze – nie mogę się ograniczać wyłącznie do tego, czy jeszcze otrzymam, czy nie otrzymam trochę groszy na dalsze wydawanie „Pologne” czy na dalszą pensję dla sekretarki. Nie potrzebuję Ci mówić, że w związku z dzisiejszą sytuacją w Londynie, takimi czy innymi przetargami rządowymi, takimi czy innymi trudnościami finansowymi w związku z p. K[azimierzem] – wszystko, co wiem, wiem z boku. Bezpośrednio od moich przełożonych nie mam śladu informacji i właściwie śladu instrukcji.

Więc cała moja robota tutaj polega widocznie na wielkim zaufaniu do mnie, które nakłada na mnie bardzo ciężką odpowiedzialność. Dlatego chciałbym pojechać w kwietniu do Londynu, rozmówić się z p. Władysławem i z p. Kazimierzem, jeśli tu przedtem nie przyjedzie. Jeżeli zaś ustawiam sobie ten termin, to na podstawie wiadomości, że Ty będziesz tutaj, w Paryżu, i że ogromnie bym chciał przedtem z Tobą również te sprawy omówić, bo właściwie Londyn mnie obchodzi tylko dla rozmowy z Wami trzema.

Chciałbym sprawy finansowe omówić dopiero na końcu, bo jeżeli nie dojdziemy do jakiegoś konkretnego planu z e s p o ł o w e g o, nie widzę możliwości, bym mógł dalej, tutaj w Paryżu, w tych warunkach funkcjonować. Najprościej dlatego, że już ostatecznie przestałem wierzyć, bym miał nad sobą jakiś zgrany i planowy ośrodek dyspozycyjny. Chcę Ci napisać, jak mi się teraz sprawa przedstawia. To, co piszę, jest rezultatem przedyskutowania tej kwestii z Giedroyciem i jest także jego opinią. Tak że zechciej treść tego listu uważać za nasze wspólne stanowisko.

Jeżeli chodzi o Londyn, odcinek rządowy zdaje mi się on zupełnie beznadziejny. Utworzenie jakiegoś rządu, który by chociaż mógł reprezentować emigrację polską bez mikołajczykowców, jest już nie do pomyslenia. Endeków dzisiaj z socjalistami, z prezydentem i z p. Władysławem nie sprzęgniesz. Tzw. „rząd osobistości”, o którym tu do mnie dochodziły wiadomości błędne, że już jakoby sformowany, może tylko to mieć jako skutek – stworzenie komitetu narodowego, połączenie się endeków z mikołajczykowcami, co dałoby wtedy nowy ośrodek dyspozycyjny na emigracji i nowe walki na noże. Rząd endeków również jest nie do pomyslenia, bo przeciwko sobie ustawiłby wszystkich innych nie-endeków. Kwadratura koła. Co gorzej, że w tym wszystkim się stale szepce nazwisko p. Władysława, który również (nie chodzi o to, czy to jest, czy nie jest ściśle) w opinii publicznej ponosi odpowiedzialność za wybranie Zaleskiego na prezydenta.

Odcinek organizacyjno-społeczny jest również w proszku. W Niemczech działają dwie organizacje: Zjednoczenie z Rusinkiem

i jeszcze drugie Zjednoczenie Czarkowskiego z endekami. Kombatancki mają także kolosalne trudności. Tu jest to teren walk między NiD-em a endecją, a o ile się orientuję, w Londynie idzie inna walka przeciwko generałom. Koła Pułkowe mogą być bardzo wzruszające, mogą napisać jak najbardziej wiernopoddające deklaracje, politycznie i p r z y s z ł o ś c i o w o znaczą bardzo niewiele, właściwie nic. Więc na czym budować? Zdaje mi się, że trzeba by przejść na zupełnie inną strukturę organizacyjną roboty. Po pierwsze, trzeba się zgodzić, że funkcja stronnictw jest fikcją. Na emigracji tak wypadkowej jak nasza i tak rozsypanej jak nasza, po kuli ziemskiej, która się ciągle jeszcze dalej rozłazi, jest prawie niemożliwe mówić o opinii publicznej. Przy tym stronnictwa – nie można tego zapominać – mają za sobą już 10 lat emigracji, to znaczy są oderwane od Kraju całkowicie. Ostatni przybysze z wódzów partyjnych: Berezowski i Arciszewski, przybyli też już pięć lat temu, i to jeszcze z terenu okupowanego, gdzie łączyło wszystkich podziemie. Od tego czasu zmieniło się tam tak dużo, że nawet ci ostatni nie reprezentują Polski. Co wiemy o stronnictwach w Polsce od czasu fałszywych PPS, fałszywych PSL, w przeciągu tych lat, gdzie przestała istnieć wolna gra polityczna, gdzie nie ma prasy – operowanie pojęciem partii staje się coraz bardziej fikcyjne i wskutek tego cała robota na emigracji, partyjna, jest pewnym odcinaniem kuponów za przeszłość.

Wszystkie informacje z kraju są bez sprawdzianu, co możemy wiedzieć o pozycji Mikołajczyka na przykład w Polsce, kiedy każdy informator mówi coś innego, czerpiąc wiadomości z bardzo wąskich, bliskich mu odcinków z kraju.

Dlatego zdaje mi się, że przyszlą robotę trzeba by budować inaczej.

Legalizm musi być broniący. Nie może tego atutu z ręki wypuścić, ale legalizm na emigracji to może być tylko prezydent i Inspektor Generalny Sił Zbrojnych. Dlaczego nie tylko prezydent? Bo Inspektor Generalny czy Wódz Naczelny to tkwi dość silnie w polskich tradycjach, bo p. Władysław jako taki ma nazwisko, które zwalczane

czy bronione, istnieje jeszcze w Polsce, chyba jedyne obok Mikołajczyka z ludzi na emigracji. Przy tym to nazwisko ma rezonans na zewnątrz. Sukces jego książki bardzo wzmocnił jego ciężar gatunkowy w szerszej opinii zagranicznej. Dlatego zdaje mi się, że aktywna robota musi być grupowana koło niego. Że ta robota musi być robiona bez klucza partyjnego i musi być pół wojskowa, pół konspiracyjna. P. Władysław musiałby się odciąć od rządu, nawet jeśli w rządzie będzie gen. Odzieżyński, jak nas tu informują, i od stronnictw politycznych. Chodzi naturalnie nie o jakieś deklaracje, nie o formalne odcięcie się, ale f a k t y c z n e. Musiałby na to p. Władysław wyjechać przede wszystkim z Londynu, chociażby do Szkocji. P. Władysław powinien wyjechać z Londynu chociażby dlatego, żeby się nie zanadto wiązać wyłącznie z Anglikami. Przygotowywanie jego wyjazdu do Ameryki wydaje się rzeczą najważniejszą. Naturalnie, że może przemawiać tam przed 100.000 Amerykanów polskiego pochodzenia i być przyjmowany przez Rozmarka – to jest nawet pożyteczne, ale to jest czysto zewnętrzne, a nie istota rzeczy. Istota rzeczy to jego zaproszenie poważne, ze strony Amerykanów, to stworzenie sztabu przygotowawczego dla roboty wojskowej przy ewentualnej wojnie, dla krajów za żelazną kurtyną, a nawet wyjazd bez zaproszenia, by tam na miejscu koło tego pochodzić. Nasza nieobecność w Ameryce – bo trudno nazywać obecnością tych paru nieśmiałych Polaków tam siedzących – jest bardzo niepokojąca, przy chociażby doskonale zorganizowanej reprezentacji rosyjskiej, od Kiereńskiego do Dallina.

P. Władysław mógłby wówczas rozpisać jakąś pożyczkę narodową, np. pod sloganem „Skarb i Wojsko”. Naturalnie tę rzecz trzeba by bardzo poważnie przygotować i jakoś wyjaśnić, na co by te pieniądze szły. Chodziłoby o wąski sztab, o szkolenie specjalistów, inżynierów, techników, lotników. Przecież jeżeli wojna nie będzie za kwadrans, to się skończy na tym, że do przyszłej wojny nie będziemy mieli ani jednego Polaka, który by umiał prowadzić samolot nieprzedpoto[po]wy, który by wiedział, co to jest radar. Technicy niemieccy są wszędzie, od Omska, Argentyny do New Yorku – i wszyscy są ze sobą powiązani.

Jedyni specjaliści, których my będziemy wtedy mieli, to będą ludzie, co na własną rękę się wyłamali i do czegoś indywidualnie doszli. Jeżeli będą nas w ogóle chcieli wówczas znać. Muszyński, którego z najwyższym trudem udało się w 2 Korpusie wyciągnąć z najbardziej podrzędnej roli, jakiegoś, zdaje się, plutonowego piechoty, dziś buduje lotniska i główną linię kolejową w Patagonii. Ci lotnicy, co wyjechali do Pakistanu, to znowu jest impreza prawie prywatna Samopomocy Związku Lotników. Nie widzę człowieka, który by mógł centralizować wysiłki na tym odcinku i który by miał nazwisko – innego jak p. Władysław. Gdyby p. Władysław pojechał do Ameryki – musiałby, po powrocie, nie wracać do Londynu. Chce czy nie chce, jest on odpowiedzialny za Bora i za Pragiera, a trzeba, by się zupełnie oddzielił od wzajemnych walk, tak że gdyby tego trzeba było na odcinku praktycznym, by mógł rozmawiać nawet z mikołajczykowcami i z Mikołajczykiem.

Jak widzę ten ośrodek dyspozycyjny p. Władysława:

1. Odcinek wojskowy: – szkolenie specjalistów, teoria współczesnej wojny, ewentualna w przyszłości partyzantka.

2. Robota na kraj: – nareszcie centralizowana. Trzeba pamiętać, że jesteśmy w przededniu nowej emigracji. Ta, która tutaj trafi, powinna łatwiej się dogadać z niepolitycznym p. Władysławem niż z jakąkolwiek partią od endeków do socjalistów włącznie, dlatego, bo tych ludzi będzie doktrynalnie milion rzeczy dzielić. P. Władysław musi się ustawić na tyle nadrzędnie, jak to zrobił w swoim czasie w Rosji, gdzie równie dobrze rozmawiał z Alterem i Ehrlichem, jak z endekami czy ludowcami. Musiałby postawić sprawę jasno, że życie polityczne w kraju, w przyszłości, będzie zależało od tego, jak się wypowie kraj, uwolniony od wpływów obcych, i na tej podstawie p. Władysław musi być przygotowany do rozmów nawet z Gomułką, jeżeli ten ucieknie.

3. Komórka ba[da]ń sowieckich – (myślę, że tu wcale nie chodzi o jakieś komisje, na które nie ma pieniędzy, ale o komórkę ciastniuką: jedna–dwie osoby).

4. Polityka zagraniczna – w której główne miejsce zajmowałby odcinek kontaktów politycznych z narodami zza żelaznej kurtyny. Nie chodzi tu o żadne Międzymorze, niech ono sobie istnieje albo się rozkłada, chodzi o agencję p. Władysława na tych odcinkach, i to taką agencję, z którą by emigracje tamtych krajów gadały i z którymi jakąś konkretną robotę można by robić. Poza tym trzeba by mieć wzięciutkie agencje dyplomatyczne chociażby w Ameryce i we Francji. Agencja francuska musiałaby może objąć również próby zasięgu na Niemcy.

5. Komórka koncepcyjna i kulturalna. – Tu mam na myśli „Kulturę”, która musi mieć bezwzględnie charakter niezastrachany, nieogłądający się na różne wewnętrzne cenzury, a rzutuający w przyszłość. Zresztą przede wszystkim „Kultura” ma możliwość dojścia do narodów zza żelaznej kurtyny.

6. Propaganda. – „Orzeł [Biały]” jako tygodnik oficjalny i radiostacja Madryt (może nawet biuro badań sowieckich można szepnąć z tą radiostacją).

7. Na odcinku francuskim trzeba by próbować zmontowania Francuzów polskiego pochodzenia. Byłby krzyk na emigracji (wynaradawiamy!). Ale trzeba się zgodzić z faktem, że wynaradawianie idzie poza nami i bez nas i dzięki temu w najgorszym dla nas kierunku. Gdybyśmy ten prąd ujęli w ręce – moglibyśmy stworzyć Francuzów polskiego pochodzenia, którzy by mieli swoich posłów w Parlamencie, z czasem swój wpływ na życie wewnętrzne we Francji, moglibyśmy może uzyskać fundusze na pismo codzienne, dwujęzyczne, francusko-polskie. To pismo zastąpiłoby dotychczasową wydawaną przeze mnie „Pologne”, która wtedy mogłaby przestać wychodzić.

To wszystko, co Ci napisałem, wymagałoby politycznego sztabu. Nie skrywam Ci, że od takiego czy innego przyjęcia tych wniosków uzależniamy naszą dalszą współpracę w dotychczasowych ramach. Jeżeli jednak żadna decyzja na tym odcinku nie nastąpi w Londynie – poza ciurkaniem reszty groszy temu, który jest bliżej, czy temu, który ładniej poprosi – to chcielibyśmy zupełnie od tej roboty odejść.

Będziemy wówczas próbowali robić coś sami, „na wariata”. Pieniądze, które otrzymaliśmy, kończą się za miesiąc–dwa. Albo „Kultura” wytrząśnie gdzieś jakieś możliwości istnienia, albo przejdziemy na powielacz. Może pójdziemy do fabryk – ale to jest ostateczność.

Nie wiem, czy będąc wysokim sztabowcem, masz kontakt z dołami. Zdaje mi się, że jeżeli chcemy, by ten ośrodek miał jakiś autorytet – nie można naprawdę czekać. Trzeba zaraz tu pewne decyzje przyjąć. Błagam Ciebie, przyjedź tutaj z p. Kazimierzem jak najszybciej. Płk G[ano], któremu o tych sprawach mówiliśmy ogólnikowo, ale szczerze, miał Ci te sprawy również przedstawić. Może moglibyśmy te sprawy tutaj, w piątkę, przegadać i może bym wtedy mógł pojechać do Londynu i ten plan omówić, na wspólnie z Wami, z p. Władysławem, jeżeli i on nie mógłby tutaj przyjechać, co byłoby najlepsze. Rozmowy byłyby bowiem bez „ciśnienia” londyńskiego.

Ty wiesz, że rzadko używam z Tobą jakichś patetycznych słów, ale to, co Ci teraz piszę – wierz mi – nie jest sprawą nastroju, ale decyzją, że albo uda nam się wyciągnąć jakieś wnioski z powolnego, ale ostatecznego rozkładu Londynu, albo postaramy się być od niego jak najdalej.

Czekając na Twoją odpowiedź, bardzo serdecznie dłoń Twoją ściskam.

[Józio]

Przypisy

I

¹ Muzeum Narodowe – Kraków (dalej: MNK), Archiwum Józefa i Marii Czapskich (dalej: AJiMCz), sygn. 2228, Seweryn K. Ehrlich, *Mikroskopowy skrawek*, 1947.

² Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu – Maisons-Laffitte (dalej: AIL), Papiery Zofii Hertz (dalej: PoZiH), sygn. 02, List J. Giedroycia do Z. Hertz, Paryż, 8 XI 1945.

³ B. Toruńczyk, *Rozmowy w Maisons-Laffitte, 1981*, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2006, s. 86.

⁴ O. Górka, *Psychoza „Wielkiej Emigracji”*, „Nowa Polska” 1945, nr 6, s. 392, 395.

⁵ AIL, Papiery Jerzego Giedroycia (dalej: PoJG), sygn. 08.01, Raczyński Roger, List R. Raczyńskiego do J. Giedroycia, Kair, 29 VIII 1944.

⁶ J. Giedroyc, *Ze wspomnień nienapisanych. (Dwa spotkania)*, „Zeszyty Historyczne” 1984, z. 70, s. 235.

⁷ AIL, PoJG, sygn. 08.01, Frankowski Jan, List J. Giedroycia do J. Frankowskiego, Paryż, 13 II 1948.

⁸ Zob. T. Terlecki, *Emigracja walki*, „Wiadomości” 1946, nr 2.

⁹ AIL, Drobne materiały powierzone, sygn. 070, T. Katelbach, *Bezdroża*, s. 65 (zapis z 18 X 1945).

II

¹ G. Herling-Grudziński, *Miasto zmęczenia. Z notatnika outsidera*, „Orzeł Biały” 1946, nr 1.

² AIL, Papiery Józefa Czapskiego (dalej: PoJCz), sygn. 19/01, List J. Czapskiego do J. Giedroycia, Paryż, 13 V 1945.

³ G. Herling-Grudziński, op. cit., s. 74.

⁴ [J. Czapski] M. Sienny, *Groby czy skarby*, „Kultura” 1948, nr 5, s. 74.

⁵ AIL, PoJG, sygn. 03.02.09, Agenda J. Giedroycia z 1945 roku.

⁶ AIL, PoZiH, sygn. 02, List J. Giedroycia do Z. Hertz, Paryż, 15 XI 1945.

⁷ AIL, PoJG, sygn. 08.04, List J. Niezbrzyckiego do N.N., Waszyngton, 4 IV 1962.

⁸ AIL, PoJG, sygn. 08.04, vol. 1, J. Niezbrzycki do J. Czapskiego i J. Giedroycia, 14 I 1946.

⁹ J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, opracował i posłowiem opatrzył K. Pomian, Warszawa 2006, s. 116.

¹⁰ MNK, AJiMCz, sygn. 226, List J. Czapskiego do W. Bąkiewicza, Paryż, 14 XII 1945.

III

¹ AIL, PoJG, sygn. 03.02.12, Agenda J. Giedroycia z 1945 roku.

² AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Czapskiego do J. Giedroycia, Paryż, 31 XII 1945.

³ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Giedroycia do J. Czapskiego, Rzym (?) I 1946.

⁴ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Czapskiego do J. Giedroycia, Paryż, 19 I 1946.

⁵ AIL, PoJG, sygn. 08.04, vol. 1, List J. Niezbrzyckiego do J. Giedroycia, XI/XII 1945.

⁶ AIL, PoZiH, sygn. 02, List J. Giedroycia do Z. Hertz, Paryż, 6 II 1946.

⁷ S. Kisielewski, *Sprzysiężenie*, Wydawnictwo „Panteon”, Warszawa 1947, s. 135.

⁸ PoJCz, sygn. 19/01, List J. Giedroycia do J. Czapskiego, 19 II 1945.

⁹ S. Kisielewski, op. cit., s. 144.

¹⁰ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, J. Giedroyc do J. Czapskiego, Rzym, 12 XII 1946.

¹¹ J. Giedroyc, *Autobiografia...*, s. 67.

¹² J. Bielatowicz, *Laur Kapitolu i wianek ruty. Na polach bitew Drugiego Korpusu*, Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Londyn [1954], s. 126–127.

¹³ AIL, PoJG, sygn. 03.02.12, Agenda J. Giedroycia z 1945 roku.

¹⁴ K. Pruszyński, *Wobec Rosji*, „Wiadomości Polskie” 1942, nr 40.

¹⁵ K. Pruszyński, *Irański odmarsz*, „Odrodzenie” 1945, nr 52.

¹⁶ AIL, PoJG, sygn. 08.01, Pruszyński Mieczysław, List M. Pruszyńskiego do W. A. Zbyszewskiego, 12 IX 1945; Wyjątek z listu A. Bocheńskiego do M. Pruszyńskiego, (?) VIII 1945.

¹⁷ Cyt. za: A. Dudek, G. Pytel, *Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej*, „Aneks”, Londyn 1990, s. 160.

¹⁸ AIL, PoJG, sygn. 08.01, Bocheński Aleksander, List J. Giedroycia do A. Bocheńskiego, Paryż, 21 XI 1945.

¹⁹ AIL, PoZiH, sygn. 02, List J. Giedroycia do Z. Hertz, 17 II 1945.

²⁰ AIL, PoZiH, sygn. 02, List J. Giedroycia do Z. Hertz, Paryż, 13 II 1946.

IV

¹ AIL, PoJG, sygn. 08.04, vol. I, List J. Niezbrzyckiego do J. Czapskiego, 31 XII 1945.

² AIL, PoJG, sygn. 08.01, Ciołkosz Adam, List J. Giedroycia do A. Ciołkosza, Paryż, 17 II 1946.

³ AIL, Instytut Literacki w Rzymie (dalej: ILR), sygn. 1–5, J. Giedroyc, *Notatka*, Paryż, 14 II 1946.

⁴ AIL, ILR, sygn. 1–5, Rozkaz gen. W. Andersa, II II 1945.

⁵ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Giedroycia do J. Czapskiego, Rzym, (?) I 1946.

⁶ AIL, KOR RED Instytut Literacki Rzym, t. 1, Drymmer Wiktor Tomir, List J. Giedroycia do W. T. Drymmera, Rzym, 8 IV 1946.

⁷ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Czapskiego do J. Giedroycia, Paryż, 27 III 1946.

⁸ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Czapskiego do J. Giedroycia, Paryż, 8 IV 1946.

⁹ J. Giedroyc, *Autobiografia...*, s. 127.

¹⁰ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Giedroycia do J. Czapskiego, Rzym, 31 III 1946.

¹¹ AIL, PoZiH, sygn. 02, List J. Giedroycia do Z. Hertz, Paryż, 5 XI 1945.

¹² AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Giedroycia do J. Czapskiego, Rzym, 16 IV 1946.

¹³ C.K. Norwid, *Pisma wybrane*, t. 5: *Listy*, wybrał i objaśnił J. W. Gomulicki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1983, s. 596, List C.K. Norwida do A. Zamoyskiego, Paryż, (?) I 1867.

¹⁴ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Giedroycia do J. Czapskiego, Rzym, 27 III 1946.

¹⁵ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Czapskiego do J. Giedroycia, Paryż, II IV 1946.

¹⁶ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Giedroycia do J. Czapskiego, Rzym, 4 I 1947.

¹⁷ AIL, PoJG, sygn. 08.04, vol. 1, List J. Niezbrzyckiego do J. Giedroycia, Vichy, 30 IX 1946.

¹⁸ AIL, KOR RED Żaba Norbert, List J. Giedroycia do N. Żaby, Rzym, 29 VII 1946.

¹ J. Bielatowicz, *Przedmowa*, [w:] H. Sienkiewicz, *Legiony*, Instytut Literacki, Rzym 1946, s. 26.

² G. Herling-Grudziński, *Emigracja polityczna*, „Ochotniczka” 1946, nr 2.

³ Cyt. za: I. Chruślińska, *Była raz „Kultura”... Rozmowy z Zofią Hertz*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2003, s. 139.

⁴ G. Herling-Grudziński, *„Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego” na nowej emigracji*, [w:] A. Mickiewicz, *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*, Instytut Literacki, Rzym 1946, s. 13, 14, 15, 20.

⁵ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, J. Czapski do J. Giedroycia, Paryż, I VII 1946.

⁶ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Czapskiego do J. Giedroycia, Paryż, 13 V 1945.

⁷ AIL, PoJG, sygn. 08.04, vol. 1, List J. Niezbrzyckiego do J. Czapskiego, 31 XII 1945.

⁸ J. Czapski, L. Hering, *Listy 1939–1982*, t. 1: 4 września 1939 – 16 stycznia 1959, opracowanie L. Murawska-Péju, D. Szczerba, J. Juryś, P. Kłoczowski, posłowie A. Zagajewski, Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2016, s. 36, List J. Czapskiego do L. Heringa, Paryż, 21 II 1946.

⁹ A. Rudnicki, *Major Hubert z Armii Andersa*, „Kuźnica” 1945, nr 10.

¹⁰ K. Pruszyński, *Katyń i Gibraltar*, „Odrodzenie” 1945, nr 53.

¹¹ M. Pruszyński, *Ekonomiczne przyczyny polskiej emigracji*, „Wiadomości Polskie” (Rzym) 1946, nr 3.

¹² AIL, PoJG, sygn. 08.01, Bocheński Aleksander, List A. Bocheńskiego do J. Giedroycia, 18 IV 1946.

¹³ AIL, PoJG, sygn. 08.01, Kisielewski Stefan, List J. Giedroycia do S. Kisielewskiego, Rzym, 24 IX 1946.

¹⁴ AIL, PoJG, sygn. 08.01, Bocheński Aleksander, List J. Giedroycia do A. Bocheńskiego, Rzym, 24 IX 1946.

¹⁵ R. Wraga, *Rola i zadania emigracji polskiej*, Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu, Rzym 1945, s. 19.

¹⁶ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Giedroycia do J. Czapskiego, 10 III 1945.

¹⁷ A. S. Kowalczyk, *Wena do polityki. O Giedroyciu i Mieroszewskim*, t. I, Towarzystwo „Więź”, Warszawa 2015, s. 30.

¹⁸ AIL, KOR RED Zbyszewski Wacław A., List J. Giedroycia do W.A. Zbyszewskiego, Rzym, 29 XI 1946.

¹⁹ AIL, PoJCz, sygn. 19/01, List J. Czapskiego do J. Giedroycia, Paryż, 9 IX 1946.

²⁰ AIL, KOR RED ILR, t. 2, List J. Giedroycia do L. Łubieńskiego, Rzym, 18 XII 1946.

²¹ AIL, PoJG, sygn. 08.01, Ponadto, List J. Giedroycia do S. Zahorskiej, Rzym, 7 II 1947.

LISTY

- ¹ Zofii Hertz.
- ² Właśc. Adolf Bocheński, *Kirow a Pieracki*, „Bunt Młodych” 1935, nr 2.
- ³ Jerzego Niezbrzyckiego.
- ⁴ Władysławem Andersem.
- ⁵ Mieczysław Pruszyński.
- ⁶ Kazimierza Studentowicza.
- ⁷ Ksawerym Pruszyńskim.
- ⁸ Wacław Alfred i Karol Zbyszewscy.
- ⁹ Mają Prądzynską.
- ¹⁰ Wojciechowi Wasiutyńskiemu.
- ¹¹ Ukraińskiej Powstańczej Armii.
- ¹² Adolfa Bocheńskiego.
- ¹³ Zygmunta Giedroycia.

- ¹⁴ Jana Frankowskiego.
- ¹⁵ Konstanty Łubieński.
- ¹⁶ Henryka Łubieńskiego.
- ¹⁷ Kazimierzu Studentowiczu.
- ¹⁸ Jerzy Stempowski.
- ¹⁹ Krystyny Marek.
- ²⁰ Zygmunt Giedroyć.
- ²¹ Ksawerym i Mieczysławem Pruszyńskimi.
- ²² Stanisławem Kotem.
- ²³ Josif W. Stalin.
- ²⁴ Rogera Raczyńskiego.
- ²⁵ Stefana Kisielewskiego.
- ²⁶ Bolesławem Piaseckim.
- ²⁷ Maria i Piotr Borkowscy.

Bibliografia

ŹRÓDŁA ARCHIWALNE

Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu – Maisons-Laffitte

Instytut Literacki w Rzymie 1946–1947

Drobne materiały powierzone

Korespondencja Redakcji

Instytut Literacki w Rzymie

Herling-Grudziński Gustaw

Niezbrycki Jerzy

Stempowski Jerzy

Zbyszewski Wacław Alfred

Żaba Norbert

Papiery Jerzego Giedroycia

Papiery Józefa Czapskiego

Papiery Zofii Hertz

Wycinki prasowe

Instytut Polski i Muzeum gen. W. Sikorskiego – Londyn

Kolekcja płk. Wincentego Bąkiewicza

Muzeum Narodowe – Kraków

Archiwum Józefa i Marii Czapskich

ŹRÓDŁA DRUKOWANE

Iza Chruślińska, *Była raz „Kultura”... Rozmowy z Zofią Hertz*,
Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2003.

Józef Czapski, Ludwik Hering, *Listy 1939–1982*, t. 1: 4 września 1939 – 16 stycznia 1959, opracowanie Ludmiła Murawska-Péju, Dorota Szczerba, Julia Juryś, Piotr Kłoczowski, posłowie Adam Zagajewski, Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2016.

Maria Dąbrowska, Jerzy Stempowski, *Listy*, t. 1: 1926–1953, opracował, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk, Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, Towarzystwo „Więź”, Warszawa 2010.

Dziennik czynności Prezydenta RP Władysława Raczkiewicza 1939–1947, t. 2: 1943–1947, opracował Jacek Piotrowski, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2004.

Jerzy Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, opracował i posłowiem opatrzył Krzysztof Pomian, Warszawa 1996.

Jerzy Giedroyc, *Ze wspomnień nienapisanych. (Dwa spotkania)*, „Zeszyty Historyczne” 1984, z. 70.

Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, *Listy 1946–1961*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Jan Zieliński, „Czytelnik”, Warszawa 1997.

Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946–1969*, cz. 1, wybrał, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk, „Czytelnik”, Warszawa 1998.

Mieczysław Pruszyński, *Migawki wspomnień*, Rosner & Wspólnicy, Warszawa 2002.

Mirosław A. Supruniuk, *Uporządkować wspomnienia. Nieautoryzowane rozmowy z Jerzym Giedroyciem*, Towarzystwo Przyjaciół Archiwum Emigracji, Toruń 2011.

Barbara Toruńczyk, *Rozmowy w Maisons-Laffitte, 1981*, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2006.

PUBLICYSTYKA

Jan Bielatowicz, *Laur Kapitolu i wianek ruty. Na polach bitew Drugiego Korpusu*, Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Londyn [1954].

Jan Bielatowicz, *Passeggiata. Szkice włoskie*, Instytut Literacki, Rzym 1947.

Jan Bielatowicz, *Przedmowa*, [w:] Henryk Sienkiewicz, *Legiony*, Instytut Literacki, Rzym 1946.

Adolf Bocheński, *Artykuły zebrane 1941–1944*, Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu, Rzym 1944.

Aleksander Bocheński, *Dzieje głupoty w Polsce. Pamflety dziejopisarskie*, Wydawnictwo „Panteon”, Warszawa 1947.

Gustaw Herling-Grudziński, *„Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego” na nowej emigracji*, [w:] Adam Mickiewicz, *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*, Instytut Literacki, Rzym 1946.

Ksawery Pruszyński, *Margrabia Wielopolski*, „Nowa Polska”, Londyn 1944.

Ryszard Wraga, *O rewolucji*, Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu, Rzym 1945.

Ryszard Wraga, *Rola i zadania emigracji polskiej*, Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu, Rzym 1945.

Ryszard Wraga, *Rozmyślenia Polaka o sprawie powrotu do Kraju*, Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu, Rzym 1945.

BELETRYSTYKA

Stefan Kisielewski, *Sprzysiężenie*, Wydawnictwo „Panteon”, Warszawa 1947.

Melchior Wańkowicz, *Drogą do Urzędowa*, Roy, New York 1955.

PRASA (WYBRANE NUMERY)

„Kuźnica” 1945

„Nowa Polska” 1945

„Odrodzenie” 1945

- „Orzeł Biały” 1945–1947
 „Wiadomości” 1945–1947
 „Wiadomości Polskie” (Londyn) 1942
 „Wiadomości Polskie” (Rzym) 1945–1947

OPRACOWANIA

Tomasz Czarnota, *Jerzy Giedroyc jako funkcjonariusz państwa – wzorowy urzędnik czy polityczny ryzykant?*, „Dzieje Najnowsze” 2012, z. 3.

Antoni Dudek, Grzegorz Pytel, *Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej*, „Aneks”, Londyn 1990.

Magdalena Grochowska, *Jerzy Giedroyc. Do Polski ze snu*, Wielka Litera, Warszawa 2014.

Rafał Habielski, *Dokąd nam iść wypada? Jerzy Giedroyc. Od „Buntu Młodych” do „Kultury”*, Towarzystwo „Więź”, Warszawa 2006.

Jerzy Giedroyc: kultura, polityka, wiek XX. Debaty i rozprawy, redakcja Andrzej Mencwel, Andrzej Stanisław Kowalczyk, Leszek Szaruga, Zuzanna Grębecka, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2009.

Andrzej Stanisław Kowalczyk, *Niespieszny przechodzień i paradoksy. Rzecz o Jerzym Stempowskim*, Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 1997.

Andrzej Stanisław Kowalczyk, *Od Bukaresztu do Laffitów. Jerzego Giedroycia rzeczpospolita epistolarna*, Fundacja Pogranicze, Sejny 2006.

Andrzej Stanisław Kowalczyk, *Wena do polityki. O Giedroyciu i Mieroszewskim*, t. 1–2, Towarzystwo „Więź”, Warszawa 2014.

Marcin Król, *Style politycznego myślenia. Wokół „Buntu Młodych” i „Polityki”*, Libella, Paryż 1979.

Zdzisław Kudelski, *Gustaw Herling-Grudziński i „Kultura” paryska. Fakty – historia – świadectwa*, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego im. Jana Pawła II, Lublin 2013.

Andrzej Mencwel, *Studium sukcesu. Przykład „Kultury”* (1946–1956), [w:] idem, *Przedwiośnie czy potop. Studium postaw polskich w XX wieku*, „Czytelnik”, Warszawa 1997.

Krzysztof Pomian, *W kręgu Giedroycia*, „Czytelnik”, Warszawa 2000.

Małgorzata Ptańska-Wójcik, *Jerzego Giedroycia „Hotel Lambert”*, „Zeszyty Historyczne” 2002, z. 141.

Małgorzata Ptańska-Wójcik, *Rzymskie lata Instytutu Literackiego*, „Zeszyty Historyczne” 2001, z. 137.

Małgorzata Ptańska-Wójcik, *Z dziejów Biblioteki Kultury 1946–1966*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2006.

Kazimierz Michał Ujazdowski, *Żywotność konserwatyzmu. Idee polityczne Adolfa Bocheńskiego*, Iskry, Warszawa 2005.

Marek Żebrowski, *Jerzy Giedroyc. Życie przed „Kulturą”*, Wydawnictwo Literackie 2012.

Indeks osób

- Adzio zob. Bocheński Adolf
- Alter Wiktor 138
- Anders Władysław 13, 23–24, 26, 35, 37, 46, 50, 63–64, 73–74, 119–121, 137–140
- Arciszewski Tomasz 18, 64, 136
- Baliński Stanisław 101
- Baudelaire Charles 124
- Bączkowski Włodzimierz 105
- Bąkiewicz Wincenty (Szarak) 24, 35, 60–67, 73–74, 134–140
- Beauvoir Simone de 42
- Beck Jadwiga 115
- Berezowski Zygmunt 136
- Berl Emmanuel 82–84
- Bernhardt Anna 10
- Bielatowicz Jan 39–40, 45–46, 55, 106–107
- Bieniewski 126, 130
- Bierdiajew Nikołaj 73
- Blum Léon 35, 42, 93, 101
- Blumenfeld Izydor 86
- Bobkowski Andrzej 20
- Bocca-Radomska Ewelina 111
- Bocheński Adolf 28–31, 58–59, 75–77, 81–83, 85, 94, 96, 98, 114–115, 121–125

- Bocheński Aleksander 21, 30–32, 50–53, 71–72, 75–77, 80–82, 91–97,
99, 102, 113–115, 126, 131, 133
- Bocheński Józef Maria 121–122
- Borkowski Piotr zob. Dunin-Borkowski Piotr
- Bornholtz Tadeusz 64
- Borucki Stanley 130
- Boy zob. Żeleński Tadeusz
- Bór zob. Komorowski Tadeusz
- Braun Jerzy 131
- Broniewski Władysław 122
- Brückner Aleksander 41, 92
- Brzozowski Stanisław 92–94
- Burckhardt Jacob 41
- Chałasiński Józef 93
- Chesterton Gilbert Keith 93
- Choynowski Piotr 92
- Churchill Winston 56
- Ciołkosz Adam 35, 42
- Croce Benedetto 118
- Custine Astolphe de 41
- Cyrankiewicz Józef 131
- Czapska Maria 40–41, 46, 77–78, 89
- Czapski Józef 13, 19–20, 22, 24, 26–28, 35, 38, 40–42, 48–49, 55–56,
57–58, 60–71, 73–74, 80, 82–90, 94, 98–100, 104, 112–113, 117,
120–125, 134–140
- Czarkowski 136
- Czarnecki Leszek 11
- Czartoryski Adam Jerzy 14–15, 46
- Ćwierczakiewiczowa Lucyna 42
- Dallin David J. 137
- Dąbrowski Jan Henryk 45
- Dmowski Roman 29, 39
- Dominik zob. Horodyński Dominik

Dostojewski Fiodor 22, 103
 Drymmer Wiktor Tomir 38
 Dudek zob. Giedroyć Henryk
 Dunin-Borkowska Maria 76, 115
 Dunin-Borkowski Henryk 76
 Dunin-Borkowski Piotr 15, 32, 91–92, 114–115
 Dwernicki Józef 77
 Dygat Stanisław 41
 Dziadulska Adela 39
 Eden Anthony 81
 Ehrlich Henryk 138
 Eulogiusz zob. Gięorgijewski Wasilij
 Eve zob. Giedroyć Tatiana 21
 Feldman Wilhelm 103
 Felsztyn Tadeusz 93
 Fiedler Arkady 41
 Filosofow Dmitrij 16
 Folkierski Władysław 39
 Frankowski Jan 17, 33, 50–52, 75, 96–98, 125–134
 Freud Sigmund 20
 Funarski 21
 Gafencu Grigore 83
 Galinat Edmund 48
 Gambetta Léon 109
 Gano Stanisław 140
 Gąsiorowski Wacław 92
 Gide André 84
 Gidyński Józef 126
 Giedroyć Franciszka 31–32, 72, 75, 112
 Giedroyć Henryk (Dudek) 21, 32
 Giedroyć Ignacy 31–32, 72, 75, 112
 Giedroyć Jerzy *passim*
 Giedroyć Tatiana (z d. Szwecow) 27, 112

- Giedroyc Zygmunt 32, 72, 75, 92, 97–98, 112, 127
 Georgijewski Wasilij (bp Eulogiusz) 73
 Gierat Stanisław 64, 124
 Goethe Johann Wolfgang 122
 Golka 81
 Gorgol Zygmunt 64
 Gorki Maksim 105
 Górka Olgierd 15–16, 72
 Grabski Władysław Jan 92
 Graves Robert 41, 91
 Grażyński Michał 115
 Grydzewski Mieczysław 42
 Gubrynowicz Adam 77
 Hemingway Ernest 41, 93
 Hercen Aleksander 54
 Herling-Grudziński Gustaw 20, 36, 41, 46–48, 55–56, 77–78, 93, 99,
 109, 120
 Hertz Zofia 14, 21, 27, 32, 38, 40, 46–47, 55, 58, 66, 111, 127, 131
 Hoare Samuel 81
 Horodyński Andrzej 81
 Horodyński Dominik 51–52, 80–82, 94–95, 98–99, 105, 113, 126, 133
 Horodyński Zbigniew 80–81
 Horodyński Zbigniew Maria 81
 Hostowiec Paweł zob. Stempowski Jerzy
 Iwaszkiewicz Jarosław 41, 91
 Jakimiak Zygmunt 133
 Jałowiecki Andrzej 76
 Janek zob. Frankowski Jan
 Janta-Pończyński Aleksander 129–130
 Jasieński Bruno 36
 Jaworski Jan 64
 Jezus Chrystus 122
 Kaczyński Zygmunt 131

Kaden-Bandrowski Juliusz 43, 93
 Katelbach Tadeusz 18
 Katon Marek Porcjusz (Młodszy) 19
 Kazimierz zob. Wiśniowski Kazimierz
 Kaziu, Kazimierz zob. Studentowicz Kazimierz
 Keyserling Hermann 102
 Kiereński Aleksander 73, 137
 Kisielewski Stefan 33, 51, 95, 98–100
 Klimkowski Jerzy 123
 Kłoczowski Piotr 10
 Koc Leon 90
 Koc Wacław 90
 Koestler Arthur 41–42, 93, 101–102
 Komorowski Tadeusz (pseud. Bór) 138
 Koniński Karol Ludwik 92
 Kopeć Tadeusz 83
 Korczak Janusz 42
 Kossak-Szczucka Zofia 41
 Kostrowicki 96
 Kościółkowski-Zyndram Marian 63
 Kot Stanisław 62, 99, 105
 Kott Jan 21, 31
 Kowalczyk Andrzej Stanisław 53
 Kowalewski 78
 Kowalska Anna 92
 Kowalski Jerzy 92
 Krasiński Zygmunt 15
 Krzyczkowski Józef 81
 Ksawery zob. Pruszyński Ksawery
 Kucharzewski Jan 92
 Kudliński Tadeusz 91
 Kuszelewska Stanisława 93
 Lanckorońska Karolina 40

- Lelewel Joachim 15
 Lindsay Norman 20
 Lipski Józef 62
 Łoś Stanisław 32–33, 76
 Łubieński Henryk 76
 Łubieński Jerzy 84
 Łubieński Konstanty 32, 76, 98
 Łubieński Ludwik 58
 Mackiewicz Stanisław (pseud. Cat) 103, 121
 Maja zob. Prądyńska Maja
 Majdański Kazimierz 133
 Makłakow Wasilij 73
 Malczewski Rafał 41
 Malraux André 41
 Marek Aureliusz, cesarz rzymski 84
 Marek Krystyna 87
 Marks Karol 23
 Matuszewski Ignacy 89–90
 Mauriac François 83
 Meysztowicz Walerian 113
 Michalski Hieronim 75
 Michałowski Józef 78
 Micińska Halina 77
 Miciński Bolesław 77, 93
 Mickiewicz Adam 15, 40, 46–48, 80, 93, 102
 Mierzejewski Iwo 81
 Mikołajczyk Stanisław 62, 112, 133, 137–138
 Miller Henry 102, 104
 Miłkowski Zygmunt (pseud. Teodor Tomasz Jeż) 92
 Miś zob. Pruszyński Mieczysław
 Mochnackich Maurycy 15
 Morcinek Gustaw 55
 Moszyński Edmund 76

- Mudry Wasyl 68
 Musiał Paweł 75
 Muszyński Tadeusz 138
 Naglerowa Herminia 110–111, 115–116
 Niezbrzycki Jerzy (pseud. Ryszard Wraga) 13, 22–24, 26–27, 30, 35, 48, 52–53, 63, 72, 78–79, 100–105
 Niezychowski Alfred 130
 Norwid Cyprian Kamil 40–41, 92–93
 Nowak Janusz 10
 Nowak Maria 10
 Odzieżyński Roman 137
 Olo zob. Bocheński Aleksander
 Ostrowski Wiktor 64
 Parnicki Teodor 41
 Pawlikowski Jan Gwalbert 39
 Pawlikowski Michał Gwalbert 39
 Pełczyńska Wanda 74
 Piaf Edith 27
 Piasecki Bolesław 129
 Piasecki Sergiusz 43
 Picasso Pablo 23
 Pietrzak Władysław 72, 94
 Pietrzak Włodzimierz 76
 Piłsudski Józef 48, 62, 115
 Piskor Aleksander 107
 Poniatowski Józef 64
 Popiel Karol 131
 Pragier Adam 23, 26, 106, 138
 Prądyńska Maja 21, 27, 30, 63, 72, 78, 94, 99–100, 102, 107
 Pruszyńska Anna 77
 Pruszyński Ksawery 29–30, 32, 49–51, 72, 95, 112
 Pruszyński Mieczysław 30, 32, 50–51, 71–72, 95, 112
 Putrament Jerzy 76

- Rackiewicz Władysław 46
 Raczynski Roger 13, 15–17, 54, 58–59, 112
 Reisler Izidor zob. Sawicki Jerzy
 Rembek Stanisław 92
 Reymont Władysław 43, 93
 Riedel Stanisław 131
 Rosiek Stanisław 11
 Rostworowska Maria 77
 Rudnicki Adolf 49
 Rusinek Zygmunt 90, 135
 Ryńca Władysław 81
 Samavin 101
 Sawicki Jerzy 32, 75, 86
 Sawinkow Boris 16, 73
 Septymiesz Sewer 84
 Shakespeare William 69
 Sienkiewicz Henryk 42, 45, 85, 92, 102
 Sieroszewski Wacław 93
 Sikora Wojciech 10
 Sikorski Władysław 29, 49, 115, 123
 Siuta Tadeusz 37, 78, 99
 Składkowski Sławoj Felicjan 48
 Skowron Eryk 75
 Skwarczyński Stanisław 76, 98
 Słowacki Juliusz 15, 22, 39–40, 48, 85, 93
 Sokolnicka Irena 77
 Sokolnicki Michał 124
 Sosnkowski Kazimierz 17, 62, 64
 Stahl Zdzisław 62
 Stalin Josif 16, 53, 71, 108
 Stanisław August Poniatowski, król Polski 90
 Stempowski Jerzy (pseud. Paweł Hostowiec) 21, 26, 41–42, 67–71, 80,
 83–89, 93–94, 101, 108–110, 117, 120–121

Stendhal 78, 94
 Stobiecki Rafał 11
 Stomma Stanisław 95, 98, 113
 Strawiński Igor 69
 Stroński Stanisław 62
 Stróżyński 64
 Strug Andrzej 36, 92–93
 Strzembosz 109
 Studentowicz Kazimierz 33, 72, 76, 93, 95, 97–98, 131, 134
 Suchodolski Bogdan 92
 Sułkowski Józef 48
 Szarak zob. Bąkiewicz Wincenty 78
 Szarnbachowski Włodzimierz 40
 Szpotański Stanisław 36, 42, 93
 Szulgin Wasilij 105
 Szułdrzyński Jan 89–91
 Szwecow Tatiana zob. Giedroyć Tatiana
 Święcicki Kazimierz 62
 Tabouis Geneviève 82–83
 Tarnowska Róża 77
 Tarnowski Andrzej 122, 123
 Telmany Adam 21, 64, 78
 Terlecki Tymon 118–119
 Trzeciak 75
 Turkiewicz Zygmunt 64
 Turowski Konstanty 32, 75
 Tytus Flawiusz 84
 Ulatowski Jan 64, 93
 Unkiewicz Tadeusz 81
 Valéry Paul 113
 Vincenz Stanisław 86
 Wańkiewicz Melchior 36
 Wańkiewicz Teresa 81

- Wańkowiczówna 81
 Wasiutyński Wojciech 72
 Wasowski Józef 76
 Wąchała Władysław 37, 78
 Weintraub Wiktor 104
 Weyssenhoff Józef 41
 Wielopolski Alfred 76
 Winiewicz Józef 30, 50, 82, 95
 Wiśniowski Kazimierz 37, 55, 119–121, 134–135, 140
 Wittlin Józef 122
 Władysław zob. Anders Władysław
 Woźnicki Stephen 130
 Wójcik Renata 11
 Wraga Ryszard zob. Niezbrzycki Jerzy
 Wrangel Piotr 15
 Wrede Maria 11
 Wyspiański Stanisław 92
 Wyszyński Andriej 87
 Wyżel-Ścieżyński Mieczysław 115
 Zahorska Stefania 117–119
 Zaleski August 135
 Zarzewski Stanisław 89
 Zawidzki 62
 Zbyszewski Karol 72
 Zbyszewski Wacław Alfred 21, 30, 55, 72
 Zieliński Józef 62, 64
 Znaniecki Florian 92
 Zosia zob. Hertz Zofia
 Żdanow Andriej 108
 Żeleński Tadeusz (pseud. Boy) 94

SPIS RZECZY

* * *

9

Rozdział I

13

Rozdział II

19

Rozdział III

25

Rozdział IV

35

Rozdział V

45

* * *

55

LISTY

57

Przypisy

141

Bibliografia

149

Indeks osób

155

Na obwolucie: portret Jerzego Giedroycia ze strony 60 dziennika
Józefa Czapskiego, 27 II – II v 1947 © Muzeum Narodowe Kraków

Redakcja: Małgorzata Jaworska

Korekta: Maja Przeperska

Projekt graficzny i typograficzny: Janusz Górski

Skład i łamanie: Joanna Kwiatkowska

Druk i oprawa: Drukarnia Skleniarz, Kraków

© Sławomir M. Nowinowski

Listy i ilustracje © Instytut Literacki KULTURA

© wydawnictwo słowo/obraz terytoria, 2017

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego.

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**



NARODOWY
PROGRAM
ROZWOJU
CZYTELNICTWA

wydawnictwo słowo/obraz terytoria

sp. z o.o. w upadłości układowej

ul. Pniewskiego 4/I, 80-246 Gdańsk

tel. (058) 345 47 07

fax (058) 520 80 63

e-mail: slovo-obraz@terytoria.com.pl

www.terytoria.com.pl

Gdańsk 2018

ISBN 978-83-7453-497-0